



Jennifer E. Smith

TAK
WYGLĄDA
SZCZĘŚCIE

BUKOWY LAS

Smith Jennifer E.

Tak wygląda szczęście

przełożyła Beata Hrycak

Graham Larkin oraz Ellie O'Neill poznają się – choć tylko wirtualnie – gdy Graham przypadkowo wysyła do Ellie dwa e-maile w sprawie swojej domowej świnki, Wilbura. Dwoje siedemnastolatków nawiązuje internetową znajomość, mimo że mieszkają na dwóch krańcach kraju i nawet nie znają swoich imion. W błyskotliwej korespondencji dzielą się szczegółami ze swojego życia, lecz nie mówią sobie wszystkiego. Graham nie wie o tajemnicy ukrytej w drzewie genealogicznym Ellie, a ona jest nieświadoma życia Grahama w świetle reflektorów. Splot okoliczności sprawia, że ich znajomość przenosi się z sieci do rzeczywistości. Lecz czy ludzie z tak różnych światów mogą być razem?



PROLOG

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 22:18

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: (brak tematu)

Hej, mamy tu obsuwę. Dałbyś radę wyprowadzić wieczorem Wilbura?

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 22:24

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Chyba pomyliłeś adres. Ale ponieważ też mam psa i nie chcę, żeby biedny Wilbur został na lodzie, odpisuję na tę wiadomość, by dać ci znać...

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 22:33

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

O, przepraszam. Mam nowy telefon, ręcznie wklepuję

adres. Zdaje się, że uciekła mi jedna cyfra. Ja i Wilbur dziękujemy. (A tak a propos, Wilbur jest świnką).

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 22:34

Do: GDL824@yahoo.com **Temat:** Re: (brak tematu)

Świnką?! Jakie świnki wyprowadza się na spacer?

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 22:36

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Te bardzo wyrafinowane. Ma nawet własną smycz...

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 22:42

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

To dopiero świnka!

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 22:45

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

O tak. Jest boska! Promienna! Skromna!

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 22:47

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

No, no, właściciel świnki oraz wielbiciel *Pajęczyny Charlotty**\ Jesteś pewnie albo hodowcą, albo bibliotekarzem.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:01

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Param sie jednym i drugim.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:03

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Serio?

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:04

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Nie. Nie na serio. A ty?

* Bohaterem *Pajęczyny Charlotty*, powieści Elwyna Brooksa White'a i filmu pod tym samym tytułem, jest właśnie świnka o imieniu Wilbur (przyp. red.).

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:05

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Nie jestem ani hodowcą, ani bibliotekarzem.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:11

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Niech zgadną. Jesteś bezrobotną wyprowadzaczka psów, która siedzi przy komputerze z nadzieją, że może ktoś poprosi o wyprowadzenie stworzenia bardziej intrygującego niż pudel?

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:12

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Trafiony, zatopiony. Chyba szczęście mi sprzyja...

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:13

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

W sumie tak. Do czego pijesz?

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:14

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

...pyta przygodny nieznajomy z sieci.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:15

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

...mówi dziewczyna, która nie przestaje odpisywać.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:17

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Skąd pewność, że jestem dziewczyną?

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:18

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Łatwizna. Wspomniałaś o *Pajęczynie Charlotty*.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:19

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Ty też!

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:24

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Tak, ale moi rodzice są nauczycielami.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:26

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Czy to znaczy, że nie jesteś dziewczyną?

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:27

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

No nie. Nie jestem.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:31

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Czy to znaczy, że jesteś starym, obleśnym internetowym drapieżcą wykorzystującym domową świnkę jako pretekst do nagabywania szesnastolatek?

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:33

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Nakryłaś mnie.

Nie, mam dopiero siedemnaście lat, co, jak sędzę, pasuje mnie zdecydowanie poza kategorią starego obrzydliwca.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:38

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

W porządku. Ale niestety i tak nie mam czasu wyprowadzić dziś Wilbura. A nawet gdybym miała, musiałbyś pewnie poszukać kogoś bliżej, bo wątpię, abyś mieszkał w mojej okolicy.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:39

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Skąd wiesz?

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:40

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Bo ja mieszkam w środku niczego, w stanie Maine.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:42

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Okej, no to masz racją. Ja mieszkam w centrum wszystkiego, w Kalifornii.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:43

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Szczęściarz.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:44

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

To świnka jest szczęściarą.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:48

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Otóż to! Hej, nie miałeś przypadkiem jakiejś obsuwy?

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:51

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Taak, chyba powinienem się zbierać...

Od: OENeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:55

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Okej. Miło się gadało. I przepraszam, że nie mogłam przyjść z pomocą Wilburowi.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:57

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Wybaczy ci, jestem pewien. To szalenie wielkoduszna świnka.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 7 marca 2013, 23:58

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Od razu mi ulżyło.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:01

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Hej, E?

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:02

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Tak... G?

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:03

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Co ty na to, gdybym jutro znów do ciebie napisał?

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:04

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Nie wiem, nie mam zwyczaju szukać znajomości w Internecie...

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:05

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Ale?

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:07

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Ale z drugiej strony pożegnania to moja słaba strona.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:08

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

W porządku. W takim razie powiem znów „cześć”

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:09

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Tak będzie o wiele lepiej. A ja powiem: „Dzień dobry!”

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:10

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Przecież to nie dzień...

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:12

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

W Maine jest dzień.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:13

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

A, jasne. No to siemanko!

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:14

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Powiało Zachodem! Pozdrawiam!

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:15

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Czyżbyś była kosmitką? Ni hao.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:17

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Z pewnością wyszukałeś to wyrażenie dopiero przed chwilą.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:19

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Myślisz, że nie jestem biegły w chińskim?

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:20

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Myślę, że nie.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:21

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Niech ci będzie. Zatem ukłony! (Od Wilbura, oczywiście).

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:24

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Oczywiście. Do jutra...

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:25

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Czekaj, czy to twój sposób na pożegnanie bez pożegnania?

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:27

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Nie. Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy już skończyłam się witać.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:30

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Ani ja. Cześć.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:31

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Cześć.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:33

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Dzień dobry.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:34

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: (brak tematu)

Już mówiłam.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 8 marca 2013, 00:36

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Tak, ale ten dzień jest naprawdę dobry.

CZESC 1

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: sobota, 8 czerwca 2013,12:42

Do: GDL824@yahoo.com **Temat:** Re: cześć

Nie wkurza cię, kiedy ludzie wstawiają do e-maili uśmiechnięte buźki?

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: sobota, 8 czerwca 2013,12:59

Do: EONeill22@hotmail.com.

Temat: Re: właściwie nie

©

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: sobota, 8 czerwca 2013,13:04

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: właściwie nie

Mam zamiar to zignorować. Przeczytałam kiedyś, że w Rosji stawiają zwykle wykrzyknik po pozdrowieniach na końcu listu. Czy to nie jest zabawne? Jakby wiecznie do siebie krzyczeli.

Albo byli naprawdę zaskoczeni, że są ze sobą w kontakcie.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: sobota, 8 czerwca 2013,13:07

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: nie ma szans

A może naprawdę się cieszą, że korespondują z tą osobą...

Na przykład tak jak ja: ☺!

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: sobota, 8 czerwca 2013,13:11

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: nie ma szans

Dziękuję. Ale nie tak wygląda szczęście.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: sobota, 8 czerwca 2013,13:12

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: nie ma szans

No to jak?

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: sobota, 8 czerwca 2013,13:18

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: jak wygląda szczęście

Wschody słońca nad przystanią. Lody w upalny dzień. Szum fal na ulicy. Mój pies zwijający się w kłębek na kanapie obok mnie. Wieczorne spacery. Świetne filmy. Burze z piorunami. Dobry cheeseburger. Piątki. Soboty. Nawet środy. Moczenie w wodzie palców u nóg. Spodnie od pizamy. Japonki. Pływanie. Poezja. Brak uśmiechniętych buziek w e-mailu. A jak wygląda dla ciebie?

ROZDZIAŁ 1

Cała ta heca nie różniła się aż tak bardzo od cyrku i rozpoczęła się w miasteczku znienacka. Tyle że zamiast słoni i żyraf były mikrofony i kamery. Zamiast klaunów, klatek i lin do akrobacji - asystenci produkcji, przyczepy kempingowe oraz metry grubych kabli.

Była jakaś magia w tym, jak wszystko wyrosło jakby znikąd, nadeszło tak nagle, że nawet ci, którzy się tego spodziewali, zostali wzięci z zaskoczenia. A kiedy mieszkańcy Henley ściągnęli na nabrzeże, by przyjrzeć się przybyszom, nawet najbardziej zblazowani członkowie ekipy filmowej poczuli lekki dreszczyk emocji, słaby prąd elektryczny, który zdawał się pulsować w mieście. Przywykli do kręcenia filmów w takich lokalizacjach jak Los Angeles i Nowy Jork, miastach, w których mieszkańcy omijali ich szerokim łukiem, narzekając na korki i brak miejsc parkingowych, potrząsając głowami na widok potężnych reflektorów rozpraszających mrok. Istniały takie rejony na świecie, w których zdjęcia do filmu nie były niczym więcej niż utrapieniem, uciążliwym przerywnikiem prawdziwego życia.

Henley w stanie Maine do nich nie należało.

Był czerwiec, zatem tłum, który się zebrał i obserwował rozładunek ciężarówek, był dość spory. Miasteczko

wzbierało i malało jak fale oceanu. Przez całą zimę stali mieszkańcy objęli się od opustoszałych sklepów, opatuleni dla ochrony przed ciągnącym od wody chłodem. Ale wraz z nadejściem lata liczba ludności wzrastała cztero- lub pięciokrotnie, rzeka turystów znów wlewała się do sklepów z pamiątkami, domków letniskowych oraz pensjonatów stojących rzędem wzdłuż nabrzeża. Henley przypominało wielkiego niedźwiedzia, który zapada w sen, przesypia długie zimy, by znów przebudzić się każdego roku o tej samej porze.

Niemal wszyscy niecierpliwie wyczekiwali Dnia Pamięci, kiedy ruszał sezon i miasteczko opanowywało trzymiesięczne szaleństwo, rozpoczynał się najazd żeglarzy, wędkarzy, nowożeńców i urlopowiczów. Jednak Ellie O'Neill nieodmiennie napawało to wszystko lękiem i gdy teraz próbowała torować sobie drogę przez zbite gromadki ludzi na skwerze, przypomniała sobie dlaczego. Poza sezonem Henley należało do niej. A w ten skwarny dzień początku czerwca na powrót przechodziło w ręce obcych.

Na domiar złego to lato zapowiadało się gorzej niż wszystkie poprzednie.

Ponieważ tego lata będą kręcić tu film.

Kilka mew krążyło nad głową, gdzieś na odległym statku zadźwięczał dzwon. Ellie śpiesznie minęła tłum gapiów i oddaliła się od przyczep kempingowych, które rozstawiły się wzdłuż nadbrzeżnej ulicy niczym cygański tabor. W powietrzu wyczuwało się silną woń słonej wody, z najstarszej restauracji w miasteczku The Lobster Pot niósł się zapach smażonej ryby. Właściciel Joe Gabriele stał oparty o framugę drzwi, patrząc na krzątanicę i poruszenie na ulicy.

- Lekkie wariactwo, co? - zagadnął Ellie, która zatrzymała się i powiodła wzrokiem we wskazanym kierunku. Patrzyli, jak długa czarna limuzyna sunie pod główny namiot ekipy produkcyjnej, za nią furgonetka oraz dwa motocykle. -1 jeszcze fotoreporterzy - mruknął.

Dziewczyna odruchowo zmarszczyła czoło, patrząc na eksplozję fleszy, która towarzyszyła otwieraniu drzwi limuzyny.

Joe westchnął.

- Jedyne, co mogę powiedzieć, to oby jedli duuużo homarów.

- Oraz lodów - dodała Ellie.

- Jasne - przytaknął, wskazując ruchem głowy niebieski podkoszulek z imieniem Ellie wyszytym na kieszonce. - Oraz lodów.

Zanim dotarła do żółtego sklepiku z zieloną markizą, na której widniał wyblakły napis „Sprinkles”, miała już dziesięć minut spóźnienia. Nie musiała jednak się martwić: jedyną osobą w środku była Quinn, jej absolutnie najlepsza przyjaciółka oraz najgorsza pracodawczyni na świecie, która pochylona nad gablotą z lodami przerzucała kartki kolorowego magazynu.

- Wyobrażasz sobie, że jesteśmy dziś przykute do tego miejsca? - zapytała, gdy spóźnialska przestąpiła próg, a nad drzwiami zabrzączał dzwonek.

Wnętrze sklepu było cudownie chłodne, pachniało watą cukrową i jak zwykle coś w nim sprawiało, że dla Ellie cofał się czas, jakby ktoś zdejmował jego kolejne warstwy. Miała zaledwie cztery lata, gdy z mamą przeprowadziły się do Henley. Po długiej podróży z Waszyngtonu - samochodem ciężkim od dobytku, który ze sobą zabrały, oraz cichym

z powodu tego wszystkiego, co zostawiły - zatrzymały się w miasteczku, by zapytać o drogę do wynajętego na lato domku. Mamie pilno było do zakończenia podróży, którą rozpoczęły jeszcze na długo przed dziesięciogodziną jazdą. Tymczasem Ellie weszła do środka i przycisnęła piegowaty nos do szklanej gabloty z lodami. Tak więc pierwszym wspomnieniem ich nowego życia pozostały dla niej na zawsze czarno-białe płytki na podłodze, chłód na twarzy oraz słodki smak pomarańczowego sorbetu.

Teraz dała nura pod ladę i ściągnęła fartuch z wieszaka.

- Uwierz mi - zwróciła się do Quinn - nie chciałabyś znaleźć się w tej chwili na zewnątrz. Tam jest istne zoo.

-1 to jakie - odparła przyjaciółka, okręcając się i wskakując na blat obok kasy, na którym usiadła z nogami dyndającymi wysoko nad podłogą.

Quinn zawsze była niziutka i nawet w dzieciństwie Ellie czuła się przy niej jak olbrzymka, wysoka, niezdarna i za bardzo zwracająca uwagę z powodu rudych włosów. Fasolka i Tyczka od Fasoli - tak zawsze nazywała je mama, zaś Ellie wiecznie zachodziła w głowę, dlaczego jedyne, co odziedziczyła po ojcu, to absurdalny wzrost, zwłaszcza że w życiu zależało jej wyłącznie na tym, by nie rzucać się w oczy...

- To chyba największe wydarzenie w historii miasteczka - mówiła Quinn z błyszczącymi oczami. - Historia jak z filmu, gdyby dosłownie nie chodziło o film. - Chwyciła kolorowy magazyn i podniosła go do oczu. - I to nie jakieś liche kino autorskie. Tu grają prawdziwe gwiazdy. Olivia Brooks i Graham Larkin. Graham Larkin. W Henley, przez cały miesiąc.

Ellie zmrużyła oczy, patrząc na fotografię, którą przyjaciółka wymachiwała jej przed nosem. Przedstawiała postać, widzianą już z tysiąc razy: ciemnowłosego chłopaka w jeszcze ciemniejszych okularach przeciwsłonecznych, z grymasem na twarzy torującego sobie drogę wśród tłumu fotoreporterów. Wiedziała, że aktor jest mniej więcej w ich wieku, ale na zdjęciu wydawał się starszy. Ellie usiłowała zwizualizować go sobie tu, w Henley, jak robi uniki, kryjąc się przed paparazzi, rozdaje autografy, gawędzi między ujęciami ze swoją piękną ekranową partnerką, lecz wyobraźnia odmówiła współpracy.

- Wszyscy uważają, że Larkin albo już chodzi z Olivią, albo wkrótce to nastąpi - oznajmiła Quinn. - Ale nigdy nie wiadomo. Może małomiasteczkowe dziewczyny są bardziej w jego typie. Myślisz, że w ogóle do nas zajrzy?

- W całym miasteczku jest może ze dwanaście sklepów - wyliczyła Ellie. - Są więc spore szanse.

Quinn patrzyła, jak przyjaciółka zabiera się za mycie łyżek do nakładania lodów.

- Kompletnie cię ta heca nie kręci? Przecież to ekscytujące.

- Mordega - skwitowała Ellie, nie podnosząc wzroku.

- Będzie ruch w interesie.

- Istny karnawał.

- No właśnie - przyznała z satysfakcją Quinn. - A karnawał to kupa zabawy.

- Chyba że nie cierpisz wesołych miasteczek i karuzeli.

- Akurat na to jesteś skazana, czy ci się podoba, czy nie - podsumowała ze śmiechem wielbicielka Grahama Larkina. - Lepiej więc zapnij pasy.

Poranki w lodziarni były zawsze spokojne; prawdziwy ruch zaczynał się dopiero po lunchu, ale ponieważ tego dnia w miasteczku panowało wielkie ożywienie, kilka osób zajrzało do środka, żeby kupić torebki cukierków z wystawionych na półkach słoików albo ochłodzić się lodowym różkiem. Tuż przed końcem swojej zmiany Ellie pomagała wybrać smak lodów małemu chłopcu, a w tym czasie Quinn przygotowywała czekoladowego shake'a dla jego mamy, zajętej rozmową telefoniczną.

- Może miętowe z wiórkami czekoladowymi? - zaproponowała Ellie, pochylając się nad chłodną szklaną gablotą, tymczasem mniej więcej trzyletni chłopiec wspinał się na palce, żeby obejrzeć różne smaki. - Albo ciasteczkowe?

Potrząsnął głową, grzywka opadła mu na oczy.

- Chcę świnkowe.

- Śliwkowe?

- Świnkowe - powtórzył mały, ale już mniej pewnie.

- Chodzi o truskawkowe? - dociekała Ellie, wskazując pojemnik z różową masą, a chłopiec kiwnął głową.

- Świnki są różowe - wyjaśnił, gdy nakładała lody do małego kubeczka.

- Faktycznie - przyznała, podając mu porcję. Ale myślami powędrowała gdzie indziej; przypomniała sobie wiadomość, którą dostała kilka tygodni temu od... cóż... nie bardzo wiedziała od kogo, w każdym razie niezupełnie. Dotyczyła świnki, Wilbura, która ku przerażeniu właściciela podkrađła hot doga z ogrodowego grilla.

Moja świnka, donosił mail, stała się oficjalnie kanibalem. Żaden problem, odpisała Ellie. Zdziwiłabym się, gdyby w tym hot dogu była choć odrobina prawdziwego mięsa.

Później nastąpiła długa wymiana maili na temat dokładnej zawartości hot dogów. Po pewnym czasie korespondencja zesłała oczywiście na inne sprawy, od ulubionych potraw do najlepszych wakacyjnych posiłków, i zanim Ellie się obejrzała, zegar wskazywał prawie drugą w nocy. Po raz kolejny udało im się rozmawiać o wszystkim, w gruncie rzeczy nie rozmawiając o niczym, i po raz kolejny Ellie położyła się spać o wiele za późno.

Ale nie żałowała.

Nawet teraz czuła, że uśmiecha się na wspomnienie tamtych e-maili, które sprawiały wrażenie równie autentycznych i szczerych jak rozmowa w cztery oczy. Praktycznie Ellie zaczęła już funkcjonować według czasu kalifornijskiego, przesiadując do późna przed komputerem i czekając, aż znajomy adres wyskoczy na ekranie. Jej myśli nieustannie płynęły na drugie wybrzeże. Wiedziała, że to idiotyczne.

Nawet nie znali swoich imion. Jednak tamtego ranka po odebraniu pierwszego zabłąkanego e-maila obudziła się i znalazła w swoim komputerze kolejną wiadomość od chłopaka z Kalifornii.

Dzień dobry, E, pisał. U nas już późno, a ja właśnie wróciłem do domu i zastałem Wilbura śpiącego w mojej szafie. Pod moją nieobecność rezyduje zazwyczaj w domowej pralni, ale jego „wyprowadzacz” musiał zapomnieć o zamknięciu drzwi. Gdybyś była bliżej, z pewnością spisałaabyś się znacznie lepiej...

Ellie dopiero wstała z łóżka i usiadła przy biurku w promieniach wpadającego przez okno porannego słońca, mrugając powiekami, ziewając i uśmiechając się bez powodu. Zamknęła oczy. *Dzień dobry, E.*

Czyż można lepiej przywitać dzień?

Siedząc tam wtedy i wracając myślami do korespondencji z poprzedniego wieczoru, poczuła przyływ radosnego podniecenia. I choć wydawało się dziwne, że nadal nie zna imienia ani nazwiska właściciela Wilbura, coś powstrzymywało ją przed dociekaniem. Te dwa słówka - nie miała złudzeń - nieuchronnie wywołają reakcję łańcuchową: najpierw Google, potem Facebook, Twitter i tak dalej, przekopywanie zakamarków Internetu, aż znajomość zostałaaby całkowicie odarta z tajemnicy.

Może fakty nie były tak istotne jak cała reszta: uczucie niecierpliwego wyczekiwania z dłońmi uniesionymi nad klawiaturą albo natychmiastowa zamiana uporczywego znaku zapytania, który pulsował jej w głowie przez cały wieczór, w wykrzyknik na widok e-maila. Może w tej niewiedzy było coś bezpiecznego, dającego poczucie, że wszystkie przyziemne pytania, które padają zwyczajowo, wcale nie są aż tak ważne.

Przez kolejną chwilę wpatrywała się w ekran, po czym opuściła dłonie na klawiaturę. *Drogi G*, napisała, i dalej już poszło.

Ich relacje opierały się raczej na detalach niż faktach. A detale były najciekawsze. Ellie wiedziała na przykład, że GDL - bo tak zaczęła o nim myśleć - jako dziecko rozciął sobie czoło, gdy próbował zeskoczyć z dachu dużego rodzinnego samochodu. Innym razem udawał, że się topi w basenie sąsiadów, i śmiertelnie wystraszył wszystkich, którzy starali się go ratować. Lubił rysować budynki - wieżowce, kamienice z elewacjami z brązowego piaskowca i drapacze chmur z piętrzącymi się jedne nad drugimi rzędami okien - a kiedy ogarniał go niepokój,

szkicował całe miasta. Grał na gitarze, ale niezbyt dobrze. Chciałby zamieszkać kiedyś w Kolorado. Jedyne, co potrafił przyrządzić do jedzenia, to grillowany ser i kanapki. Nie cierpiał wymieniać e-maili z większością ludzi, ale ona była wyjątkiem.

Potrafisz dotrzymać tajemnicy?, napisała kiedyś do niego, ponieważ czuła, że ta wiedza jest dla niej szalenie istotna. Ellie uważała, że można wiele o kimś powiedzieć na podstawie tego, w jaki sposób i jak wiernie dochowuje on tajemnicy, jak szybko ją zdradza, oraz jak się zachowuje, kiedy stara się jej nie zdradzić.

Tak, odpisał. *A ty?*

Tak, odpowiedziała krótko i już nie wracali do tematu.

Przez całe życie sekrety ciążyły jej i ją przytłaczały. Ten wyglądał jednak inaczej. Przypominał mydlaną bańkę, lekką, lotną i musującą, która sprawiała, że Ellie jakby unosiła się w powietrzu od rana do wieczora.

Minęły zaledwie trzy miesiące, od kiedy tamta pierwsza wiadomość zabłąkała się pod niewłaściwy adres, lecz Ellie miała wrażenie, że upłynęło znacznie więcej czasu. Jeśli nawet mama czegoś się domyślała, nie dawała tego po sobie poznać. Jeżeli Quinn uważała, że przyjaciółka dziwnie się zachowuje, nie puściła na ten temat pary z ust. Jediną osobą, która mogła dostrzec jakąś zmianę, była ta na drugim biegunie ich e-mailowej korespondencji.

W tej chwili Ellie uśmiechała się szeroko do kubeczka różowych lodów, podając je chłopcu. Za plecami usłyszała głośny trzask i charkot, po którym nastąpiło silne bulgotanie, a kiedy Ellie odwróciła się, by zobaczyć, co się dzieje, ujrzała skutki eksplozji czekoladowego koktaj-

lu. Był wszędzie: na ścianach, ladzie i podłodze, a przede wszystkim na Quinn, która dwukrotnie zamruwała powiekami, a następnie otarła twarz wewnętrzną stroną ramienia.

Przez chwilę Ellie była pewna, że przyjaciółka się rozpłacze. Cała jej koszulka ociekała czekoladą, czekolada przykleiła się nawet do włosów. Wyglądała tak, jakby uprawiała zapasy w błocie i przegrała walkę.

Potem jednak usta Quinn rozchyliły się w uśmiechu.

- Myślisz, że ten wizerunek spodobałby się Grahamowi Larkinowi?

Ellie parsknęła śmiechem.

- A kto nie lubi koktajli czekoladowych?

Matka chłopca z szeroko rozdziawioną buzią odłożyła telefon, sięgnęła po portfel i położyła na ladzie kilka banknotów.

- Weźmiemy tylko lody - rzekła, wyprowadzając chłopca na zewnątrz i ukradkiem zerkając na Quinn, która wciąż ociekała czekoladą.

- Będzie więcej dla nas - podsumowała Ellie i znów wybuchnęły śmiechem.

Nim uporały się ze sprzątnięciem bałaganu, zmiana dobiegała końca.

Quinn podniosła wzrok na zegar, a potem spojrzała na swoje ubranie.

- Masz szczęście. Ja muszę sterczeć tu jeszcze przez dwie godziny, a wyglądam, jakbym się wyczołgała z fabryki Willy'ego Wonki.

- Mam pod spodem koszulkę bez rękawów - powiedziała Ellie, ściągając niebieski T-shirt i podając go przyjaciółce. - Włóż mój.

- Dzięki - wymamrotała Quinn, dając nura do maleńkiej łazienki obok zamrażarek stojących na tyłach sklepu.

- Czekoladę mam nawet w uszach.

- Pomoże ci przetrwać hałas, kiedy zrobi się tu tłok

- zawołała Ellie. - Zostać z tobą, póki nie przyjdzie Devon? Mogę się spóźnić do sklepu mamy.

- Nie trzeba - odparła Quinn, a gdy wyłoniła się z zaplecza, miała na sobie pożyczoną koszulkę założoną jak sukienkę. - Ciut przydługa - stwierdziła, upychając za pasek nadmiar materiału. - Ale jakoś wytrzymam. Mogę wpaść po pracy do sklepu i ci ją oddać.

- Super. To do zobaczenia.

- Hej - zawołała Quinn, gdy Ellie miała już wychodzić na słońce z odkrytymi ramionami przesłoniętymi jedynie cienkimi ramiączkami koszulki. - A krem z filtrem?

- Nie trzeba - odparła z lekką irytacją.

Letnie wakacje trwały dopiero drugi tydzień, a Quinn już była mocno opalona. Z kolei skóra Ellie przybierała zawsze tylko dwa odcienie: śnieżnej bieli albo ostrego różu. W dzieciństwie po wyprawie na plażę trafiła do szpitala z ostrą pokrzywką słoneczną i od tamtej pory Quinn konsekwentnie pilnowała, by przyjaciółka zawsze obficie smarowała się kremem z mocnym filtrem. Ellie uważała ten zwyczaj za rozbijający i zarazem irytujący - w końcu miała mamę - niemniej jednak Quinn nieubłaganie wypełniała swoją powinność.

Na zewnątrz Ellie przystanęła, by przyjrzeć się planowi zdjęciowemu rozstawianemu na ulicy. Tłum już się przerzedził, gapiom musiało zbrzydnąć obserwowanie ekip mężczyzn w czarnych koszulkach biegających tam i z powrotem z ciężkimi skrzyniami sprzętu. Gdy miała

już ruszyć w stronę sklepu z pamiątkami, zauważyła zbliżającego się do lodziarni chłopaka w czapce Dodgersów.

Szedł ze spuszczoną głową i rękami wciśniętymi w kieszenie, ale wszystko w jego niedbałej pozie sugerowało pewien wysiłek; tak bardzo starał się wtopić w otoczenie, że w rezultacie jeszcze bardziej od niego odstawał. Pomyślała sobie, że może być kimkolwiek - zwykłym facetem z tłumu, właściwie jeszcze chłopakiem - lecz od razu coś jej podpowiedziało, że tak nie jest. Wiedziała, kto to. Było w nim coś zbyt wyrazistego. Lepiej odnalazłby się na afiszu albo deskach scenicznych niż na cichej uliczce w Maine. Cała sytuacja wydawała się dziwnie surrealistyczna i przez chwilę Ellie niemal dostrzegła w niej magię; jakby zrozumiała, dlaczego ludzie ulegali czarowi tego chłopaka.

Znalazłszy się zaledwie kilka kroków od niej, podniósł wzrok, ją zaś zdumiał kolor jego oczu, tak intensywnie niebieski, że oglądając zdjęcia w kolorowych magazynach, zawsze podejrzewała retusz. Patrzyły przenikliwie spod daszka czapki, a gdy spoczęły na Ellie w przelocie, zanim prześliznęły się na markizę lodziarni, dziewczyna wstrzymała oddech.

Ta myśl przyszła jej do głowy z zaskakującą natarczywością: jest smutny. Nie miała pojęcia, skąd to wie, lecz nagle była pewna, że się nie myli. Pod całą resztą - niespodziewaną nerwowością, cieniem ostrożności, odrobiną rezerwy - krył się także smutek, tak głęboki, że wprowadził ją w zdumienie. Czał się w jego oczach, które wydawały się o wiele starsze niż reszta postaci, oraz w wystudiowanej obojętności spojrzenia.

Czytała o chłopaku, a jakże, i przypominała sobie, że nie należał do grona tych celebrytów, którzy wiecznie al-

bo wychodzili z odwyku, albo tam trafiali. O ile się orientowała, nie borykał się z kłopotami finansowymi ani nie miał koszmarnych rodziców. Nie wychowywano go na nieszczęśliwego młodocianego gwiazdora; popularność zdobył zaledwie dwa lata wcześniej. Słyszała, że uczcił swoje szesnaste urodziny, zapraszając całą obsadę nakręconego ostatnio filmu do Szwajcarii, na alpejskie stoki narciarskie. I że spotykał się z kilkoma najbardziej rozchwytywanymi młodymi aktorkami z Hollywood.

Nie było żadnego powodu, dla którego Graham Larkin miałby być smutny.

Ale jest, pomyślała Ellie.

Stał przed lodziarnią i jakby ważył coś w myślach. Ku zdziwieniu Ellie jeszcze raz się za nią obejrzał. Uśmiechnęła się odruchowo. On jednak tylko patrzył na nią dłuższą chwilę, wyraz jego twarzy przesłoniętej głęboko wciśniętym na czoło daszkiem pozostał niezmienny. Dlatego uśmiech zamarł na ustach dziewczyny.

Patrzyła, jak wyprostował ramiona i podszedł pod drzwi lodziarni, napotkała też spojrzenie Quinn za szybą. Przyjaciółka powiedziała bezgłośnie coś, czego Ellie nie zrozumiała, na jej twarzy malowało się niedowierzanie, następnie skierowała uwagę na drzwi wejściowe, nad którymi zabrzączał dzwonek, i do środka wkroczył Graham Larkin.

W tym samym momencie jak spod ziemi wyłonili się fotografowie - sześciu mężczyzn z wielgachnymi czarnymi aparatami i przewieszonymi przez ramię torbami. Każdy podbiegł pędem do witryny, przycisnął obiektyw do szyby i gorączkowo pstrykał zdjęcia. Chłopak nawet się nie odwrócił.

Ellie stała tam jeszcze przez chwilę, przenosząc wzrok z okna, za którym Quinn uśmiechała się zza lady do klienta, na fotografów rozpychających się i walczących o lepsze ujęcia. Snujący się w pobliżu przechodnie zaczęli napływać pod lodziarnię, przyciągani jakąś magnetyczną siłą, nieodpartą mieszaliną widowiska i sławy. Gdy zrobiło się tłoczno, Ellie cofnęła się o kilka kroków i zniknęła za rogiem budynku, nim ktokolwiek zdążył zauważyć jej odejście.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: niedziela, 9 czerwca 2013,10:24

Do: EONeill2@hotmail.com

Temat: Re: jak wygląda szczęście

Odwiedzanie nowych miejsc.

ROZDZIAŁ 2

Graham wyobrażał sobie tę chwilę od tygodni. A sposób, w jaki rozwijały się wydarzenia - miasteczko wyjęte jakby żywcem z jego fantazji, rzędy sklepów, wiejąca w plecy słona bryza - dawał złudzenie, że to wszystko sen.

Słońce zamgliło się za cienką warstwą chmur, a jemu pękała głowa. Przyleciał nocnym lotem do Portland i jak zwykle nie zmrużył oka przez całą drogę. W dzieciństwie nigdy nie podróżował samolotem i nawet pomimo takich udogodnień jak miejsce w pierwszej klasie oraz prywatny odrzutowiec, czuł w powietrzu zdenerwowanie i niepokój, nie oswoił się z rytmem podniebnych podróży bez względu na to, jak wiele obecnego życia spędzał w samolotach.

W tej chwili nie miało to jednak znaczenia. Już dawno nie był tak czujny jak teraz, po wejściu do lodziarni, tak przenikliwy i przekonany o słuszności swego postępowania. Od dawna tak się nie czuł. W ciągu dwóch ostatnich lat, gdy jego życie zmieniło się nie do poznania, Graham dawał się formować jak glina. Przywykł do tego, że dyktowano mu, co ma robić, jak się zachowywać, z kim spotykać i co mówić podczas spotkań. Swobodne z pozoru rozmowy na kanapach telewizyjnych talk-show toczyły się według z góry ustalonego scenariusza. Randki uma-

wiali ludzie dbający o jego wizerunek. Ubrania wybierał stylistą uparcie usiłujący wbić Grahama w koszulki z dekoltem w serek i spodnie rurki, rzeczy, w których dawniej nie pokazałby się za żadne skarby.

Ale „dawniej” wydawało się odległe o milion lat.

„Później” wszystko się zmieniło.

Gdyby dwa lata temu ktoś mu powiedział, że w wieku siedemnastu lat będzie mieszkał samodzielnie w domu trzykrotnie większym od tego, w którym dorastał, z basenem, pokojem gier oraz niezbędnymi środkami bezpieczeństwa w postaci najnowocześniejszego systemu alarmowego, Graham parsknąłby śmiechem. Lecz podobnie jak wszystko, co działo się tuż po jego pierwszej roli filmowej oraz niespodziewanej, sztucznie podsycanej medialnej wrzawie, jaka po niej wybuchła, tak i to wydawało się po prostu kolejnym logicznym krokiem. W całym łańcuchu zdarzeń był jakiś nieunikniony impet. Najpierw nowy agent, potem nowy agent prasowy, nowy dom i nowy samochód, nowy sposób bycia w miejscach publicznych, nowi prywatni nauczyciele, których zadaniem było pomóc mu ukończyć szkołę w trakcie zdjęć do filmu; nowe zasady wypełniania towarzyskich obowiązków oraz oczywiście nowe i niewyobrażalne dotąd możliwości napytania sobie biedy.

Zmienili się nawet rodzice. Za każdym razem, gdy do nich wpadał, oboje byli dziwnie spięci, starannie dobierali słowa, jakby występowali przed kamerą. Od czasu do czasu Graham robił coś, co niegdyś doprowadzało ich do szału - zostawiał brudne naczynia na blacie albo rozrzucał buty w holu - zamiast jednak warczeć na nie-

go jak dawniej, wymieniali jedynie nieprzeniknione dla niego spojrzenia i udawali, że niczego nie widzą. Cała ta sytuacja była tak krępująca, że Graham niemal całkiem zaniechał wizyt w rodzinnym domu.

Wszystko potoczyło się w ekspresowym tempie. Jeszcze do niedawna był najzwyczajszym uczniem drugiej klasy grającym rolę Nathana Detroita w słabo oświetlonej auli podczas przesłuchania, w którym wziął udział dla hecy oraz z tego samego powodu, dla którego robił większość rzeczy: by zaimponować dziewczynie. Kilka dni później doznał szoku, znalazłszy swoje nazwisko w obsadzie. Szkoła znajdowała się w podmiejskiej dzielnicy, tak zamożnej, że Graham często czuł się tam jak przybysz, który wylądował na jakiejś obcej i doskonale utrzymanej planecie, a bliskość Los Angeles sprawiała, że większość kolegów i koleżanek z klasy, a już na pewno członkowie koła teatralnego, marzyła o Hollywood. Życie upływało im na lekcjach tańca, emisji głosu i aktorstwa. Wertowali magazyn „Variety”, żeby być na bieżąco z tym, co dzieje się w przemyśle filmowym, i traktowali zakupy jak okazję do kształtowania swego wizerunku.

Tymczasem pewnego dnia Graham, chudy, tyczkowaty, odstający od reszty i trochę niezdarny chłopak, wszedł wolnym krokiem na scenę, z głupkowatym uśmiechem skierowanym do dziewczyny, z którą nawet nie zamienił nigdy słowa, i jakimś cudem udało mu się zdobyć rolę. Nikogo poza nim to nie dziwiło. Tak mu się jakoś w życiu układało. Nigdy nie miał problemu z dostaniem się do drużyny sportowej albo trafieniem na listę najlepszych uczniów, zgarniał wszystkie możliwe wyróżnienia i nagrody, począwszy od Najbardziej Wartościowego Za-

wodnika, na Wzorowym Obywatelu skończywszy. Cokolwiek by się działo, zawsze był w czołówce.

Tak więc w premierowym spektaklu brnął przez swoje kwestie, ubrany w kostium o jeden rozmiar za mały, z oczami łzawiącymi od oślepiających reflektorów. Ogarniały go wątpliwości co do planu zaproszenia po przedstawieniu dziewczyny grającej rolę Adelaide na wiosenny bal w szkole. Koniec końców nie miał nawet takiej okazji. Ojciec klasowego kolegi chciał obsadzić nieznaną osobę w filmowej roli nastoletniego czarodzieja - nie chodziło o główną postać, ale kogoś, kto sprawia, że obiekt westchnień głównego bohatera zaczyna wątpić w swoje doń uczucie - i po spektaklu zgarnął Grahama, by omówić możliwość zaproszenia go na zdjęcia próbne. Jego rodzice, równie niezorientowani jak on w konsekwencjach ewentualnego udziału w filmie, przyznali, że może to być interesująca przygoda, fajne doświadczenie, może nawet coś, o czym będzie mógł wspomnieć w podaniu na studia - a jeśli się uda, to także pomóc w płaceniu rachunków.

Później wszystkie magazyny opisywały narodziny gwiazdy w taki sposób, jakby był postacią z kreskówki, „wyrwaną z niebytu”, „wywindowaną do sławy” albo „wystrzeloną w światła jupiterów”. I tak to wszystko z grubsza wyglądało. Aktorstwo podobało mu się bardziej, niżby się spodziewał, i na początku świat Hollywoodu wydał mu się intrygujący, był pożądaną odskocznią od błahych szkolnych melodramatów.

Jednak nikt mu nigdy nie powiedział, że kiedy już coś takiego się przydarzy, nie ma odwrotu. Z perspektywy czasu wydaje się to oczywiste i Graham powinien zdawać sobie sprawę z następstw, zanim ruszyła machi-

na, lecz procesowi towarzyszyła powolna inercja, przez co przypominał nie tyle wystrzał z katapulty, co turlanie się z pagórka. I jak to z większością bohaterów kreskówek bywa, gdy grunt usunął się spod stóp, Graham zawisł w powietrzu, przebierając nogami w nadziei, że jeśli nie przestanie nimi machać, być może uchroni się przed upadkiem.

Nawet nie przemknęło mu przez myśl, że będzie taki samotny. Miał agentów, menedżerów i reżyserów, innych aktorów, nauczycieli i kostiumografów, agentów prasowych i fryzjerów oraz konsultantów do spraw wizerunku. Jednak żadna z tych osób nie wydawała mu się prawdziwa, kiedy bowiem wyłączano kamery, wszyscy znikali niczym wyrachowane zjawy. Próbował utrzymywać kontakty z przyjaciółmi z liceum, lecz coś się między nimi zmieniło i dawni znajomi nie wiedzieli, jak się z nim obchodzić na tym dziwnym, niezbadanym terytorium. Zbyt mocno oddalił się od świata rodzicielskich godzin policyjnych, zadań domowych i treningów piłkarskich, a gdy przestał urządzać imprezy w swoim domu, nie było już pretekstu do widywania się nawzajem.

Podobnie rzecz się miała z nowymi ludźmi, których poznawał na bankietach i rozmaitych galach, a także z dziewczynami spotykanymi niemal wszędzie. Wcześniej był chłopakiem, do którego wszyscy lgnęli, bo miał poczucie humoru i znał się na dobrej zabawie, a także dlatego, że za tym wszystkim stał w istocie przyzwoity i sympatyczny człowiek. Natomiast teraz kręcono się wokół niego, ponieważ był sławny i przystojny, miał ładny dom, albo dlatego, że inni pragnęli tego samego i sądzili, iż znajomość z nim może być kluczem do sukcesu.

Kiedy nie pracował, zaszywał się w swoim domu i czytał przysyłane przez agenta scenariusze, wypełniając w ten sposób dni. Na przyjęcia chadzał sporadycznie, zwykle po to, by poznać jakiegoś nowego wziętego reżysera albo scenarzystę, o których słyszał pochlebne opinie, a gdy nieuchronnie pojawiali się fotoreporterzy, uśmiechał się ponuro i ulatniał najszybciej, jak się dało. Czytał więcej książek niż w szkole. Zamawiał pizzę częściej, niż wydawało mu się możliwe. Grał w gry wideo z przygnębiającym zacięciem. Adoptował świnkę i przez większość dnia przesiadywał z nią nad basenem.

Aż nagle jeden z e-maili trafił przypadkiem do nieznajomej dziewczyny.

I wtedy zrozumiał potęgę Internetu. Było coś odurzającego w anonimowości sieci. Ni z tego, ni z owego startował od zera, z czystym kontem. Był dla niej taką samą zagadką, jaką ona dla niego, nie nazywał się już Graham Larkin, tylko GDL824. A GDL824 mógł być kimkolwiek, setką różnych typów siedemnastoletniego chłopaka: takim, który żyje futbolem, albo takim, który wygrywa turnieje szachowe, takim, który pali fajki na ścieżce rowerowej za szkołą, albo jednym z tych geniuszy, którzy od razu trafiają na drugi rok studiów medycznych. Mógł być facetem kolekcjonującym motyle albo proporczyki drużyn bejsbolowych. Albo dziewczyny. Mógł być fanem gwiazd rocka albo gwiazd tenisa, czy też niezliczonych gwiazd na niebie. Mógł być nawet fanem Grahama Lar-kina, choć nie miało to większego znaczenia.

Liczyło się to, że mógł być właściwie każdym.

Od tygodni, gdy trwał okres przedprodukcji najnowszej historii z jego udziałem - tym razem historii miłos-

nej, która miała zaprezentować widzom jego wrażliwe oblicze - bardzo starał się skupiać uwagę na studiu filmowym w LA. Lecz myślami był po drugiej stronie kraju. Od kiedy dziewczyna napomknęła, że pochodzi z Maine, Graham zaczął wyszukiwać informacje o tym stanie jak o jakimś egzotycznym kraju.

Wiedziałaś, że leśna jagoda jest „stanowym” owocem Maine?, napisał pewnego wieczoru. A co istotniejsze, że lokalnym przysmakiem są czarne księżycy?*

Wżyciu nie słyszałam o czarnym księżycu, odpisała. A pracuję przecież w cukierni. Dlatego coś mi się zdaje, że zmyślasz.

Nie zmyślam, odpowiedział. Mało tego, wyobrażam sobie, że wszystkie miejscowości w stanie Maine są wybrukowane czarnymi księżycami.

Ale nie Henley, sprostowała, on zaś dostrzegł nagle maleńką smużkę światła, niczym górnik idący po omacku podziemnym korytarzem.

Zaledwie kilka dni wcześniej wylano z pracy przy filmie osobę odpowiedzialną za wybór plenerów, okazało się bowiem, że miasteczko w Karolinie Północnej, gdzie mieli kręcić zdjęcia w pierwszym miesiącu lata, zaatakowały roje szarańczy. Reżyser wpadł w furję, bo przeoczono plagę owadów, która atakowała z zegarmistrzowską precyzją co siedem lat, natomiast Graham był w głębi duszy zadowolony.

Zaproponował przeniesienie zdjęć plenerowych do Henley, wskazując, że miasteczko ma wszystko, czego szukają: staroświeckie sklepiki, malowniczą przystań, pas dzikiej plaży. Opowiadał w taki sposób, jakby odwiedzał

*** W oryginale „whoopie pie” - czekoladowe ciastka przekładane pianką (marshmallow) lub rodzajem białego lukru (przyp. red.).**

je wielokrotnie, prawda zaś była taka, że ostatnimi czasy myślał o Henley tak często, iż poniekąd znał je na wylot.

Mimo wszystko wymagało to niemałej perswazji, aż w końcu Graham został zmuszony do zachowania, jakiego zapewne i tak zawsze się po nim spodziewano: był rozdrażniony, apodyktyczny, wyniosły. Groził, wymachiwał gniewnie telefonem. Ku jego zdumieniu - podziałało. Wysłano na rekonesans do Maine nowych ludzi, którzy donieśli, że lokalizacja jest wręcz wymarzona. Uzyskano zezwolenia, podpisano dokumenty. Druga ekipa zdjęciowa wyruszyła wcześniej, by zacząć już kręcić materiał. Graham wraz z pozostałymi aktorami miał spędzić cztery tygodnie w hotelu Henley Inn, położonym niespełna pięćset metrów od jedynej cukierni w miasteczku.

Nawet gdyby jego życie miłosne nie stanowiło łakomego kąska dla prasy, nawet gdyby nie miał się nieustannie na baczności przed plotkami i pogłoskami na swój temat, Graham i tak za nic nie zdradziłby prawdziwego powodu, dla którego tak bardzo zależało mu na wyjeździe do Henley. W najlepszym razie wzięto by go za nieszkodliwego wariata. W najgorszym - za natręta.

Tymczasem w istocie chodziło o to, że zaczyna tracić głowę dla dziewczyny, której nigdy nie widział. Nie znał nawet jej imienia.

Miał świadomość, że to absurdalne. Gdyby ktoś wręczył mu scenariusz z taką właśnie fabułą, uznałby, że jest całkowicie wyssana z palca.

Nie zmieniało to bynajmniej jego odczuć.

Przypuszczał, że pewnie łatwiej byłoby zwyczajnie poprosić ją o spotkanie. A gdyby ona nie czuła podobnie? A jeśli tylko szukała korespondencyjnego przyjaciela?

Dzięki filmowi mógł przynajmniej usprawiedliwić swój pobyt w tym miejscu.

Ostatecznie g d z i e ś trzeba było nakręcić nową produkcję.

Sceny z udziałem Grahama przewidziano dopiero na następny dzień i gdy oznajmił Harry'emu Feltonowi, swojemu gwałtownie łysiejącemu menedżerowi, że chciałby dotrzeć na miejsce wcześniej, ten wydawał się skonsternowany.

- Nigdy nie przyjeżdżasz na zdjęcia wcześniej - zauważył, lecz Graham jedynie wzruszył ramionami.

- Wedle scenariusza mieszkam tam od urodzenia, myślę więc, że powinienem w pełni zanurzyć się w tamtejszej atmosferze - odparł, powtarzając jak papuga coś, co usłyszał kiedyś z ust swojej nadętej partnerki filmowej z trylogii *Cylinder*.

Uświadomił sobie, że zaczyna nabierać takiej samej wprawy w odgrywaniu Grahama Larkina, jaką osiągnął w graniu wszelkich innych ról.

Zbliżając się do cukierni, zwolnił nieco kroku. Czuł, że fotografowie czają się gdzieś za plecami niczym stado rekinów. Słońce piekło w ramiona, koszula kleiła się do pleców. Minał smukłą dziewczynę o długich rudych włosach, a kiedy podniósł na nią wzrok, dostrzegł w jej zielonych oczach coś na kształt niemego wyrzutu. Graham tak się uparł na przyjazd do Henley, że nie przemknęło mu nawet przez myśl, iż miasteczko nie musi być równie zachwycone jego wizytą. Obejrzał się jeszcze raz i tym razem dziewczyna się uśmiechnęła. Odebrał to jednak jako rodzaj oceny, podsumowania wrażenia, jakie wywoływał, a które niekoniecznie chciałby poznać.

Za późno, by się teraz tym przejmować. Staął przed cukiernią i zmrużywszy oczy, patrzył na przeszkloną witrynę, lecz w szybie odbijało się słońce. Koniecznie chciał zobaczyć, jak wygląda dziewczyna z e-maili, choć wiedział, że nie powinno to mieć żadnego znaczenia. Od dawna nikt nie wzbudził w nim takich uczuć. Sława przypominała magiczny klucz: mogłeś powiedzieć coś głupiego albo nudnego lub też w ogóle nie otwierać ust, a i tak podobałeś się dziewczynom. Zamiast dodać mu pewności siebie, owa konstatacja jedynie zachwiała jego postanowieniem, uzmysłowiła mu bowiem, że nie ma w zasadzie sposobu na oszacowanie, co ktoś naprawdę do niego czuje.

Aż do tej pory. Kimkolwiek była ta dziewczyna, lubiła go, nie miał co do tego wątpliwości. Nie jego gwiazdorską wersję, lecz tę prawdziwą.

On też ją lubił.

Gdy pchnął drzwi cukierni, spłoszył go dźwięk dzwoneczka. Pochylił głowę, skrywając twarz pod daszkiem czapki. W środku nie było innych klientów, mimo to Graham nie odrywał wzroku od czarno-białych płytek podłogi, póki nie znalazł się przy ladzie. Już od dawna nie bał się patrzeć dziewczynom prosto w oczy, tym razem jednak czuł niewytłumaczalne zdenerwowanie i dopiero po chwili zmusił się do spojrzenia w stronę sprzedawczyni.

Odkrył z ulgą, że dziewczyna jest niewątpliwie piękna, ma migdałowe oczy i długie ciemne włosy. Lecz zarejestrował ów fakt mimochodem. Bardziej pochłaniało go odczytywanie napisu wyszytego na kieszonce bluzki.

Ellie, czytał w myślach, łącząc wreszcie imię z inicjałem. *Ellie O'Neill*.

Obserwowała go z niepokojem, wyraz jej twarzy był gdzieś w połowie drogi pomiędzy szokiem a zachwytem. Skinął głową na powitanie i przesunął wzrok na gablotę z lodami, udając, że wybiera smak. W istocie rzeczy powrócił myślami do rozmowy, którą przeprowadzili kilka tygodni temu, kiedy to wysłał do dziewczyny żartobliwy e-mail z ankietą zawierającą pytania o ulubione rzeczy.

Za żadne skarby tego nie wypełnię, odpisała. Niemożliwe, żeby aż tak zależało ci na poznaniu moich ulubionych smaków lodów.

Żartujesz?, napisał w odpowiedzi Graham. Zdziwiłabyś się, jak wiele mówi to o człowieku.

Niech zgadnę, odpowiedziała. Jeśli powiem „wyboista droga”, to znaczy, że przechodzę trudny okres, jeśli napiszę „waniliowe”, to znaczy, że ze mnie nudziara...*

Mniej więcej, odparł. Ja osobiście jestem miłośnikiem sor-betów. I co too mnie mówi?

Że masz znakomity gust, skwitowała. Ja też najbardziej lubię sorbety.

Patrzył, jak przesuwana się po drugiej stronie lady i pochyła nad gablotą.

- Czym mogę służyć? - zapytała, on zaś ze zdziwieniem usłyszał w jej głosie znajomą nutę, ten przesłodzony ton używany powszechnie przez agentów prasowych i menedżerów w LA. Uśmiechnął się półgębkiem, ale nic nie powiedział, a dziewczyna zachichotała. Graham poczuł skurcz w żołądku.

Wskazał pojemnik z lodami.

- Poproszę tęczy sorbet - rzekł, ośmielając się spojrzeć w jej kierunku, czekając, aż skojarzy fakty.

*** „Rocky road” (ang. dosł. wyboista droga), rodzaj lodów czekoladowych z orzechami i piankami (przyp. red.).**

Tymczasem ona po prostu kiwnęła głową i odwróciła się po kubeczek, Graham zaś zdał sobie sprawę, że to za mało, zdecydowanie za mało. Głowił się nad zagajeniem rozmowy - napomknięciem od niechcenia o czymś, o czym do siebie pisali w e-mailach, przytoczeniem jakiegoś prywatnego żartu - lecz wtedy ponad jego ramieniem rozległ się głośny trzask. Jakiś fotograf podszedł z aparatem zbyt blisko szyby, a Graham uzmysłowił sobie, że to chyba nie najlepszy moment na pogawędkę.

- Spodoba ci się tutaj - mówiła, podając lody. - Świetne miejsce na spędzenie lata.

Jej ton był lekki jak piórko i otwarcie kokieteryjny. Graham musiał sam siebie upomnieć, że nie należało zakładać z góry, iż okaże się zupełnie inna niż reszta dziewczyn. Gdyby uświadomiła sobie, kto przed nią stoi - kogo naprawdę ma przed sobą - wówczas by zaskoczyła, lecz do tego czasu dziwienie się, że zalotnie odrzuca włosy przy nakładaniu lodów, było nieuzasadnione.

- Tak? - powiedział, kładąc dziesiątaka na ladzie i machając ręką, żeby nie wydawała reszty. - Gdzie tu można zjeść dobrą kolację?

- W Lobster Pot - wyjaśniła, uśmiechając się z udawaną nieśmiałością. - Moje ulubione miejsce.

Graham pokiwał głową.

- Cóż, w takim razie - rzekł - może zechciałabyś mi towarzyszyć dziś wieczorem?

- Ja? - spytała dziewczyna, patrząc na niego ze szczerym zdziwieniem. - Serio?

- Serio - potwierdził, posyłając jej zniewalający uśmiech, ten sam, który w jego wcześniejszym życiu nie miał aż takiej siły rażenia, lecz który obecnie wykazy-

wał osobliwą zdolność przyprawiania hord nastolatek o miękkie kolana.

- Bardzo chętnie - odparła o oktawę za wysokim głosem.

Skinął głową i nastąpiła niezręczna pauza. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że powinien zaproponować godzinę spotkania.

- Spotkamy się tam o dziewiątej? Wyglądała na zakłopotaną.

- O dziewiątej mogą już zamykać.

- Aha - bąknął. - No to o wpół do ósmej? Przytaknęła, a następnie podała mu łyżeczkę. Sięgnął

po nią nie od razu. Bezsenna podróż samolotem wyraźnie zaczynała dawać mu się we znaki, poczuł nagłe zmęczenie. Przepelniało go coraz głębsze rozczarowanie, choć nie bardzo wiedział z jakiego powodu. Przecież dokładnie tego pragnął. Tego miasteczka, tej dziewczyny. Była nie tylko urocza, ale absolutnie ładna i wyraźnie miała ochotę pójść z nim na kolację. Na cóż więcej miał nadzieję?

Wcisnął łyżeczkę w lody, które zaczynały się już topić, po czym uniósł kubeczek w geście pożegnania. Gdy się odwrócił, przywitały go oślepiające flesze aparatów przy oknie, tak więc na moment zamknął oczy. Jednak światła nie chciały zgasnąć i nie widział przed oczami nic prócz gwiazd.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: niedziela, 9 czerwca 2013, 11:11

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: jak wygląda szczęście

Zmiana pór roku.

ROZDZIAŁ 3

Ellie uważała, że wejście do sklepu z pamiątkami „Radosne Myśli” przypomina nieco wkroczenie w głąb umysłu mamy. Trudno było doszukać się tam oznak jakiegokolwiek zmysłu organizacji, jak też oczywistego motywu przewodniego zawartości sklepu. Osiem lat temu, kiedy mama go kupiła, służył ze sprzedaży mebli oraz akcesoriów do wystroju wnętrz, wypełniały go elegancko ustawione świece, obrączki do serwetek oraz wszelkiego rodzaju wazonny. Poprzednia właścicielka przeniosła się na zasłużoną emeryturę na Florydę, zrezygnowawszy ze spędzania zim w Maine całe wieki temu. Ellie była całkowicie przekonana, że gdyby dane jej było zobaczyć, co stało się z tym miejscem, kobiecie zjeżyłby się włos na głowie.

Obecnie brakowało tam ładu i składu. Cały sklep miał wielkość mniej więcej dużej szkolnej klasy, ale zagracało go tyle rozmaitych przedmiotów, że sprawiał wrażenie jeszcze mniejszego. Nadal sprzedawano tam podkładki pod talerze, młynki do pieprzu, lampy, poduszki oraz rozmaite przedmioty domowe, lecz obok nich znalazły się także książki, stare zabawki oraz kubelki wypełnione po brzegi cukierkami ciągutkami. Były kartki z życzeniami i pocztówki, koszulki i stroje kąpielowe, zabawki plażowe i gry planszowe.

No i oczywiście homary. Nie żywe - choć Ellie wcale nie doznałaby jakiegoś strasznego szoku, natknąwszy się w całym tym rozgardiaszu na akwarium - tylko kubki i czajniczki z homarami, breloczki do kluczy, zakładki do książek i dzwoneczki wietrzne. Był tam nawet ogromny pluszowy homar od lat zalegający na tyłach sklepu. Miał rozmiary sporej małpy, do tego czarne marmurowe oczy oraz przeskalowane czułki, i niejedną raz wystraszył niepodejrzewające niczego dziecko, które z impetem wypadło zza rogu.

Quinn zawsze aż świerbiło, żeby zaprowadzić tam porządek, natomiast Ellie lubiła ten chaos. Praktycznie wychowała się w sklepie i traktowała go jak przedłużenie domu, zabałaganioną szafę albo piwnicę ze skarbami. Od wielu lat mama miała nadzieję na powiększenie powierzchni, zatrzymywała się co rano przed zakurzoną witryną sąsiedniego lokalu, dawnego biura nieruchomości, który stał pusty od wieków. Ale zawsze brakowało na to pieniędzy. Teraz zaś nie bardzo wystarczało nawet na uchronienie domu przed rozsypaniem się na kawałki. Toteż rupieciarnia w sklepie nieustannie rosła. Najwyraźniej nie przeszkadzało to klientom, podobnie jak Ellie.

Spędziła tam niezliczone popołudnia, odrabiając lekcje ołówkami w kształcie homara, balansując na starym kufrze kapitańskim w oczekiwaniu na zamknięcie sklepu, siedząc w oknie i nasłuchując, jak fale rozbijają się o skały w dole ulicy. Najbardziej lubiła kolekcję ramek ustawionych na półkach w najdalszym kącie. Miały wszelkie możliwe kształty, kolory i rozmiary, niektóre z nich srebrne, inne drewniane, jeszcze inne wykonane

z oszlifowanego przez morze szkła albo zdobione subtelnymi ornamentami na brzegach. W każdą ramkę zamiast błyszczącej fotografii był oprawiony wiersz.

Wiele lat temu pewnego zimowego dnia, kiedy śnieg usypał pod witryną wysokie zasy, a w sklepie panowały spokój i cisza, mama zostawiła Ellie na posterunku, sama zaś udała się na poszukiwanie gorącej czekolady. Pod jej nieobecność Ellie zajęła się studiowaniem zdjęć w ramkach, czarno-białych wizerunków szczęśliwych rodzin szczerzących zęby w uśmiechu. Były tam pary patrzące sobie w oczy, rodzice trzymający dzieci za ręce, całe rodziny na piknikach, leśnych przechadzkach albo na pokładach rozmaitych łodzi. Gdy jej wzrok przeskakiwał z obrazka na obrazek, Ellie uświadomiła sobie, że dokładnie cztery fotografie przedstawiają ojców z córkami na barana i nie ma ani jednej, która pokazywałaby matkę z córką.

Tamtej zimy miała osiem lat, wystarczająco dużo, by rozumieć, że nie wrócą już do Waszyngtonu, lecz za mało, by dobrze pamiętać twarz ojca, której obraz wymykał się jej ze wspomnień niczym piskorz. I kiedy tak patrzyła na te wszystkie radosne twarze tapetujące ścianę sklepu, coś w niej pękło.

Zanim wróciła mama z kubkami parującego kakao w obu rękach, Ellie zdążyła metodycznie wyjąć z ramek wszystkie fotografie, skrętnie podrzeć je na kawałki i wyrzucić do śmieci. Mama stanęła w progu z policzkami zaróżowionymi od chłodu i konsternacją w oczach, potem odstawiła kubki i odwinęła szalik. Bez słowa przeszła przez sklep, chwyciła opakowanie nowych kredek powieszonych na haczyku w dziale z zabawkami i wręczyła je Ellie.

- Coś mi się zdaje, że i tak zrobisz to lepiej - rzekła.

Od tamtej pory ramki zawierały wykonane na kolorowym papierze rysunki, wielobarwne szkice drzew, łódek i homarów. Kiedy Ellie była już starsza, przerzuciła się na poezję, oprawiając swoje ulubione strofy nabazgrane drobnym pismem. Klienci zaczęli przystawać na dłużej w tym rogu, dokładnie przeglądając zawartość półek, zatopieni w słowach, a zakątek ów przyciągał nie mniejszą uwagę niż reszta towarów. Turyści wykupywali niemal na pniu ramki z wierszami poświęconymi Maine, a gdy Ellie wybrała się pewnego razu na imprezę urządzaną przez kolegę z klasy, zauważyła, że w ramce kupionej przez jego mamę wiele miesięcy temu wciąż brakowało rodzinnej fotografii. Stała w holu, z ulubionym wierszem Ellie, poematem W.H. Audena zamiast zdjęcia.

Gdy tego popołudnia weszła do sklepu, mama otwierała akurat nowiutki karton ramek. Zbliżywszy się na tyle, by dostrzec jego zawartość, Ellie parsknęła śmiechem.

- To nie są...

- Wiem - przerwała z jękiem mama. - Przysłali nam nie te, co trzeba.

- Może przydadzą się jakiemuś sklepowi z pamiątkami w Maryland.

- Kto chciałby ramkę z krabem? Ellie nie przestawała się uśmiechać.

- A kto z homarem?

- Ej - rzuciła wesoło mama. - Nie czepiaj się homarów. To nasz chleb powszedni. Że tak powiem. - Przystąpiła do owijania ramek bibułą i pakowania ich z powrotem do pudła. - Co ci wypadło, że się spóźniłaś? Byłaś zajęta gapieniem się na gwiazdy filmowe, tak jak wszyscy w miasteczku?

Ellie zawahała się, a potem potrząsnęła głową.

- Quinn miała drobny wypadek z koktajlem akurat w chwili, kiedy wychodziłam, więc pomogłam jej sprzątać.

- Aha - odparła mama, odsuwając karton na bok. - Dlatego powinnaś pracować tylko tutaj. Bo co jak co, ale porządkiem to my tu nie grzeszymy.

Ellie znacząco podniosła brwi, omiatając wzrokiem panujący wśród towarów bałagan, przedmioty porozrzucane jak popadnie, czyniące ze sklepu labirynt - i obie wybuchnęły śmiechem. Było jednak jasne, że mama nie do końca żartowała w kwestii drugiego zajęcia. Gdy kilka miesięcy temu Ellie podjęła pracę na zmiany w Sprinkles, mama nie była zachwycona.

Bo odkąd Ellie sięgała pamięcią, pieniądze stanowiły problem. Gdy była młodsza, nie spędzało jej to snu z powiek. Obie miały wszystko, czego potrzebowały. Jednak tej jesieni Ellie rozpoczynała ostatni rok liceum, co oznaczało, że studia - a wraz z nimi horrendalnie wysokie czesne - konkretyzowały się coraz bardziej. Nie chciała iść na uniwersytet stanowy; marzyła o Ivy League, dlatego zaczęły już przymierzać się do pożyczki, na maminy biurku piętrzyły się papiery, kolumny cyfr i procentów, długie ciągi zapisane drobnym maczkiem. Już samo to wystarczyło, by wzbudzić w Ellie poczucie winy, przyprawić o palpacje serca za każdym razem, gdy poruszały ten temat.

Kilka miesięcy temu okazało się, że przyjęto ją na letni kurs poezji na Harvardzie. Dostanie się tam graniczyło z cudem. Ellie wysłała zgłoszenie pod wpływem nagłego kaprysu, zobaczywszy ulotkę przyklepioną do tablicy ogłoszeniowej w gabinecie angielskiego, i nie przemknęło

jej nawet przez myśl, że mogłaby zostać wybrana. Tylko piętnaścioro uczniów szkół średnich z całego kraju mogło dostąpić zaszczytu zamieszkania w akademikach Harvardu oraz spędzenia trzech pierwszych tygodni sierpnia na studiowaniu poezji. Ale kurs kosztował nieco ponad dwa tysiące dolarów i nie oferowano żadnych stypendiów ani innej pomocy finansowej.

Tamtego wieczoru, kiedy powiedziała o kursie mamie, dostrzegła w jej oczach wahanie.

- To fantastyczna okazja - zaczęła ostrożnie mama, starannie dobierając słowa. - Jestem z ciebie taka dumna, że się dostałaś. Ale...

Ellie nie pozwoliła jej dokończyć. Nie mogła tego znieść.

- W dodatku przyznali mi stypendium - wtrąciła, obserwując z ulgą, jak twarz mamy ponownie rozjaśnia się w uśmiechu, a wyraz strapienia ustępuje miejsca niczym niezmaconej dumie.

- Jakżeby inaczej - rzekła, przytulając córkę. - Tak bardzo się cieszę.

Ellie musiała powiadomić organizatorów o swoim przyjeździe przed końcem maja. W tym czasie miała na rachunku oszczędnościowym dokładnie sto siedemdziesiąt osiem dolarów i dwadzieścia cztery centy oraz absolutnie żadnego planu, jak poprawić stan konta do momentu rozpoczęcia kursu i konieczności wniesienia opłaty. Mimo wszystko odesłała formularz, zaznaczywszy kwadracik obok słów „Tak, wezmę udział!”.

Praca w Sprinkles pomagała. Jednak z obliczeń Ellie wynikało, że nawet pomimo zarobionych tam pieniędzy oraz wynagrodzenia z „Radosnych Myśli” pod koniec lata i tak

będzie jej brakowało połowy kwoty. Quinn zaoferowała pożyczkę i choć Ellie bardzo doceniła gest przyjaciółki, wiedziała, że nie może na niej polegać. Pieniądze miały zwyczaj błyskawicznego przeciekania przez palce Quinn, wypłata zniknęła zwykle tego samego dnia, w którym się pojawiła

- kilka godzin zakupów w sieci i pyk, forsy nie było.

Nie mogła jednak znieść myśli o konieczności oddania swego miejsca na kursie jakiejś posiadającej fundusz powierniczy pannie, której lato upływa na wylegiwaniu się przy basenie klubu dla śmietanki towarzyskiej. Nie ma mowy, żeby Ellie nie pojechała, i nie mogło być mowy o poproszeniu mamy o pomoc w pokryciu różnicy, skoro ledwo wiązały koniec z końcem. Sprawę dodatkowo pogarszała świadomość, że mama nie odmówi. Nieważne, co musiałyby zrobić - sprzedać sklep, oddać nerkę, obrabować bank

- dokonałaby cudu i właśnie dlatego córka nigdy przenigdy nie zwróciłaby się do niej z prośbą o finansowe wsparcie.

Od zakończenia roku szkolnego desperacja Ellie zaczęła narastać, spędzała całe dni w jednej lub drugiej pracy, a wieczorami opiekowała się dziećmi. Widziała, że mamę martwi ta zawodowa nadgorliwość, bo zarobkowanie odbierało Ellie lato.

- Masz szesnaście lat - mówiła córce. - Powinnaś używać życia i korzystać z wakacji.

- Tak mi dobrze - powtarzała w kółko Ellie.

Stały po dwóch przeciwnych stronach kontuaru, dzwoneczki brzęczały na wpadającym przez okno wietrze, a Ellie była przekonana, że za chwilę znów wdadzą się w rozmowę, tę samą, która ostatnimi czasy ciągnęła się bez końca jak pętla w kiepskim nagraniu. Jednak w oczach mamy i córki widać było niechęć. Żadna z nich

nie miała ochoty rozmawiać na ten temat, żadna nie chciała wszczynać sporów.

Kiedy zatem otworzyły się z hukiem drzwi, Ellie odwróciła się gwałtownie w przyływie ulgi. Upłynęła dłuższa chwila, nim Quinn wychynęła spośród wiszących obok kasy podkoszulków, a kiedy wreszcie stanęła przed przyjaciółką, miała wypieki na twarzy.

- Okej - rzekła Quinn, podniósłszy obie ręce, jakby miała za chwilę rzucić jakieś zaklęcie. - Okej, okej, okej.

Mama pochyliła się do przodu i zwróciła do Ellie.

- Czy ona przechodzi załamanie nerwowe?

- Sprawa jest poważna, pani O - odparła Quinn, opadając na niebieską poduchę wypełnioną styropianowymi kuleczkami. - To coś jak nagły potworny wypadek.

- Wszystko w porządku? - zapytała wciąż niewzruszona mama.

Ellie i Quinn były najlepszymi przyjaciółkami od piątego roku życia i jeśli rodzina O'Neillów czegoś się w tym czasie nauczyła, to tego, że Quinn miała talent do dramatyzowania. Jej definicja nagłego wypadku była dość specyficzna.

- Czy w porządku? - powtórzyła Quinn, wybałuszając oczy. - Idę na randkę z Grahamem Larkinem.

Nastąpiła dłuższa cisza, podczas której matka i córka przyswajały sobie to obwieszczenie. W tej samej chwili, kiedy Quinn wypowiedziała jego imię, zaskoczona Ellie przypomniała sobie wyraz oczu chłopaka. Intensywnym mruganiem powiek usiłowała strząsnąć z siebie to wspomnienie. Tuż za jej plecami zakłopotana mama wzruszała ramionami.

- Kim jest Graham Larking? - spytała, a w odpowiedzi Quinn posłała jej surowe spojrzenie.

- Graham L a r k i n - poprawiła - to jedna z największych gwiazd na świecie.

Ellie roześmiała się, widząc nadal całkowicie skonsternowaną minę mamy.

- Gra w tym cyklu o czarodziejach - wyjaśniła - a teraz występuje w filmie, który właśnie u nas kręcą.

- I ty się z nim umówiłaś? - rzuciła mama do Quinn, która najpierw zadarła, a potem opuściła brodę. - Przez cały dzień nie wyściubiłam stąd nosa. Czy gwiazdy filmowe kręczą się po miasteczku i zapraszają na randki?

- Przyszedł do Sprinkles - tłumaczyła Ellie. - I zapewne uznał, że Quinn nie sposób się oprzeć, co najmniej tak samo jak lodom. A propos, kto pilnuje sklepu?

Quinn machnęła ręką, jakby to była mało istotna sprawa.

- Zostawiłam tam Devona - powiedziała. - Stwierdził, że da sobie radę. Potrzebuję twojej pomocy, żeby się wyszykować.

Ellie nie mogła nie poczuć współczucia dla nieszczęsnego Devona Alexandra, który durzył się w Quinn od lat i prawdopodobnie nie miał bladego pojęcia, że samotnie obsługuje cukiernię w godzinach największego ruchu, by jego ukochana mogła przygotować się na randkę z gwiazdorem filmowym.

- No cóż - westchnęła mama, wyciągając czerwoną kauczukową kulkę ze słoja przy kasie i przerzucając ją z roztargnieniem z ręki do ręki. - Trafiłaś pod właściwy adres. Jestem dumna z mojej córki pod wieloma względami, ale przede wszystkim cenię sobie jej wycucie stylu...

- Bardzo zabawne - odcięła się Ellie, spoglądając na swój strój: dzinsową spódnicę, zwykłą białą koszulkę na

ramiączkach i czarne gumowe japonki, stanowiące jej letni mundurek.

- Tak naprawdę potrzebuję wsparcia duchowego

- oznajmiła Quinn, podskakując na jednej nodze. - Nic się nie stanie, jeśli porwę ją dziś wcześniej?

- Dopiero przyszedłam... - zaczęła Ellie, ale mama już kiwała głową na znak przyzwolenia.

- Nie ma sprawy - zapewniła, nie przestając żonglować gumową piłeczką. - Naprawdę. Nie możemy wysłać Quinn na randkę z taką sławą, skąpiąc jej odrobiny pomocy, prawda?

W głosie pani O'Neill pobrzmiwała żartobliwa nuta, lecz Quinn była zbyt rozkojarzona, by ją wyłapać.

- No właśnie - potwierdziła, kołysząc się na piętach. Była nakręcona jak sprężyna, nie potrafiła nawet przez chwilę ustać w miejscu. - Bo to nie byle co. Szkoda, że nie widziałyście tych wszystkich aparatów pod cukiernią. Nawet sobie nie wyobrażam, co będzie wieczorem...

Mama Ellie wypuściła piłeczkę, która upadła na podłogę, odbiła się od kosza ze sprzętem do nurkowania i potoczyła do narożnika.

- Aparaty, powiadasz?

- Tak, całe mnóstwo - ciągnęła Quinn, a tymczasem Ellie zastygła w bezruchu, utkwivszy wzrok w drewnianej podłodze, by uniknąć spojrzenia mamy. - W tej chwili wszyscy koczują przy planie zdjęciowym, ale później na pewno będą łączyć za Grahamem krok w krok. - Przerwała, nie zauważając napięcia na twarzach słuchaczek. - Paparazzi w Henley. Szaleństwo, co?

- No - przyznała Ellie, zerkając z ukosa na mamę.

- Czyste.

- Szkoda, że nie zamierzam zostać aktorką. Ani gwiazdą programów na żywo czy kimś podobnym - stwierdziła Quinn. - Byłaby to dla mnie niezła gratka.

- Rzeczywiście, wielka szkoda, że chcesz zostać tylko morskim biologiem. Przypuszczam, że zaproszenie na kolację wystosowane przez wieloryba znacznie lepiej przysłużyłoby się twojej karierze - skomentowała to wyznanie pani O'Neill.

Quinn parsknęła śmiechem.

- Mimo że beznadziejni z nich rozmówcy.

- W takim razie będziesz chyba zmuszona poprzestać na gwiazdzie filmowej - skwitowała mama Ellie z uśmiechem. - Tylko uważaj na tych fotografów, dobrze?

- Jasne - odparła Quinn. - Dość naczytałam się plotkarskich magazynów, żeby nie afiszować się przykusą spódniczką.

- Niezupełnie to miałam na myśli - usłyszała w odpowiedzi. - Ale masz rację. Lepiej idźcie poszukać czegoś stosownego do ubrania. Twoja stylistka ma oficjalnie wolne popołudnie.

- Dziękuję, pani O - powiedziała Quinn, chwytając przyjaciółkę za przegub i ciągnąc ją w stronę drzwi, od razu recytując listę rzeczy, jakimi muszą się zająć, by przygotować się na wieczór. Zanim wyszły na zewnątrz, Ellie wyrwała rękę i truchtem podbiegła do kasy, chcąc uścisnąć mamę.

- Dzięki - rzuciła.

- Nie ma sprawy - szepnęła mama i się odsunęła. - Cieszę się tylko, że nie padło na ciebie.

Ellie pomyślała raz jeszcze o oczach Grahama Larkina, tak smutnych i pełnych rezerwy, o tym, jak przystanął

przed cukiernią, zwiesiwszy ramiona, nasunawszy głęboko na oczy daszek czapki, a fotografowie, cierpliwi i czujni jak snajperzy, już skradali się za jego plecami. Obejrzała się na Quinn, która praktycznie tańczyła z radości, przestępując z nogi na nogę, i dotarło do niej, jakie to wszystko skomplikowane, nie tylko aparaty fotograficzne i przyczepy dla ekipy filmowej, lecz także spojrzenia pełne pytań bez odpowiedzi. Nagle jedyne, czego zapragnęła Ellie, to pójść do domu i napisać e-mail, przesłać swoje myśli na drugi kraniec Stanów jak list w butelce, jak wiersze w ramkach.

Odwróciła się do mamy z nieznacznym skinieniem głowy.

- Wiem - powiedziała. - Ja też.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: niedziela, 9 czerwca 2013,15:02

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: jak wygląda szczęście
Poznawanie nowych ludzi.

ROZDZIAŁ 4

Światło złociło się nad wodą w ostatnich godzinach popołudnia. Graham szedł na kolację okrężną drogą, skręcił na plażę, gdzie przystawał raz po raz, schylając się po kamień, ważąc go w dłoni i ponownie upuszczając na ziemię. Przez cały dzień wabił go zapach oceanu.

Obok przeszła para opalonych turystów z leżakami pod pachą, lecz nie zadali sobie trudu, by na niego spojrzeć, i Grahama przeszedł dreszcz zachwytu. Po premierze pierwszego filmu było całkiem inaczej; za każdym razem, gdy ktoś rozpoznał go w miejscu publicznym, uznawał to za rodzaj wyróżnienia, jakby jakimś dziwnym trafem pasowano go na rycerza: Graham Larkin, Ktoś. Teraz jednak serce biło mu mocniej, gdy mijano go obojętnie, gdy mógł cieszyć się odrobiną anonimowości, która ostatnimi czasy stała się prawdziwą rzadkością.

Zerknął na zegarek, uświadamiając sobie, że jeszcze chwila i się spóźni, zamiast jednak zawrócić w stronę drogi, stanął twarzą do oceanu, patrząc, jak światło umyka znad wody. Na horyzoncie widać było jeszcze kilka łodzi, ich kontury rysowały się na tle słońca i Graham zatęsknił nagle za znalezieniem się tam razem z nimi.

Przypomniał sobie wyprawę na ryby, na którą pojechał z ojcem, gdy miał zaledwie osiem lat. Podskakiwali

na wodzie w małej łódce wiosłowej, z pomarańczowych kamizelek ratunkowych wystawały im tylko głowy. Przez trzy dni zakładali przynętę, zarzucali wędki i niczego nie złowili. Tato wciąż przepraszał, jakby to była jego wina, że jezioro nie chciało współpracować, i gdy ostatnie popołudnie powoli zmierzało ku końcowi, wydawał się coraz bardziej przygnębiony. To on zaproponował tę eskapadę, powtórkę męskiej wyprawy umacniającej wzajemne więzi, jaką odbył kiedyś z własnym ojcem. Od miesięcy opowiadał Grahamowi o mnóstwie ryb, które z pewnością złowią.

- Łososie? - pytał Graham, a tato kręcił głową.

- Prawdopodobnie nie. Trudniej je spotkać. Ale pstrągi - wyjaśnił. - Całe masy pstrągów. Zobaczysz.

Nie zabrali ze sobą niczego na kolację - tak bardzo ojciec był pewien udanego połowu - zatem poprzedniego wieczoru jedli na ganku domku letniskowego suszoną wołowinę i serowe warkocze, tłukąc packą komary i słuchając cykania świerszczy. Ostatniego popołudnia byli już bliscy dania za wygraną, gdy Graham wpadł raptem na pomysł wbicia na haczyk kawałeczków suszonej wołowiny. Tato pochylił się, mała łódka zachybotła, zaświeciły mu się oczy.

- To jest myśl - pochwalił, odrywając kawałek mięsa. Wędka Grahama drgnęła pierwsza, pstrąg tęczowy

złapał się na haczyk i szamotał, a tato pomagał synowi wciągać rybę. Potem poszło jak z płatka. Tato złowił jeszcze trzy pstrągi, a Grahamowi trafił się mały karp. Światło dzienne gasło, tafla wody ciemniała, lecz żaden z nich nie chciał przestać wędkować. Czuli się jak w bajce, jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki w tej ostatniej godzinie przed zmrokiem zawarli trzy dni łowienia ryb, wspomnienia z całego weekendu.

Kiedy Graham poczuł ostatnie szarpnięcie wędki i zakręcił kołowrotkiem, ujrzał na haczyku małego łososa, połyskującego srebrzyście w półmroku.

- Dowiodłeś, że się myliłem - rzekł tato z uśmiechem. Rozparł się w łódce z zadowoleniem i pokazał puste opakowanie po suszonym mięsie. - Wygląda na to, że zła przynęta wabi dobrą rybę.

Graham rozmyślał teraz o tamtej wyprawie, zawracając w stronę miasteczka i zostawiając w tyle łódzie rybackie. Może tak samo było z Ellie. Zarzucił wędkę w poszukiwaniu pstrąga, a zamiast niego złowił łososa. Nie mógł powstrzymać uśmiechu, choć podejrzewał, że taka dziewczyna jak Ellie mogłaby zaprotestować przeciwko porównywaniu jej do ryby.

Wyglądził gors koszuli, przechodząc obok przyczep filmowych, teraz ciemnych i cichych. Nakręcili już kilka scen w studiu w Los Angeles, ale zdjęciom plenerowym, zwłaszcza w takim miejscu, zawsze towarzyszyło podniecenie, które nie mogło nie udzielić się także Grahamowi. Przez ostatnie dwa lata grał tę samą postać i pracował z tymi samymi aktorami, odmiana przynosiła zatem ożywczy powiew. Nowy reżyser, nowy scenariusz, nowa partnerka ekranowa - wszystko to pomagało przypomnieć sobie, dlaczego w ogóle Grahamowi spodobało się aktorstwo. Lubił to wyzwanie, znalezienie się w cudzym życiu, jakby był turystą w nieznanym miejscu i po omacku odnajdował właściwą drogę.

Restauracja Lobster Pot znajdowała się niedaleko plaży; Graham widział ją z ulicy. Było parę minut po wpół do ósmej, co oznaczało, że Ellie prawdopodobnie już czeka. Przy wejściu czyhała grupka fotografów, zdradzały ich

ciemne ubrania, mimo że starali się nie wyróżniać wśród turystów. W pobliżu zaparkowało kilka motocykli. Nieraz ścigały Grahama, gdy próbował wymknąć się niepostrzeżenie z restauracji albo klubu. W tych pościgach było coś nieprawdopodobnie absurdalnego i choć chłopak rozumiał, że ci ludzie po prostu wykonują swoją pracę, nie uznawał stosowanych przez nich metod, a w jeszcze mniejszym poważaniu miał tych, którzy w swojej desperacji czytali dziennikarskie rewelacje. Bo wcale nie był wart, żeby na jego temat pisano. Był zwykłym siedemnastolatkiem, przystojniejszym niż przeciętny chłopak, który od czasu do czasu zaprasza na kolację ładną dziewczynę i przyzwoicie gra swoją rolę, lecz głównie przesiaduje w domu, czytając książki w towarzystwie udomowionej świnki.

Gdy podszedł bliżej, fotografowie chwycili za aparaty i zaczęli wołać go po imieniu. Skulił się w sobie, kiedy go obstąpili. Było ich mniej niż poprzednio, zaledwie czterech lub pięciu; pozostali prawdopodobnie wykazali zdrowy rozsądek i poszli coś zjeść albo obejrzeć telewizję w hotelowym pokoju czy zadzwonić do dziewczyny. Za to ci, którzy sterczeli pod restauracją, pstrykali jak szaleni, trzaskały flesze, zasypywano go pytaniami, a każde kolejne było bardziej bezpardonowe od poprzedniego.

- Kim jest ta dziewczyna, Grahamie? - zapytał jeden z nich, facet wielki jak czołg, z brylantowym kolczykiem w uchu i łysą głacą, która odbijała ostatnie promienie słonecznego światła. - Dopiero się poznaliście? Co na to Olivia? Chodźcie ze sobą oficjalnie?

Chłopak zlekceważył ich wszystkich, przepychając się do wejścia. W drzwiach restauracji przywitał go postawny mężczyzna o potężnych ramionach i przystrzyżonej brodzie.

- Joe Gabriele - przedstawił się, wyciągając wielką rękę. - Właściciel. Lubi pan homary?

Graham skinął głową, zaskoczony pytaniem.

- To dobrze - rzekł Joe. - Pan będzie jadł u nas dużo homarów, a ja będę trzymał tych błaznów z daleka. Umowa stoi?

- Stoi - dobił targu, spoglądając w głąb sali, by zobaczyć, czy Ellie już przyszła.

Ściany restauracji były obwieszane wysłużonymi bojami i starymi zegarami morskimi, oprawionymi w ramki obrazami szkunerów, homarów i wielorybów oraz sieciami rybackimi rozpiętymi jak girlandy chorągiewek. Na krześle w rogu pod wielką żelazną kotwicą, jakby wyjętą prosto z łodzi rybackiej, Graham rozpoznał dziewczynę po ciemnych włosach związanych nisko w koński ogon. Stoliki wokół niej były puste, był wdzięczny Joemu za oczyszczenie terenu. Nie ma nic gorszego niż próba prowadzenia prywatnej rozmowy przy cichym pstrykaniu aparatów w telefonach, dobiegającym ze wszystkich stron.

Joe wskazał stolik na wypadek, gdyby Graham czuł się zagubiony, po czym odmaszerował do kuchni. Tymczasem Graham nie ruszał się z miejsca, nagle zmrożony niepewnością. Nie chodziło o to, że był rozczarowany. Jakżeby mógł? Dziewczyna była bezsprzecznie piękna. Ale od chwili wyjścia po południu z cukierni cały czas próbował określić, co właściwie czuje przed wieczornym spotkaniem. Czyż nie powinien być bardziej podekscytowany po tak długim oczekiwaniu i wymianie tak wielu e-maili? Czyż nie powinien skakać z radości? Czyż nie powinien czuć... czegoś?

Może naczytał się zbyt wiele scenariuszy ze szczęśliwym zakończeniem. Może zbyt dużo czasu spędził w Hollywood. Nigdy wcześniej nie był zakochany, nie miał zatem pojęcia, czego się spodziewać. Może właśnie tak to wyglądało: nawiązujesz z dziewczyną znajomość na odległość, lubisz z nią rozmawiać bardziej niż z kimkolwiek innym, a potem zjawiasz się, ona jest olśniewająca, a ty uważasz się za szczęściarza.

Mimo wszystko liczył na coś więcej. Myślał, że kiedy ją ujrzy, kiedy po raz pierwszy spotkają się ich spojrzenia, będzie jakoś inaczej. Że wszystkie te hollywoodzkie schematy są oklepane nie bez powodu. Sygnały miały być jednoznaczne, czyż nie? Jak rażenie piorunem.

Tymczasem, zbliżając się do stolika w tej oto restauracji, czuł w sobie dziwną pustkę. Gdy dziewczyna się odwróciła i na niego spojrzała, nie było żadnych gwiazd w oczach ani fajerwerków, zupełnie nic. Tylko ich dwoje, gapiących się na siebie nawzajem, odrobinę skrępowanych i nerwowych.

- Dzięki, że przyszałaś - zdołał wykrztusić, zajmując miejsce. Gdy tylko usiadł, uświadomił sobie, że powinien był cmoknąć ją w policzek, ale odpowiedni moment już minął. Rozłożył serwetkę i patrzył, usiłując dopasować siedzącą przed nim osobę do tej, która pisała mu o swoim wielkim umiłowaniu poezji.

- Fotografowie bardzo dali ci w kość? - zapytała lekko drżącym głosem.

Widział, że jest spięta, ale nie potrafił temu zaradzić. Kiedy umawiał się z dziewczynami w swoim mieście, a jego twarz była już znana z kolorowych magazynów, próbował rozładować napięcie, mówiąc, że nie ma po-

wodu do zdenerwowania, jednak zawsze osiągał przeciwny efekt. Dziewczyny peszyły się jeszcze bardziej, były roztrzęsione i dostawały mocniejszych wypieków na twarzy. Obserwował, jak jego towarzyszka obraca na przegubie srebrną bransoletkę, nie mogąc spokojnie usiedzieć.

- Nie było aż tak źle - odparł. - Daleko im do tych z Los Angeles.

- Nie wątpię - rzekła, a Graham wziął do ręki kartę dań, zastanawiając się, jak by tu zmienić temat.

Nie bardzo wiedział, jak dać dziewczynie do zrozumienia, że to z nim korespondowała przez te kilka miesięcy. Czy powinien podsunąć aluzję? Zapytać o mamę i psa, poruszyć jakiś wybrany na chybił trafił wątek, który przerabiali w e-mailach, coś bardziej oczywistego niż smaki lodów? Na przykład jej dziecięce podróże do Quebecu albo praca semestralna poświęcona poezji irlandzkiej?

Dłonie wilgotniały mu od potu, gdy gorączkowo roztrząsał różne warianty rozmowy. Wyobrażał sobie, że kiedy tylko usiadzie, natychmiast wyjawí całą prawdę. A teraz coś go powstrzymywało. Omiótł wzrokiem restaurację i otarł czoło.

- Co tu mają dobrego? - rzucił. - Homara?

- I owszem - powiedziała, odchrząknąwszy. - To specjalność lokalu.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się z przymusem.

- Tylko żartowałem - wyjaśnił, ona zaś oblała się głębokim rumieńcem. - Chyba zamówię owoce morza z mięsem.

- Byłeś już kiedyś w Maine? Czy jesteś tu po raz pierwszy?

- Po raz pierwszy. Nim zacząłem grać w filmach, nie ruszałem się poza Zachodnie Wybrzeże.

- No, no. A ja nie byłam nigdy w Kalifornii.

- Mieszkasz tu od urodzenia? - zapytał, choć znał odpowiedź, wiedział, że urodziła się w Waszyngtonie i przeprowadziła do Henley w dzieciństwie.

- Tak - odparła, na co on gwałtownie uniósł głowę. - Tak jak moi rodzice i dziadkowie. To coś w rodzaju rodzinnej tradycji. Mam na myśli to miasteczko.

Graham oparł łokcie na stole i zmarszczył czoło.

- Naprawdę? Od urodzenia?

- Tak - powtórzyła, obrzucając go zdziwionym spojrzeniem.

Nim zdążył cokolwiek dodać, zjawił się kelner z koktajlem z krewetek.

- Pozdrowienia od szefa kuchni - oznajmił, stawiając między nimi talerz i zbyt długo ociągając się z odejściem.

- Dzięki - rzekł Graham, a ku jego zdumieniu kelner, tyczkowaty chłopak o kręconych blond włosach i krzywym nosie spiorunował go wzrokiem.

- To... proszę - powiedział blondyn, wyraźnie siłąc się na twardy ton, choć jego głos brzmiał niepewnie. Odwrócił się i ruszył w stronę baru, ale słowa, które dobiegły zza jego pleców, nie pozostawiały żadnych wątpliwości. - To tak naprawdę dla Quinn.

Kelner zdążył już odejść, lecz zbity z tropu Graham wpatrywał się w dziewczynę, próbując sformułować właściwe pytanie.

- Przepraszam - odezwała się pierwsza. - Tak to już jest w małych miasteczkach. Wszyscy znają wszystkich,

a ci, z którymi się dorastało, bywają odrobinę nadopiekuńczy... -
urwała, zauważywszy minę Grahama. - Co?

- spytała. - Co się stało?

- Czy ty...? - zaczął, a następnie potrząsnął głową.

- Chciałem powiedzieć...

- Co? - ponowiła pytanie, gapiąc się na niego zmieszana.

- Quinn? - wykrztusił, na co dziewczyna pokiwała głową.

-Tak?

- Masz na imię Quinn?

- No... tak - potwierdziła, a po sekundzie najwyraźniej coś jej
zaświtało w głowie i zawołała. - O ludzie! Czy ja w ogóle się nie
przedstawiłam? Nie do wiary. Bardzo przepraszam.

Z twarzy Grahama nie znikał grymas, chłopak usiłował bowiem
połapać się w sytuacji.

- Przecież na koszulce, którą wcześniej miałaś na sobie... Ponownie
dostrzegł w jej oczach zrozumienie.

- Aha. Teraz pojmuję - zaczęła. Czekał na ciąg dalszy.

-Tuż przed twoim wejściem do lodziarni miałam drobną awarię z
koktajlem - wyjaśniła, pokazując na migi wybuch. - Dlatego
pożyczyłam koszulkę od mojej przyjaciółki Ellie.

Kiedy wypowiedziała to imię, Grahamowi wydało się ono wręcz
namacalne, jakby ugodziło go prosto w pierś.

- A więc ty nie masz na imię Ellie? Roześmiała się.

- Nie, ja jestem Quinn.

- To my nie pisaliśmy do siebie e-maili? Tym razem ona była zbita z
tropu.

- No... nie.

Graham potrząsał głową jak automat i choć musiało to wyglądać dziwnie, nie mógł przestać.

- Nie nazywasz się Ellie O'Neill - powtórzył, ona zaś ponownie zaprzeczyła. - I nie byliśmy wcześniej ze sobą w kontakcie.

- Co? Nie. Jak to? Zaraz. Czy to znaczy, że kontaktowałeś się z... - zaśmiała się nerwowo. - Kontaktowałeś się z Ellie?

- Tak - potwierdził Graham, nie umiając powstrzymać uśmiechu od ucha do ucha. - Słuchaj, przepraszam za to zamieszanie. Najmocniej cię przepraszam. Wiem, że z pewnością wydaje ci się to wszystko niezrozumiałe.

Quinn świdrowała go wzrokiem.

- Ty i Ellie.

Kiwnął głową, po chwili zebrał myśli i pokręcił nią przecząco.

- Nie do końca - sprostował. - To znaczy, nigdy się nawet nie spotkaliśmy.

- Przecież mówiłeś...

- Pisaliśmy do siebie e-maile, więc w zasadzie jej nie znam - wyjaśnił i dodał: - Ale chciałbym poznać.

- To wszystko nie trzyma się kupy - stwierdziła Quinn, osuwając się na krześle. - Ni w ząb nie rozumiem, co tu jest grane.

Kelner wrócił po talerze, ale żadne z nich nawet nie tknęło krewetek. Posłał więc Grahamowi kolejne złowrogie spojrzenie. Kiedy się oddalił, Quinn pochyliła się nad stołem.

- A więc ty i Ellie pisaliście do siebie e-maile - stwierdziła rzeczowo, a Graham przytaknął.

- Kilka miesięcy temu wysłałem do niej przez przypadek wiadomość i zaczęliśmy korespondować. To jedna z tych rzeczy, które tak po prostu... się przydarzają.

Bacznie mu się przyglądała.

- A teraz znalazłeś się tutaj. -Tak.

- W Henley.

- Tak - potwierdził z nieśmiałym uśmiechem. - W pięknym Henley w stanie Maine.

Gdy tylko Quinn skojarzyła fakty, jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. -I to dlatego?

- Co dlatego?

- Dlatego kręcicie tu film?

Graham starał się ukryć zmieszanie, wzruszając ramionami.

- Poniekąd.

- Przyjechałeś do Henley, żeby poznać Ellie? - pytała z rosnącym niedowierzaniem, a kiedy przyznał, że tak, znów potrząsnęła głową, jakby starała się przyswoić wszystkie te nowiny. - O kurczę - mruknęła do siebie, a po chwili powtórzyła głośniej: - O kurczę. - Chwyciła szklankę wody, ale nie podniosła jej do ust. - Nie chce mi się wierzyć, że Ellie nie pisnęła ani słowa. Przez cały ten czas korespondowała z Grahamem Larkinem i nie puściła pary z ust. - Quinn zamknęła oczy, tylko na chwilę, zamrugała powiekami i otworzyła je ponownie. - A zachowywała się tak, jakby kompletnie jej nie obchodziło, że jesteś w mieście.

Z twarzy Grahama zniknął uśmiech. Chłopak odchrząknął.

- Szczerze mówiąc, ona nie wie, że wysyłała te e-maile do mnie - rzekł, słysząc w swoim głosie obronną nutę.

Sięgnął po napój i pociągnął łyk.

Quinn westchnęła, po czym podniosła wzrok na Grahama.

- Prawdopodobnie już ją widziałeś. Była pod cukiernią, kiedy tam wchodziłeś. Jest dość wysoka. Ma rude włosy.

Serce podskoczyło mu w piersi. Odstawił szklankę, myśląc o zielonookiej dziewczynie, tej, która zmierzyła go wzrokiem.

- Tak, chyba ją widziałem. - Jego spojrzenie powędrowało w stronę drzwi, z trudem przeniósł go z powrotem na Quinn. - Świetnie - dodał, odwracając się i rozglądając za kelnerem, a następnie znów biorąc do ręki menu.

- Spróbuję ją jutro odszukać.

Quinn obserwowała go zza stolika, czuł na sobie jej uszczypliwe spojrzenie i po chwili odłożył kartę dań.

- No idź - rzuciła niespodziewanie, Graham zaś zrobił zdziwioną minę.

- Dokąd mam iść? - zapytał, starając się zapanować nad głosem.

Kiedy jednak nie stał przed kamerą, zupełnie nie potrafił kłamać i wiedział, że Quinn to zauważa.

- Idź jej poszukać - wyjaśniła z półuśmiechem. - Przejechałeś taki szmat drogi. Nie zamierzam zmuszać cię do siedzenia w moim towarzystwie przez cały wieczór.

- No co ty - zaprotestował bez przekonania Graham.

- Jest bardzo przyjemnie.

Przewróciła oczami, słysząc to kłamstwo.

- Naprawdę, nie ma sprawy - powiedziała, rzucając przez ramię spojrzenie na kelnera, który wciąż kręcił się w pobliżu kuchni. - Poproszę Devona, żeby dotrzymał mi towarzystwa. - Puściła oko. - I pozwolę ci zapłacić rachunek.

Graham się roześmiał.

- Na pewno?

- Na pewno - odparła i nim którekolwiek z nich zdążyło się rozmyślić, Graham wyłowił z portfela garść banknotów, położył je na stole i wstał z miejsca.

- Powinna być teraz w domu - poinformowała Quinn, wskazując na okno za plecami Grahama i główną ulicę miasteczka, która ucichła wraz z zapadnięciem zmierzchu. - Mały żółty domek niedaleko rogu Prospect i Sunset.

- Dzięki - powiedział i tym razem nie zapomniał cmoknąć Quinn w policzek.

Uśmiechnęła się.

- Przekaż jej, żeby dobrze się bawiła na mojej randce. Gdy Graham miał już wybiec przez frontowe drzwi restauracji, zjawił się obok niego Joe.

- Przegoniłem ich - oznajmił, wskazując ruchem głowy drugą stronę ulicy - ale jestem pewien, że nadal czatują gdzieś w pobliżu, więc jeśli planujesz ucieczkę, radziłbym wyjść przez kuchnię.

Chłopak podziękował i przemknął obok garnków ze świszczącymi homarami oraz kucharzy w białych koszulach. Tuż przed czmychnięciem za drzwi przystanął na moment koło Devona, który ze zdumioną miną przyglądał się temu wtargnięciu.

- Jak dojechać na róg Prospect i Sunset?

- Prosto główną ulicą, potem w lewo w Prospect - wytłumaczył lekko oniemiały kelner. - I trafisz dokładnie na miejsce.

- Dzięki, stary - rzekł Graham i poklepał go po ramieniu, otwierając drzwi. Wskazał głową salę restauracyjną. - Masz Quinn dla siebie.

Na dworze głęboko wciągnął zapach słonego powietrza. Nad wodą przygasało światło, cały świat spowijały odcienie błękitu. Ze wschodu powiał wiatr, zdmuchując Grahamowi włosy z czoła. Chłopak ruszył przed siebie ulicą, lekko, jak na skrzydłach, wiedziony jakże rzadką obietnicą drugiej szansy. Kiedy mijał stare domy i pensjonaty, w których oknach zaczynały zapalać się światła, rozmyślał o rudowłosej dziewczynie ujranej ledwie kilka godzin wcześniej, o jej oczach, które zatrzymały się na nim dłużej, spoglądając z dziwną intensywnością. Serce zabiło mu mocniej w rytm kroków, rytm, który niósł go naprzód z nową energią.

Gdy dostrzegł tabliczkę Sunset Drive, zwolnił kroku i zaczął przyglądać się każdemu domowi. O zmierzchu trudno było odróżnić białe od żółtych, zbliżając się jednak do obitego deskami budynku w stylu kolonialnym, zauważył światło na werandzie. I jeszcze zanim rozpoznał kolor ścian, dostrzegł dziewczynę siedzącą z podwiniętymi nogami na huśtawce i wiedział, że trafił na miejsce.

Podniosła wzrok znad książki. Lampa nad jej głową była mała, kłębił się w niej rój owadów, w gęstniejącym mroku krąg światła miał ograniczony zasięg. Kiedy przystanął, dziewczyna zadarła brodę i wyciągnęła szyję. Z niepewności w jej spojrzeniu wywnioskował, że jest dla niej tylko cieniem, zarysem postaci.

On zaś widział ją ze swego miejsca doskonale: falujące rude włosy, obszerny podkoszulek z uśmiechniętym homarem, podkurczone nogi, piegi na nosie. Zobaczył ją i było dokładnie tak, jak się spodziewał. Jakby dostał cios w brzuch.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: niedziela, 9 czerwca 2013,18:08

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: jak wygląda szczęście

Miłe niespodzianki.

ROZDZIAŁ 5

Z początku poza skrajem werandy nie było widać nic prócz ciemności. Gdyby nie chrzęst żwiru, Ellie nie zorientowałyby się, że ktoś w ogóle jest w pobliżu. Zaczęła uważniej nasłuchiwać. Jedyne cykanie świerszczy i szum fal dobiegający od strony ulicy, a z tyłu hałas robiony przez psa, który biegał jak szalony po drewnianych podłogach domu. Zmrużyła oczy i spojrzała w mrok, ale poza kręgiem światła, w którym siedziała, nie było nic; tylko wyczuwała czyjąś obecność, tak jak czuje się na sobie wzrok osoby obserwującej cię z drugiego końca zatłoczonego pomieszczenia - przyprawiająca o dreszcze świadomość, ciarki przebiegające po plecach.

- Halo? - zawołała, odkładając książkę na kolana. Jej własny głos wydał się dziwny nawet jej samej, jakiś taki wątpliwy i drżący. Słyszała, jak ten ktoś robi kolejny krok naprzód, i choć intensywnie mrugała powiekami, jej oczy wciąż nie przywykły na tyle do ciemności, by mogła rozpoznać postać. - Quinn?

Tym razem usłyszała odchrząkiwanie i wtedy zrozumiała, że to nie Quinn. Wstała z huśtawki, zaczął ogarniać ją lekki niepokój. W Henley było bezpiecznie, jak to w małych miasteczkach - chyba nawet bezpieczniej niż gdzie indziej -jednak latem atmosfera się zmieniała, zagęszczała, by zrobić

miejsce obcym. Każdy ze znajomych lub sąsiadów już dawno by do niej odchrząknął, zamiast skradać się w ciemności.

- Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć - odezwał się głęboki męski głos, który niósł się przez trawnik wraz z przybliżaniem się niewyraźnie zarysowanej postaci. - To tylko... ja.

Podszedł kilka kroków bliżej; pojawiał się stopniowo, jak człowiek wynurzający się z wody: najpierw oczy, potem usta, wreszcie pozostałe rysy, które wyostrzyły się nagle w świetle, ukazując znajomą twarz Grahama Larkina. Jak dotąd zagrał tylko w dwóch filmach - niecierpliwie wyczekiwana najnowsza część cyklu *Cylinder* miała wejść na ekrany tego lata - i choć Ellie nie oglądała żadnego z nich, znany był jej typowy zestaw min aktora, wielokrotnie widziała go bowiem w różnych programach telewizyjnych oraz na czerwonym dywanie. Była w nim zawsze jakaś zaduma, odrobina zniecierpliwienia. Teraz jednak, gdy stał na najniższym stopniu jej werandy, wydawał się co najmniej zmieszany. Wszystko to było tak nieoczekiwane, tak absolutnie nieprawdopodobne, że w pierwszym odruchu miała ochotę się roześmiać.

Nic nie powiedział, opuścił tylko kąciki ust i podrapał się nerwowo po karku. Miał na sobie koszulę w biało-niebieską kratę, z zatkniętymi w kieszeni okularami przeciwsłonecznymi i wyglądał dziwnie niepewnie. Ellie odniosła wrażenie, że sytuacja jest wyreżyserowana, że trafiła do jakiejś sceny z filmu.

- Przepraszam, ja...

- Wiem, kim jesteś - przerwała. - A gdzie Quinn? Przez chwilę tylko patrzył na nią w milczeniu, ale wreszcie jakby zrozumiał pytanie.

-Aa... Powiedziała mi, gdzie mieszkasz. Ellie przechyliła głowę.
- Po co? Jeśli coś nie wyszło, to jakim cudem przyszedłeś akurat tu?
- Prawdę mówiąc, doszło do pewnego nieporozumienia - zaczął chłopak, wchodząc na środkowy schodek. Pachniał miętą i czymś jeszcze, czymś mydlanym. Ta jego bliskość delikatnie odurzała. Miał taką minę, jakby czekał, aż Ellie poprosi go o wyjaśnienia, ona tymczasem milczała, oparta plecami o siatkowe drzwi. Po chwili odchrząknął. - Miała na sobie twoją koszulkę.

Ellie zmarszczyła czoło. -Co?

- Dzisiaj. W lodziarni.

- Okej... - zaczęła ostrożnie, nie bardzo wiedząc, do czego chłopak zmierza.

- Dlatego wziąłem ją za ciebie.

- Jak to? Przecież mnie nie znasz.

- Właśnie dlatego pomyślałem, że to ty.

Spojrzała na niego surowo i zaczęła lustrować wzrokiem ciemność za jego plecami.

- Kręcicie tu reality show? Czy to jakiś żart? Graham energicznie zaprzeczył.

- Nie, dlaczego?

- Bo jestem naprawdę zdezorientowana - wyznała Ellie. Przy drzwiach pojawił się nagle pies, mały beagle z oklapłymi uszami. Przycisnął czarny nos do siatki i machał ogonem. Ellie nie zwróciła na niego uwagi, mierząc wzrokiem Grahama, który wydawał się równie pogubiony; albo był naprawdę doskonałym aktorem, albo czuł się tak samo zakłopotany jak ona. - Quinn cię do tego namówiła?

- Nie - odparł, a w tym samym czasie pies zaczął skomleć. -
Przysięgam.

- No to o co chodzi? - zażądała wyjaśnień. - Czego chcesz?

Sprawiał wrażenie lekko zaskoczonego tą reakcją. Ellie podejrzewała, że nieczęsto ktoś zwraca się do niego w ten sposób. Ale miała za sobą długi dzień, była zmęczona, a obecność gwiazdora filmowego na jej własnej werandzie potraktowała nie tyle jak wygraną na loterii, ile problem, z którym nie wiadomo co począć.

- Ty jesteś E. O'Neill - powiedział.

Nie było to pytanie, lecz proste stwierdzenie faktu, toteż Ellie przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Czy to przypadkiem nie za gwiazdami filmowymi łążą natręci?

Po raz pierwszy na jego twarz wkradł się uśmiech.

- Taaak, rzeczywiście musi wyglądać to dziwaczne - przyznał. - Po prostu jestem podekscytowany, że wreszcie cię poznałem.

Parsknęła śmiechem.

- Czy i tej kwestii nie powinnam wygłosić j a?

Pies zaczął drapać łapą w siatkowe drzwi, skomlenie przechodziło w regularne wycie i Ellie wiedziała, że za chwilę pojawi się mama, aby wypuścić go na dwór.

- Ciii - mruknęła.

Pies usiadł grzecznie i natychmiast umilkł. Graham pochylił się i spojrzał na drzwi.

- Cześć, Bajgiel - zawołał.

Ellie stała na wpół zwrócona w stronę psa, teraz jednak odwróciła się z powrotem do chłopaka.

- Skąd wiesz, jak się wabi?

- Ty mi powiedziałaś - wyjaśnił i zamilkł na moment, jakby nie miało to żadnego znaczenia. - Świetne imię dla beagle'a. Naprawdę pomysłowe. Ja byłem znacznie mniej kreatywny, nadając imię Wilburowi.

Serce biło jej szybko, myśli się plątały, kiedy jednak przemówiła, słowa były wyważone.

- Masz psa, który wabi się Wilbur?

Patrzyli sobie w oczy. Graham potrząsnął głową. W bladym świetle jego twarz zachowała neutralny wyraz, lecz tuż pod skórą krył się uśmiech, poza tym zdradziło go spojrzenie.

- Nie - zaprzeczył, a wtedy Ellie zakreśliło się w głowie. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie zdołała nic wykrztusić.

Graham uśmiechał się, obserwując jej minę.

- Wilbur - oznajmił cicho - to moja świnka. Pokiwała odruchowo głową.

- Wilbur to twoja świnka - wymamrotała, starając się zmusić swój umysł do szybszego kojarzenia faktów.

Głęboko westchnęła, bacznie mu się przyglądając. Jak w najprostszym zadaniu matematycznym: rozwiązanie miała tuż przed nosem, a mimo to trudno było w nie uwierzyć.

To był on, przez cały ten czas. Wszystkie te e-maile, wszystkie nocne rozmowy. Wszystkie błahostki o szkole, o mamie i całej reszcie. I ten słabo zakamuflowany flirt. Przez cały ten czas pisała do Grahama Larkina.

Ellie opowiadała mu o wierszach w ramkach, o tym, jak lubiła czasem udawać turystkę, depcząc po piętach licznym rodzinom obwieszonym aparatami fotograficz-

nymi. Pisała, jak nauczyła się zimą żonglować, gdy sklep świecił pustkami. Paplała, gdzie znajduje się jej szkolna szafka, jaka niesprawiedliwa jest nauczycielka chemii, wyniszczyła powody, dla których woli zimę od lata, i napisała o nieudanej próbie zasadzenia kwiatów tej wiosny. Wyjawiała, że nienawidzi swoich piegów i nie cierpi palców u nóg. Przyznała się nawet, że właściwie nie przepada za homarami.

A teraz oto stał na jej werandzie z tym swoim uśmiechem o blasku tysiąca watów, nienagannie ułożonymi włosami i oczami, które zdawały się przewiercać ją na wylot, Ellie zaś wiedziała, jak powinna się zachować. Naoglądała się w życiu różnych filmów. Ale ku swemu zaskoczeniu nie była w ekstazie, nie była zakochana, ani nawet nie czuła niedowierzania.

Zamiast tego czuła zażenowanie.

- Powinieneś był mi powiedzieć, że ty to ty - rzuciła zarumieniona. - Chciałeś, żebym wyszła na idiotkę?

Graham gapił się na nią, nie potrafiąc ukryć zdumienia, natomiast Ellie nie mogła odmówić sobie z tego powodu drobnej satysfakcji i dumy. Większość dziewczyn zapewne chodziłaby dookoła niego na paluszkach, ona jednak do nich nie należała. Mogła dać się nabrać, mogła wyjść na idiotkę, ale przynajmniej nie była natrętną wielbicielką.

- Nie - odparł, a po chwili powtórzył: - Nie. Absolutnie nie chciałem.

- No to w czym rzecz? - dopytywała się Ellie, nie spuszczać z niego wzroku.

- To był zwykły przypadek, a nie powiedziałem ci dlatego...

- A powinieneś - przerwała. - Gdybyś to zrobił, nigdy nie...

Graham uniósł brwi.

- Nigdy byś mi o tylu rzeczach nie napisała? - spytał, nieznacznie kiwając przy tym głową, a następnie wzruszył ramionami. - No właśnie.

Jego głos zabrzmiał tak głucho, że Ellie nie znalazła żadnej riposty. Serce wciąż waliło jej jak młotem, dla złapania równowagi chwyciła się klamki u drzwi werandy.

- Przepraszam. Może powinienem był coś napomknąć. Ale uwierz mi, nie próbowałem zrobić z ciebie idiotki. - Przerwał i posłał jej ciepłe spojrzenie. - Zresztą w twoim wypadku to niemożliwe.

Na przekór sobie Ellie uśmiechnęła się na te słowa. Obserwowała Grahama w słabym świetle, usiłując się połapać, czy rzeczywiście jest szczerzy, czy może znakomicie opanował sztukę aktorską. Dostrzegła cienką bliznę w kształcie księżycy tuż nad lewą brwią i przypomniała sobie nagle, że przecież opowiadał jej o tym; to pamiątka po skoku z dachu samochodu. Wówczas wyobrażała go sobie jako chłopaka o włosach w kolorze piasku, zamieszkującego zielone przedmieścia, a potem starszą wersję tego samego zuchwałego dzieciaka, już nieco bardziej nieśmiałego, może nawet odrobinę ofermowatego, ale z cieniem dawnego chłopięcego uśmiechu, nastolatka, który zasiadał przy komputerze, żeby odebrać jej e-maile.

Zamknęła oczy i starała się zastąpić ten wizerunek, wstawiając w jego miejsce Grahama Larkina piszącego o ciasteczkach owsianych swojej mamy, bziku na punkcie gry wideo Wii tenis, jak również całkowitej niezdolności do wrzucania wieczorem skarpet do kosza na brudną bieliznę.

To był on, przez cały ten czas.

I przez cały ten czas nie przestał do niej pisać.

Otworzyła oczy, ręka zsunęła się jej z klamki. Siatkowe drzwi zagrzechotały, a po ich drugiej stronie Bajgiel wspiął się na tylne łapy z szorstkim szczeknięciem, potem kolejnym. Ellie odwróciła się, by go uspokoić, ale było już za późno. Ujrzała bose stopy mamy na schodach, a kilka sekund później całą postać, stojącą przy drzwiach, ubraną w spodenki w łosie i podkoszulek z napisem „I LOVE MAINE”. Bajgiel tańczył wokół niej, bijąc ogonem powietrze. Ellie popatrzyła na mamę przez siatkę, blokując drzwi.

- On chce wyjść, El - stwierdziła mama.

- Daj mi chwilę, dobrze? - poprosiła Ellie, posyłając jej wymowne spojrzenie, które jednak nie dotarło na drugą stronę.

- O co chodzi? - zapytała mama, pchnąwszy drzwi, i choć uchyliły się tylko odrobinę, Bajgiel czmychnął na dwór i pognął prosto do Grahama. Ellie z westchnieniem się poddała, mama wyszła za psem na werandę i stanęła jak wryta.

Graham pochylony witał się z psem - który przeturlał się na grzbiet z absolutnej uciechy, zachwycony perspektywą poznania nowej osoby - po chwili jednak wyprostował się i wyciągnął rękę.

- Nazywam się Graham Larkin, pani O'Neill - powiedział. - Przepraszam za tak późne najście.

Ellie czekała, aż mama zażartuje, że w Henley godzina dziewiąta jest odpowiednikiem północy albo że Bajgiel uwielbia przyjmować gości o tej porze. Ona tymczasem błędziła wzrokiem po ogrodzie, przeczesując mrok w po-

szukiwaniu śladów obecności innych osób. Ellie w zakłopotaniu przestępowała z nogi na nogę.

- Wstąpił po drodze... - zaczęła, ale nie bardzo wiedziała, jak zakończyć to zdanie.

- Wpadłem po drodze, żeby się przedstawić - przyszedł jej w sukurs Graham, który nagle wyglądał bardzo nieporadnie, nie jak gwiazdor filmowy, raczej jak zwykły chłopak przyłapany na dworze po zamknięciu na noc bramy. - Ale na mnie chyba już czas.

Mama w końcu zdobyła się na uśmiech. Pomimo rezerwy zachowała się uprzejmie niczym dobry handlowiec.

- Miło cię poznać. Witaj w Henley.

- Dziękuję - odparł Graham, a następnie ruchem głowy wskazał jej koszulkę. - Ja też LOVE Maine, przynajmniej na razie. - Jego wzrok prześliznął się po werandzie i spoczął na Ellie. - Bardzo się cieszę, że ktoś powiedział mi o tym miejscu.

Pożegnał je lekkim machnięciem ręki, odwrócił się, zszedł po schodkach werandy i wkroczył w ciemność ogrodu. Bajgiel zadarł łeb i wydał krótkie, donośne szczeknięcie, które zbyt długo odbijało się echem w pogrążonej w ciszy okolicy. Mama utkwiała wzrok w córce, czekając na wyjaśnienia, Ellie trudno było jednak wykoncypować, co właściwie mogłaby powiedzieć. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to świadomość, że Graham przyjechał do Maine z jej powodu.

I nagle bardzo ją ta myśl ucieszyła.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: niedziela, 9 czerwca 2013, 21:28

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: jak wygląda szczęście

Poznanawanie nowych ludzi.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: niedziela, 9 czerwca 2013, 21:43

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: jak wygląda szczęście

Już to mówiłeś.

ROZDZIAŁ 6

Graham tylko jednym uchem słuchał swojego menedżera, który wymachując poranną gazetą trzymaną w poplamionej atramentem ręce, chodził po przyczepie tam i z powrotem jak cierpiący na demencję kogut.

- To dlatego chciałeś przyjechać tu wcześniej? - pytał Harry, ciskając gazetę na stolik obok Grahama, siedzącego z opuszczonymi ramionami na składanym krzeselku.

Przyczepa była niewielka, z niemal miniaturową częścią jadalnianą oraz maleńką garderobą, do której asystent kostiumografa wstawił wieszak na stroje. Przez ostatnie dwa lata Graham nosił rozmaite kostiumy: cylindry, peleryny, ciemne togi podszyte aksamitem. Natomiast ten film był rozgrywającą się współcześnie historią miłosną, a wiszące obok ubrania nie różniły się zbyt od jego własnych: bermudy, kolorowe podkoszulki i japonki. Zastanawiał się, czy będzie mógł zatrzymać niektóre z nich po zakończeniu zdjęć. Niewiele było rzeczy, których nienawidził bardziej niż zakupów.

Rzucił okiem na zdjęcie na stronie szóstej „New York Post”, zrobione z dużej odległości, lecz wyraźnie przedstawiające jego oraz Quinn w Lobster Pot. Dziewczyna siedziała bokiem i jedyne, co można było zobaczyć, to kurtynę lśniących włosów, natomiast Graham znajdował

się naprzeciwko i pochylał się ku niej z uwagą. Gdyby miał zgadywać, jaki moment uchwycono, stawiałby na ten, kiedy dowiedział się, że Quinn to nie Ellie. Obok fotografii widniał lakoniczny podpis „Nowa miłość Larkina?” wraz z krótką notką, której nawet nie miał zamiaru czytać.

- Nie, nie dlatego - odparł zgodnie z prawdą, a Harry opadł z westchnieniem na drugie krzesło.

Kiedy Graham po raz pierwszy podpisywał kontrakt z agencją Fenton Management, działała ona na rynku zaledwie kilka lat. Wcześniej Harry pracował jako prawnik w branży rozrywkowej, ale zmęczyły go kontrakty i wczytywanie się w różne kruczki zapisywane drobnym drukiem, uznał więc, że ma być może dryg do zarządzania karierami aktorskimi. Jego pierwszym klientem był pewien dzieciak o okrągłej buzi, w okularach, występujący w popularnym serialu komediowym, a później udało mu się jakoś zebrać całkiem przyzwoitą grupkę młodych aktorów o różnym poziomie talentu.

Zanim Graham zawarł kontrakt na filmową trylogię, w czasach, kiedy obsadę utrzymywano jeszcze w tajemnicy i nikt nie mógł przewidzieć, jak szybko wzejdzie nowa gwiazda, Harry jako jedyny wyraził chęć spotkania się z nim. Graham zawsze będzie mu za to wdzięczny, za tę wiarę w kompletnie niesprawdzonego ucznia liceum, którego jedynym osiągnięciem był bardzo przeciętny występ w *Facetach i laleczkach*. Teraz wyrósł na zdecydowanie najważniejszego klienta Harry'ego i prócz zwyczajowej ilości czasu oraz uwagi, jakich ta pozycja zasłużyła, zyskał przy okazji często zrzędlivy cień, który nie odstępował go na krok podczas zdjęć plenerowych.

- Niedobrze - jęknął Harry, ze strapieniem przeczesując dłonią resztki włosów. - Nie możesz wkroczyć ot tak do małej miejsciny, umówić się z pierwszą napotkaną dziewczyną, a potem zostawić ją na lodzie.

Graham zerknął na gazetę.

- Tak tam napisali?

- Nie - rzekł menedżer, wzruszając ramionami. - Ale chodzą takie słuchy.

- Nie zostawiłem jej na lodzie - wyjaśnił Graham.

- Doszło do pewnego nieporozumienia...

- Nie w tym rzecz - przerwał Harry, obracając ze zgrzytem krzesło, żeby usiąść z Grahamem twarzą w twarz.

- Chodzi o to, że masz być z Olivią.

Chłopak spiorunował go wzrokiem.

- Czyżby?

- W takiej miejscinie, gdzie przez następne kilka tygodni nie będziesz miał do czynienia z innymi dziewczynami, wszyscy myśleli, że wy dwoje...

Graham skrzywił się i zapytał:

- Że my dwoje co?

- Musisz przyznać, że zrobiłoby to filmowi znakomitą reklamę... tobie także - ciągnął Harry, nie zważając na minę swojego klienta. - Osiągnąłeś sukces i co dalej? Następny projekt, następna dziewczyna: to są priorytety, które trzeba poważnie wziąć pod rozwagę. I nie patrz tak na mnie. Po to płacisz mi grubą forszę, żebym ci to uświadamiał. Chcąc wywindować cię na wyższy poziom, musimy stąpać ostrożnie, jasne? - Przerwał i podniósł ręce. - Na dodatek chodzi o Olivię Brooks, na litość boską. Przecież nie sugeruję, żebyś sypiał z jakimś trollem.

- Nie masz prawa dyktować mi, z kim mam sypiać - rzucił gniewnie Graham, wstając z krzesła.

- Nie to miałem na myśli. Po prostu... no, mógłbyś przynajmniej się postarać, prawda?

Graham podszedł do malutkiego okna w głębi przyczepy, z którego widać było plan filmowy. Kamery już ustawiono, a reżyser - młody facet o imieniu Mick, który stawał się ulubieńcem niezależnej wytwórni, zaskoczywszy wszystkich filmem nominowanym do Oscara - przechadzał się tam i z powrotem z grupką asystentów produkcji za plecami. Niebawem wezwą na plan Grahama, którego zadaniem będzie pobiec za Olivią ulicą, porwać ją w ramiona i namiętnie pocałować. I to nie jeden raz, pewnie około osiemnastu lub dwudziestu razy.

- Są tu inne dziewczyny, wyobraź sobie - rzekł, nie odwracając się. - Nie brakuje tu interesujących ludzi, choć to nie Nowy Jork ani LA.

- Jasne - odparł Harry. - Z pewnością była urocza. Graham uśmiechnął się, przypominając sobie minę

Ellie, gdy dostrzegła go w świetle werandy, po chwili jednak uświadomił sobie, że Harry ma na myśli Quinn. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, zapukano do drzwi. Obydwaj się odwrócili.

- Pięć minut, panie Larkin - zawołał jakiś głos, a Graham westchnął głęboko.

Bez względu na to, ile już razy to robił, bez względu na to, jak dobrze czuł się przygotowany, w takiej chwili nieodmiennie ścisnęło go w dołku. Bycie sobą okazywało się teraz sztuką i nie przychodziło bez wysiłku. Pod pewnymi względami określony sposób zachowania na planie wymagał od niego więcej kunsztu aktorskiego niż

wcielanie się w odgrywaną postać, w tym wypadku nastoletniego chłopaka, którego ojciec ginie w tragicznym wypadku na łodzi i który darzy skomplikowanym uczuciem dziewczynę będącą naocznym świadkiem tragedii.

Graham minął bez słowa Harry'ego, niemal się o niego ocierając, i wyszedł z przyczepy, wdychając morskie powietrze. Zbiegł ze schodków, gdzie czekał na niego asystent w słuchawkach i z podkładką do pisania, by towarzyszyć mu przez te cztery metry, które dzieliły go od zaznaczonego miejsca na planie, jakby mógł po drodze zabłądzić. Graham zdążył już do tego przywyknąć. Czasem traktują cię jak boga, innym razem jak czterolatka.

Robili wcześniej próby tej sceny. Reżyser przywitał go kilkoma wskazówkami na gorąco. Nie kręcili w porządku chronologicznym, dzisiejsza scena wypadła pod koniec filmu, kiedy grana przez Grahama postać wreszcie zaczynała dostrzegać coś, co przez cały czas miała tuż przed oczami. Graham podniósł wzrok w chwili, gdy zbliżyła się do niego filmowa partnerka, ubrana w absurdalnie krótką dzinsową mini i czerwoną górę od bikini.

- Hej - rzuciła Olivia ze złośliwym uśmiechem. Jej długie blond włosy były ściągnięte w potargany koński ogon, którego nonszalancki wygląd prawdopodobnie wymagał od charakteryzatorów wielu godzin pracy, makijaż nałożono jej w taki sposób, by sprawiał wrażenie, że nie ma go wcale. - Słyszałam, że dobrze się bawiłeś w miasteczku.

- Testowałem lokalną kuchnię - odparł Graham, starając się nie zdradzać odczuwanej irytacji.

Olivia była niezaprzeczalnie olśniewająca, ale coś go w niej drażniło. Tkwiła w hollywoodzkiej maszynie już od lat - rozpoczęła karierę jako przedwcześnie dojrzałe

dziecko w popularnym serialu o lekarzach - i naprawdę było to widać. Poznał ją dwa lata temu na bankiecie wydanym z okazji premiery filmu, w którym grała. Kiedy ich sobie przedstawiano, ledwo zwróciła na Grahama uwagę, rzuciła mu jedynie wyniosłe spojrzenie, zapaliła papierosa i podeszła do kogoś znacznie bardziej sławnego. Spotkanie odbyło się przed wejściem na ekrany pierwszego filmu z cyklu *Cylinder*, a ze sposobu, w jaki traktowała go obecnie, wnioskował, że prawdopodobnie nie pamięta tamtego wieczoru. Jednocześnie doszły go słuchy, że Olivia nie pamięta wielu wieczorów.

Główna ulica miasteczka była całkowicie zamknięta na potrzeby filmu. Graham widział na jej drugim końcu lodziarnię i zastanawiał się, czy jest w niej teraz Ellie. Wzdłuż ulicy za metalowymi barierkami tłoczyli się ludzie z aparatami, filmując i pstrykając fotki, niezrażeni przechadzającymi się im przed nosem ochroniarzami o szerokich barach.

Graham rozprostował palce i odchrząknął. Lubił zdjęcia plenerowe - oświetlenie w studiu nie mogło równać się ze światłem słonecznym - tym razem jednak był podenerwowany obecnością publiczności. Gdy rozpoczynał swoją przygodę z aktorstwem, odkrył z niepokojem, że często kręci się film achronologicznie, i teraz oto pojął, skąd to napięcie: przecież nie sposób zdobyć się na namiętny pocałunek, skoro nie zostały zbudowane żadne relacje między postaciami. Nie tak to wyglądało w prawdziwym życiu i poczuł, że przydałby mu się drobny doping.

Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że większość chłopaków w jego wieku oddałaby wszystko za możliwość pocałowania Olivii, tymczasem jemu jeszcze za to

płacili - i to całkiem nieźle. W tej chwili młoda aktorka omawiała coś z asystentem reżysera po przeciwnej stronie planu zdjęciowego, Graham zaś podskoczył kilkakrotnie w miejscu, starając się skoncentrować. Podbiegła do niego garderobiana i wyciągnęła rękę, on jednak dopiero po pewnym czasie zorientował się, że dziewczyna czeka, aż zdejmie koszulę. Gdy ściągał ją przez głowę, tłum radośnie zapiszczał, a Graham nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Śmiał się nawet wtedy, gdy ktoś z ekipy przytruchtał z grzebieniem, by poprawić mu fryzurę. Jeszcze raz zlustrował gromadę gapiów w nadziei, że nie dostrzeże tam Ellie, choć podejrzewał, iż byłoby to ostatnie miejsce, w którym chciałyby się znaleźć.

Kiedy nadszedł wreszcie czas rozpoczęcia zdjęć, Graham długo nabierał w płuca powietrza. Miał pobiec ulicą, chwycić Olivię wpół, mocno do siebie przyciągnąć i pocałować, niemal odrywając ją od ziemi. Szczerze mówiąc, wymagało to większych umiejętności akrobatycznych niż te, które Graham uważał za wykonalne, próby nie wypadły zatem zbyt dobrze. Samo porywanie partnerki w ramiona wychodziło nie najgorzej, ale dynamika całej sceny i wirowanie w powietrzu często sprawiały, że nie trafiał w usta Olivii, pochylając się do pocałunku. Dwa razy cmoknął ją w szyję.

- To nie jest *Zmierzch* - warknęła wtedy.

Był gotów do biegu. Gdy reżyser zawołał „Akcja!”, Graham ruszył pędem ulicą. Zanim przestał chodzić do szkoły, grał w drużynie piłkarskiej na pozycji środkowego. Ta część sceny była dla niego przyjemna, płuca wypełniało morskie powietrze, mięśnie napinały się, japonki klapały o chodnik. Niebieski samochód z kaskaderem w środku odjechał od krawężnika, Graham odskoczył, by

go ominąć, gdy jednak dał susa w bok, pękł mu pasek w japonkach i chłopak się o niego potknął.

Reżyser wrzasnął „Cięcie!”, a operatorzy wychylili głowy zza ogromnych czarnych pudeł. Kaskader cofnął samochód do punktu startowego, Olivia westchnęła zniecierpliwiona, asystentka kostiumografa podbiegła z kolejnym klapkiem, który Graham wsunął na stopę. Zastanawiał się, ile jeszcze par mieli w zapasie; ciekawe, jak wysoki jest budżet na japonki w tego rodzaju filmie.

Podczas drugiego ujęcia dobiegł do Olivii i nawet udało mu się złożyć na jej ustach idealny pocałunek, gdy jednak podniósł wzrok, zobaczył, że reżyser zmarszczył czoło.

- To było takie... nijakie - stwierdził. - W najlepszym razie wywoła u widza ziewnięcie. Spróbujmy mierzyć nieco wyżej, dobrze?

Graham rzucił okiem na zgromadzonych gapiów, rozmyślając, czy powinien czuć się urażony tym afrontem, podającym w wątpliwość jego umiejętności całowania. Przy następnej próbie uznał, że poszło mu lepiej, ale spotkał się z podobną krytyką.

- Nuda - orzekł reżyser. - Moglibyśmy stworzyć nieco więcej chemii?

Graham zacisnął zęby. Facet może i był błyskotliwy, ale miał irytujący zwyczaj nieustannego mówienia „my” zamiast zwracania się per ty. Poza tym Graham był absolutnie pewien, że chemii nie da się tak po prostu stworzyć; chemia albo jest, albo jej nie ma. Między nim a Olivią zwyczajnie jej nie było. W dodatku - chociaż w pocałunek angażują się dwie osoby - z jakiegoś powodu pouczano tylko jego. Mimo to uprzejmie pokiwał głową i szykował się do kolejnej próby.

Widać i tym razem nie było lepiej.

Gdy stał i słuchał, jak Mick prawi mu o namiętności i pięknie oraz prawdziwym sensie miłości, wzrok Grahama powędrował poza kamery, poza gapiów i ochroniarzy ku rudowłosej dziewczynie, która właśnie przechodziła na ukos przez trawnik.

- Musimy sprawić, żeby widz uwierzył - perorował Mick. Wyciągnął rękę i huknął Grahama w pierś. - Musimy sprawić, żeby poczuł to tutaj.

- Yyy... mógłbyś chwilkę poczekać? - poprosił chłopak, cofając się o kilka kroków. - Potrzebuję krótkiej przerwy...

- Tak - odparł Mick. - Dobrze. Właśnie. Przemyślmy to, a kiedy wrócisz, chcę widzieć w tobie namiętność. Jasne?

Graham skinął głową, wciąż zerkając w kierunku idącej Ellie.

- Jasne.

Ruszył przed siebie z taką nonszalancją, na jaką potrafił się zdobyć, ale gdy tylko minął barierki odgradzające plan zdjęciowy, puścił się pędem. Był świadom wlepionych w swoje plecy wielu par oczu, gdy biegł przez porośnięty trawą skwer w centrum miasteczka, lecz jakoś nie umiał się tym przejąć.

Ellie szła szybkim krokiem, rozmyślnie nie rozglądając się wokół. Miała na sobie dżinsową spódnicę, ale nie taką jak Olivia, dłuższą, włożyła do niej zwykłą czarną koszulkę bez rękawów, a rude włosy związała w luźny kucyk. Gdy się zbliżył, zauważył piegi na jej ramionach i nogach na tle jasnej skóry, która w porannym słońcu wydawała się jeszcze bledsza.

- Ellie - wy dyszał, znalazłszy się parę metrów od niej.

Przystanął, by złapać oddech, gdy dziewczyna odwróciła się do niego, wcale niezaskoczona jego obecnością w tym miejscu. Rzuciła szybkie spojrzenie na plan filmowy sto metrów dalej i zrobiła kilka kroków w lewo, obchodząc altanę. Graham wahał się jedynie przez chwilę i poszedł w jej ślady.

- Cześć - powiedział z szybko bijącym sercem. - Co słychać?

Uśmiechnęła się.

- Byłeś popływać?

Zmieszany pokręcił głową, a potem uzmysłowił sobie, że jest ubrany w same kąpielówki.

- Nie - odparł nagle skrępowany Graham. - To kostium. Kręcimy scenę.

Ellie kiwnęła głową.

- Więc co tutaj robisz?

- Chciałem się przywitać.

- Dzień dobry - rzekła z uśmiechem.

- Hej - powiedział, szczerząc zęby. Miała intensywnie zielone oczy.

Gdy na nim spoczęły, poczuł dziwne napięcie. - Idziesz do pracy?

Przytaknęła.

- Co robisz później?

- A co, masz zamiar zaprosić mnie na kolację do Lobster Pot?

Graham już otworzył usta, lecz uzmysłowił sobie, że Ellie żartuje.

- Miałem po prostu nadzieję, że gdzieś się na ciebie natknę.

- To jest zaleta małych miejscowości - zauważyła, wciąż się uśmiechając.

Chciał jej odpowiedzieć, lecz dziewczyna wykonała nagły zwrot w tył i zaczęła się oddalać, pokonując trawnik z zaskakującą szybkością. Czuł się oszołomiony tempem wydarzeń, nie pozostało mu nic innego, jak tylko odprowadzić Ellie wzrokiem i mieć nadzieję, że być może się obejrzy. Nie obejrzała się i dopiero kiedy dotarła do drzwi pomalowanego na niebiesko sklepu, Graham zdał sobie sprawę, co skłoniło ją do ucieczki. Za jego plecami grupka fotografów gnała w ich stronę, potykając się o kępy nierównej trawy, każdy starał się dopaść aktora jako pierwszy.

Gdy zwycięzca wyścigu znalazł się wreszcie obok Grahama, zasapany cisnął na ziemię torbę od aparatu.

- Kto to był?

Chłopak wzruszył tylko ramionami, a fotograf bez przekonania pstryknął mu kilka zdjęć; wydawał się nieco rozczarowany.

Gdy Graham wrócił na plan zdjęciowy, Mick podniósł wzrok znad notatek, zgasił papierosa i zmarszczył brwi.

- No i jak? - zapytał. - Czy teraz czujemy większe natchnienie?

Graham się uśmiechnął.

- Tak - potwierdził. - Czujemy.

From: GDL824@yahoo.com

Wysłane: poniedziałek, 10 czerwca 2013,10:22

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Dzisiejsze popołudnie

Ellie!

(Zwracam się z poprawnym rosyjskim pozdrowieniem, skoro znam już twoje imię). Kończę dziś zdjęcia o czwartej. Miałabyś ochotę na poszukiwania prawdziwego czarnego księżyca? Pozdrawiam, Graham!

ROZDZIAŁ 7

Ellie spędziła poranek na śmiganiu między kasą i wiekowym stacjonarnym komputerem za ladą, ciesząc się, że mama jeszcze nie przyszła do sklepu i nie trzeba odpowiadać na żadne pytania. Wczoraj wieczorem usprawiedliwiła odwiedziny Grahama, twierdząc, że szukał Quinn, rano zaś udało się jej całkowicie uniknąć spotkania, ponieważ wymknęła się wcześniej, żeby otworzyć sklep.

Rzecz w tym, że Ellie nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, ani nawet co sama o tym wszystkim sądzi. Jedno było pewne: kiedy rano po raz szósty logowała się na komputerze, rozpaczliwie pragnęła zobaczyć na ekranie znajomy adres.

Nieważne, że ledwie kilka minut temu spotkała chłopaka na trawniku. Nieważne, że już wiedziała, kim on jest. Nieważne nawet, że okazał się akurat Grahamem Larkinem. Nieodmiennie od ponad trzech miesięcy z niecierpliwością wyczekiwała tej chwili - tego zapierającego dech w piersi momentu, kiedy na ekranie otwierała się strona, niosąc ze sobą obietnicę nowej wiadomości. Ten drobny ciąg pogrubionych liter i cyfr - GDL824@yahoo. com - wystarczył, by przyprawić ją o szybsze bicie serca.

Teraz odnosiła wrażenie, że jej mózg podzielił się na dwie części. Jedna połowa rozumiała, że Graham znaj-

duże się niedaleko, przy tej samej ulicy. Druga natomiast wciąż nie mogła uwolnić się od bardziej enigmatycznego wizerunku tajemniczego nieznajomego, który potrafi podnieść na duchu i z którym można rozmawiać o wszystkim. Jego nagła obecność w Henley niesamowicie zaskoczyła Ellie i nawet gdy zauważyła - z dreszczykiem emocji - że jednak przyszedł od niego nowy e-mail, poczuła pewne zakłopotanie. Tak jakby rozmawiała przez telefon z osobą znajdującą się w drugim kącie tego samego pokoju; mimo że widzisz poruszające się wargi i słyszysz w słuchawce słowa, jakoś trudno skojarzyć fakt, że ten głos i osoba to jedno.

E-mail był taki jak jego nadawca: błyskotliwy, uroczy i odrobinę zabawny. W dodatku Graham znów chciał się z nią spotkać. Zamknęła oczy i zastygła z palcami zawieszonymi nad klawiaturą. Gdy na nią spojrzała, stuknęła w okienko „odpowiedz” i przystąpiła do wymyślania wszelkich możliwych powodów odmowy.

Szkopuł w tym, że chciała napisać „tak”.

Przepraszam, zaczęła powoli, literka po literce. Następnie wymazała wszystkie jedenaście liter i z westchnieniem odsunęła się od klawiatury. Większość dziewczyn byłaby wniebowzięta, dowiedziawszy się, że korespondują z gwiazdorem filmowym. Ellie jednak wydawało się to niesprawiedliwe. Nie chciała niczego więcej, tylko spędzić popołudnie z GDL824. Co do Grahama Larkina nie miała już takiej pewności.

Wciąż siedziała przed monitorem, gdy drzwi sklepu otworzyły się z impetem. Ledwo zdążyła zamknąć wiadomość, gdy do lady podeszła zziębnięta Quinn. Wczoraj wieczorem po wyjściu Grahama Ellie odebrała od Quinn

esemesa o prostej treści „///”. Nie miała pojęcia, czy te wykrzykniki sygnalizują entuzjazm, czy gniew, czy może coś pomiędzy.

Dlatego nie odpisała, mimo że niczego tak nie pragnęła, jak usiąść ze swoją najlepszą przyjaciółką i wspólnie wykoncypować, jakim cudem - niewiarygodnie, absurdalnie, nieprawdopodobnie - przypadkowy chłopak z Kalifornii, z którym od miesiący wymieniała e-maile, okazał się Grahamem Larkinem.

Quinn oparła się o kontuar, wciąż ciężko dysząc.

- Spóźnię się do pracy - zaczęła, pokaszując. - Ale mamy sporo do obgadania...

- Wiem... - odparła Ellie, nalewając jej szklankę lemoniady, którą częstowały klientów.

Głośno przełknęła ślinę, uświadamiając sobie, ile nerwów kosztuje ją podniesienie wzroku i spojrzenie Quinn w oczy. Nie dalej jak wczoraj pomagała jej przygotować się do ważnej randki, obserwowała, jak przyjaciółka rozpromienia się na myśl o wieczorze. Tymczasem za sprawą dziwnego kaprysu losu Graham pojawił się na werandzie Ellie i teraz czuła się okropnie, ponieważ - choć całkowicie bezwiednie - być może pokrzyżowała Quinn plany.

- Posłuchaj, gdybym wiedziała, że to on... Ale Quinn tylko pokręciła głową.

- Guzik mnie to obchodzi - rzekła. - To znaczy nie twierdzę, że nie byłoby fajnie przeżyć krótki letni romans z taką sławą albo że nie jest mi trudno przyjąć, że ty i Graham... ale...

Ellie zebrała się w sobie.

- Ale co?

- Nie mieści mi się w głowie, że nie pisnęłaś słowa - rzuciła autentycznie urażona. - Tyle czasu trzymałaś tę znajomość w tajemnicy? Przecież miałyśmy o wszystkim sobie mówić. Zawarłyśmy taką umowę.

- Tak - przyznała Ellie, spuszczać wzrok. - Zawarłyśmy. Tylko że... Przerwało jej bicie miejscowego zegara, które rozbrzmiewało donośnie nad miasteczkiem serią głębokich głuchych tonów. Quinn zaklęła pod nosem.

- Muszę lecieć - oznajmiła. - Później dokończymy rozmowę.

- Okej - zgodziła się Ellie, świadoma rumieńca wstydu, od którego paliły ją policzki. - Obiecuję, że wszystko ci wytłumaczę...

- Lepiej dobrze się postaraj - zagroziła Quinn i uśmiechnęła się pod nosem ku pokrzepieniu Ellie. - Bo inaczej nie dowiesz się, co przydarzyło się wczoraj mnie.

- A co?

- Nic takiego - rzekła, podnosząc brwi. - Pocałował mnie Devon Alexander. Po prostu.

Ellie aż otworzyła usta.

- Jak do tego doszło?

- Kiedy Graham wyszedł cię poszukać, do mojego stolika dosiadł się Devon i razem skończyliśmy kolację; chyba zrobiło mu się głupio, że mój sławny partner mnie zostawił, był więc naprawdę miły, a potem odprowadził mnie do domu i tak jakoś wyszło. - Quinn kręciła głową, choć trudno powiedzieć, czy ze zdumienia, czy z niedowierzania. Wszyscy wiedzieli, że Devon kocha się w niej od drugiej klasy, ona jednak nigdy nie była ani trochę zainteresowana chłopakiem i w gruncie rzeczy poświęcała

tyle samo energii lekceważeniu go, ile on poświęcał jej adorowaniu. - No i wiesz, było właściwie nie najgorzej.

- Nie najgorzej? - powtórzyła Ellie, a twarz Quinn tym razem rozciągnęła się w szczerym uśmiechu.

- No dobra. Było całkiem, całkiem. Możesz sobie wyobrazić?

Ellie parsknęła śmiechem.

- Prawdę mówiąc, nie.

- No a jak u ciebie?

- Co: jak u mnie?

- Całowałaś się z Grahamem Larkinem? Ellie się roześmiała.

- Czy przypadkiem nie jesteś spóźniona?

- No jestem - przyznała Quinn, spoglądając na zegarek. - Muszę pędzić. Ale się nie wykręcisz, dobra? Zadzwoń później. - Wypiła resztę lemoniady i rzuciła się do drzwi. Nim przestąpiła próg, jeszcze raz się obejrzała. - Hej, El? Tylko nie wydziwiaj, okej?

- Co masz na myśli? - spytała Ellie ze zmarszczonym czołem.

- On jest naprawdę fajny. I wyraźnie widać, że na serio mu się podobasz. Więc postaraj się nie rzucać sobie kłód pod nogi.

- Nie rzucam... - Ellie zaczęła protestować, ale nim skończyła mówić, drzwi się zatrzasnęły.

Stała przez chwilę w ciszy sklepu, myśląc o Grahamie, o Devonie i Quinn oraz o tym, jakie to wszystko niesłychane. Jej wzrok ześliznął się ponownie na ekran komputera. Przygryzła wargę.

Tym razem palce poruszały się same.

„Tak”, napisała, chcąc sprawdzić, jakie to uczucie.

Drzwi znów się otworzyły, Ellie ponownie kliknęła w okienko z odebranymi wiadomościami i podniosła wzrok na rodzinę turystów, którzy właśnie zaglądali do środka. Posłała im swój najserdeczniejszy uśmiech, lecz ich uwagę przykuły natychmiast ustawione przy drzwiach kosze z zabawkami plażowymi. Dwaj chłopcy chwycili po piankowej klusce i zaczęli się nimi okładać, natomiast ich matka usiłowała wydrzeć im zabawki z rąk. Ellie przyglądała się najmłodszemu z dzieci, małej dziewczynce o rudawych włosach, która mogła mieć najwyżej cztery lata.

Podczas gdy matka zmagala się z chłopcami, ojciec wziął dziewczynkę za rękę i zaprowadził do stojaka z pocztówkami, klękając obok córki i pokazując rozmaite widoki. Mała z poważną buzią wybierała kartkę po kartce, trzymała je ostrożnie za krawędzie i przyglądała się im wielkimi oczami.

Patrząc na tych dwoje, Ellie nie potrafiła odegnąć od siebie myśli, która w takich momentach zawsze przychodziła jej do głowy, jakkolwiek zazdrosna i małostkowa: że nie ma mowy, by dziewczynka zapamiętała tę chwilę. Wspomnienia z dzieciństwa są jak bagaż lotniczy: bez względu na to, jak daleko podróżujesz lub na jak długi czas musi ci wystarczyć rzeczy, wolno ci zabrać tylko dwie sztuki bagażu. I choć torby mogą zawierać kilka mglistych reminiscencji - kolacja przy grającej szafie, zabawa na huśtawce, poczucie bliskości i wirowanie w rodzicielskich ramionach - to za mało, by zdołały przetrwać do końca życia.

Zresztą niezależnie od tego, czy akurat to wspomnienie okaże się dla niej ważne, czy nie, dziewczynka bez wątpienia zachowa w pamięci więcej chwil spędzonych

z ojcem niż Ellie, która mogła powracać do zaledwie garstki. Po tylu latach zdążyły się rozmyć i zblednąć jak kartka papieru, składana i rozkładana tak wiele razy, że można ją wziąć za niepotrzebny świstek.

Kiedy ojciec Ellie poznał jej mamę, był kongresmenem wybranym na swoją pierwszą kadencję, wschodzącą gwiazdą Partii Republikańskiej. Mama pracowała jako kelnerka w jego ulubionej restauracji i co rano czekała z przygotowanymi placuszkami i kawą, zanim jeszcze przestąpił próg lokalu. Z czasem składanie zamówienia przerodziło się w pogawędkę, pogawędka zmieniła się we flirt, flirt w coś więcej i nie minęło wiele czasu, a mama była w ciąży z Ellie.

Jedyny problem tkwił w tym, że kongresmen był już żonaty.

Sekrety nigdy nie pozostają długo w ukryciu. Im jednak udało się trzymać tę znajomość w tajemnicy przez cztery lata. Mama odmówiła przyjmowania pieniędzy i pozwalała ojcu odwiedzać Ellie tylko sporadycznie. Podczas tych wizyt, jak opowiadała później córce, Paul Whitman odwieszał swoją kosztowną marynarkę, siadał na zniszczonej podłodze jeszcze bardziej zniszczonego mieszkania i bawił się z dzieckiem przez jedną, dwie godziny - prawie nie zamieniając słowa z jego mamą - a gdy kończył się czas, wstawał, całował małą w czoło, podejmował kolejną nieudaną próbę wręczenia czeku i ponownie znikał.

Mogliby ciągnąć ten układ dłużej, gdyby nie był politykiem i gdyby nie zaczęto wymieniać jego nazwiska jako przyszłego kandydata na prezydenta. Wobec powyższego prasa zaczęła się nim żywo interesować, zwłaszcza

kiedy postanowił wystartować w wyborach do Senatu. Ellie miała cztery lata, gdy te zamiary się ukonkretniły. A w ślad za nimi wyszła na jaw cała reszta.

Przez trzy miesiące mama próbowała to wytrzymać. Przez trzy miesiące prześladowali ją dziennikarze, chodzili za nią krok w krok z aparatami fotograficznymi, nękali ją reporterzy, wszyscy zasypywali gradem pytań. Zdjęcia, które Ellie widziała w Internecie, przedstawiały młodą mamę chowającą się za ciemnymi okularami. Na każdej fotografii niosła Ellie na biodrze, przyciskając buzię córeczki do swetra, żeby uchronić ją przed oślepiającymi światłem bezlitosnymi reflektorami.

Za wyjazdem z Waszyngtonu przemawiało milion powodów. Lecz mimo to mama nie zamierzała robić z tego tajemnicy. Z początku chciała po prostu wyjechać na lato, wynajęła więc domek w Henley, miasteczku, które zapamiętała z dzieciństwa. Ale gdy tam przyjechała, opowiadała później córce, poczuła ogromne wytchnienie, jakie dawał spokój małej miejscowości. Chmury mknęły po niebie, rzucając cienie na wodę, na trawniku w centrum ktoś grał na gitarze. Wszystko to było tak odległe od Waszyngtonu, odrażających skandali, wygadanych polityków, a przede wszystkim od ojca Ellie, który od kiedy sprawa ujrzała światło dzienne, nieodmiennie odpowiadał na absolutnie wszystkie pytania absolutnie wszystkich dziennikarzy tymi samymi dwoma słowami: „bez komentarza”.

Kiedy zatem tamtego dnia w łodziarni wiele lat temu mamie przedstawiła się pierwsza osoba, najwyraźniej nieświadoma przyczyn ich pobytu w Henley, i patrzyła wyczekująco, aż mama również się przedstawi, słowa „Margaret Lawson” uwięzły jej w gardle.

Margaret Lawson była dwudziestoczteroletnią kelnerką z Vermont, która marzyła o zmienianiu świata, ratowaniu środowiska, przeobrażeniu Waszyngtonu, a zamiast tego skończyła na podawaniu kawy mężczyznom w garniturach, żeby zarobić na czynsz. Tam nie miała ani rodziców, ani bliskich, ani korzeni. Była jedynie osobą, której nazwisko umieszczano na błyszczących okładkach dziesiątków kolorowych magazynów, osobą całkowicie nienadającą się do życia w świetle jupiterów. Kobieta, która popełniła wielki życiowy błąd, choć owocem tego błędu była najcudowniejsza córka na świecie.

W nowym miasteczku, w nowym życiu nie było miejsca dla Margaret Lawson. Dlatego z jej ust wymknęło się imię z dzieciństwa, które przez tyle lat pokrywało się grubą warstwą kurzu, uzupełnione panińskim nazwiskiem matki.

- Maggie O'Neill - przedstawiła się, podając rękę spotkanej w lodziarni nieznajomej.

I tak oto Margaret Lawson zniknęła, a wraz z nią także Eleanor Lawson.

Rzadko poruszały z mamą ten temat. Ale mimo wszystko przeszłość gdzieś tam się czaiła, gdy trochę nazbyt pospiesznie omijały kanał informacyjny, przerzucając programy w telewizorze, gdy co rano z głuchym odgłosem zostawiano na stopniach werandy prasę przynoszącą wiadomości ze świata polityki. A zwłaszcza kiedy rozmawiały o pieniądzach i studiach, sprawach, które nie byłyby tak skomplikowane, gdyby wciąż nazywała się Eleanor Lawson, czy nawet Eleanor Whitman zamiast po prostu Ellie O'Neill.

Jej ojciec był obecnie senatorem oraz poważnym kandydatem z ramienia Partii Republikańskiej w na-

stępnym wyścigu o fotel prezydencki. Skandal w końcu ucichł, jak to bywa ze skandalami. W każdym artykule, wpisie na blogu oraz wiadomościach poświęconych tematowi wyborów pojawiały się zaprzeczenia jego domniemanego romansu z kelnerką, choć od tamtej pory upłynęło już tak wiele czasu. Czasem napomknięto o rzekomej nieślubnej córce, zazwyczaj jednak ta informacja gubiła się pośród innych. Wszystkich znacznie bardziej interesowała prawdziwa rodzina senatora: wielkodusznna żona oraz dwóch synów - jeden o rok starszy od Ellie, drugi o rok młodszy - jasnowłosych jak ich matka i zawsze prezentowanych przy wspólnych zajęciach z ojcem, zacieśniających więzy rodzinne: na polowaniu, wędkowaniu czy też biwaku.

Bez wątpienia młodzi Whitmanowie jadal w luksusowych restauracjach, a nie w smażalniach ryb, chodzili do prywatnych szkół z mundurkami, a nie do publicznych z dziurami w budżecie. I prawdopodobnie nie wahaliby się poprosić ojca o pomoc w opłaceniu letniego kursu poezji. Choć Ellie zazwyczaj nie potrafiła sobie wyobrazić zamiany swojego życia na jakiegokolwiek inne - nawet gdyby istniała taka możliwość - czasem czuła się pokrzywdzona, że nigdy nie miała okazji przekonać się, jak to jest być córką Paula Whitmana.

Jeśli w ogóle kiedykolwiek ich szukał, Ellie nie była tego świadoma. Starala się nie myśleć o tym, że ktoś taki jak jej ojciec pewnie z łatwością mógłby je odnaleźć, gdyby tylko chciał, utrzymywać kontakt, porozmawiać od czasu do czasu przez telefon, wysyłać kartki urodzinowe bądź w inny sposób upamiętniać upływ lat. Może to wina mamy, a może jego; może o nich rozmyślał, a może nie; mo-

że czasem tęsknił, a może artykuły mówiły prawdę: obie były dla niego tylko nieistotnym epizodem z przeszłości.

Ellie obserwowała, jak dziewczynka podaje ojcu pocztówkę z widokiem zachodu słońca nad oceanem. Wcześniej matce udało się wygonić chłopców na zewnątrz i ostrym tonem ponaglała pozostałych dwoje, by do nich dołączyli. Tato bezradnie wzruszył ramionami, a przyciskającej kartkę do piersi dziewczynce zaczęła trząść się broda.

- Może ją sobie wziąć - usłyszała własne słowa Ellie, a mężczyzna odwrócił się do niej błyskawicznie z zaskoczoną miną.

Córeczka uśmiechnęła się do niego promiennie i czmychnęła z pocztówką w rączce. Może będzie o tym pamiętała do najbliższego rogu ulicy albo do końca wakacji; przy odrobinie szczęścia to wspomnienie będzie towarzyszyć jej nieco dłużej.

Kiedy wyszli, Ellie powróciła do komputera.

Raczej nie mogę, napisała do Grahama. *Przepraszam.*

A potem siedziała i czekała.

Dziewięć minut później odpisał; *No to pójdę sam i przyniosę ci jednego wieczorem.*

Ellie z uśmiechem wyobraziła sobie, jak znów pojawia się na werandzie, potem jednak zagryzła wargę i wbiła wzrok w klawiaturę. *Wieczorem też mi nie pasuje*, napisała, a po krótkim namyśle dodała: *Zresztą i tak wciąż nie mam zielonego pojęcia, co to takiego ten czarny księżyc...*

Nie minęła nawet minuta, gdy rozległo się ciche ping i na ekranie znów wyskoczyło jego imię. *No to zbadajmy sprawę.*

Ellie się wahała. *Żadnych aparatów?*

Upłynęła minuta, potem druga, ale czas dłużył się w nieskończoność. Wreszcie nadeszła odpowiedź: *Żadnych aparatów.*

Tym razem nie zwlekała. *Okej*, napisała, zanim zdążyła zmienić zdanie.

Pięć godzin później wędrowała okreżną drogą w stronę zatoczki, zastanawiając się, czy nie popełnia błędu. Rozumiała, że w tego rodzaju sprawach są pewne punkty zwrotne, okazje do ponownego przemyślenia, zdystansowania się, szanse na odwrót. Kiedy jednak mijala sklep z przynętami wędkarskimi oraz domek, w którym wypożyczano skutery wodne, gdy szła niespiesznie skrajem głównej plaży oraz zagłębiała się między kępy drzew wyznaczających jej granicę, Ellie miała nieodparte wrażenie, że przemyka obok znaków ostrzegawczych i wkrótce będzie już za późno, by się wycofać.

Istniały dziesiątki powodów, dla których nie powinna iść na spotkanie. Graham się nią znudzi i znajdzie sobie następną. Za kilka tygodni wyjedzie. Jest zbyt sławny. Zdradzi ich sekret, bo jest, kim jest. Zrani ją zupełnie niechcący.

Gnała ją jednak naprzód jakaś siła rozpędu, rozsuwała przed nią gałęzie, gdy Ellie zbliżała się do zatoczki i ziemia pod stopami ustępowała miejsca skałom. Tymczasem ona niemal tego nie zauważała, pogrążona w myślach o wyrazie twarzy Grahama, gdy stał wieczorem na jej werandzie, o tych wszystkich słowach, które słali do siebie z jednego krańca kraju na drugi, a każdy e-mail był niczym wiersz, w którym wyrażali to, co w nich najlepsze.

Może spotkanie w Henley nie było niczym więcej jak zwykłym uzupełnieniem rozmowy toczącej się już od wielu miesięcy. O ile czas przed jego poznaniem stanowił coś w rodzaju wstępu, teraz następował po prostu epilog.

PS Cześć.

PS Dzięki, że przyszłaś. PS No to jestem.

Drzewa przerzedzały się, zagajnik wychodził na małą zatoczkę, gdzie woda pluskała na kamieniach o barwie łupków. Ellie stanęła jak wryta, gdy zobaczyła, że Graham już tam na nią czeka, i ociągała się z wyjściem spomiędzy drzew. Pochylał się nad ziemią, przesiewając dla zabicia czasu kupki kamieni. Wziął jeden do ręki, przekrzywił głowę. Ze swojego ukrycia Ellie dostrzegła, że kamyk ma kształt koślawego serca.

Przypomniała sobie e-mail, który przysłał jej kilka tygodni temu. Rozmawiali o wspomnieniach ze szkoły podstawowej, wyznał, że jako dziecko zawsze miał problem z przygotowaniem kartki na walentynki, zwłaszcza takiej, w której trzeba było złożyć kolorowy papier na pół i naszkicować kontur połówki serca.

Zawsze wychodziły mi różowe kleksy, pisał.

Czy w gruncie rzeczy nie do tego sprowadza się serce?, odpowiedziała Ellie.

Zaczerpnęła powietrza i wzięła się w garść. Stał teraz odwrócony do niej bokiem, zauważyła, że z profilu wygląda na tej plaży inaczej, jakoś tak bardziej swojsko, nie zwała z nóg. Oczywiście nie tak wyobrażała sobie GDL824, lecz w tej chwili nie przypominał też do końca gwiazdorskiego wydania Grahama Larkina.

W tej chwili był zwykłym Grahamem.

Pomyślała, jak przywitaliby się Rosjanie - *Grahamie!* - i poczuła szybkie bicie serca, różowego kleksa. Uświadomiła sobie, że jest to uczucie najprawdziwsze z prawdziwych, krzyk szczęścia, wielkie zaskoczenie, poruszenie, zatem bez dalszego wahania zrobiła krok naprzód, by przywitać się osobiście.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: poniedziałek, 10 czerwca 2013, 16:24

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: opierzone ptaki

Nie mogłem znaleźć skały, o której mówiłaś, ale myślę, że trafiłem we właściwe miejsce. Jestem tu tylko ja i mewy, więc dość łatwo mnie zauważyć... (ja to ten bez piór).

ROZDZIAŁ 8

Gdy Ellie dotarła wreszcie na plażę, Graham był myślami miliony kilometrów dalej. Usiłował powtarzać kwestie do jutrzejszej sceny, płomiennego monologu, jaki wygłasza jego bohater po wyjściu z pogrzebu ojca, zmierzając do miejsca, gdzie ojciec zginął, starej łajby do połowu homarów o nazwie „Na Ryby”. Jednak słowa umykały, smagane wiatrem znad oceanu.

Grzebał wśród gładkich kamieni zaścielających plażę - jakże odmienną od jasnego piasku Kalifornii - gdy usłyszał za plecami kroki. Nim się odwrócił, głęboko odetchnął.

- Hej - powiedział, podnosząc wzrok i zaraz potem go opuszczając.

Z jakiegoś powodu trudno było mu patrzeć wprost na dziewczynę, choć w tej chwili niczego bardziej nie pragnął. Wszystko wokół było szare - drzewa, skały, niebo, nawet ciemna woda - a pośrodku tego wszystkiego Ellie z rudymi włosami, w białym podkoszulku, dzinsowej spódnicy i gumowych japonkach. Niby najzwyklejsza rzecz na świecie - dziewczyna na plaży - lecz Graham miał wrażenie, jakby wpatrywał się w słońce.

- Znalazłeś jakieś skarby? - spytała, ruchem głowy wskazując kamyk, który trzymał w ręku.

Gdy położył go na dłoni, by jeszcze raz mu się przyjrzeć, uświadomił sobie, że rzeczywiście natrafił na skarb. Kamyk miał bowiem kształt serca. Graham poczuł ciepło napływające do policzków i wsunął go do kieszeni, lekko potrząsając głową. Gdyby pokazał kamyk Ellie, uznałaby go za palanta. Pomyślałaby, że aktor wcale nie różni się od granych przez siebie postaci.

- Przejdziemy się? - zapytał niezamierzenie szorstkim tonem.

Przytaknęła i ruszyli razem wzdłuż plaży, ślizgając się na kamieniach. Przez pewien czas żadne z nich się nie odzywało, ale milczenie nie ciążyło, szum fal wystarczał, nie potrzebowali innych dźwięków. Ellie szła pół kroku z przodu i Graham zastanawiał się, dokąd go prowadzi. Kamienie były nierówne, ruszały się pod stopami, chłopak co chwilę się potykał. Gdy któryś raz z kolei o mało nie zarył nosem w ziemi, dostrzegł na twarzy swej towarzyszki cień uśmiechu.

- To istne wariactwo - powiedział. - Jak można coś takiego nazywać plażą?

- My się tu ze sobą nie cackamy - odparła z uśmiechem.

- Sugerujesz, że Kalifornijczycy to ofermy i mięczaki?

- Nie - zaprzeczyła. - Sugeruję, że ty jesteś fajtłapą. Graham się roześmiał.

- Niech będzie. Ale trafimy kiedyś na jakiś bardziej stabilny grunt?

Ellie wskazała wzniesienie, na którym rysowała się wąska wstążka szlaku wiodącego w górę skarpy po drugiej stronie plaży. Weszli do lasu, schylając głowy pod niskim okapem liści, i po kilku minutach ścieżka wyprowadziła ich na nieuczęszczaną drogę.

- Uknęłaś plan, żeby mnie zamordować? - zapytał Graham, rozglądając się po opustoszałej ulicy, zrytym asfalcie i kołyszących się drzewach.

- Tak, jeśli nie przestaniesz zadawać tylu pytań - odpowiedziała, gdy ruszyli przed siebie drogą, trzymając się przysypanego żwirem pobocza.

- A tak serio, dokąd idziemy? Ellie spojrzała na niego z ukosa.

- Na wyprawę poszukiwawczą - rzekła, jakby to było całkowicie oczywiste.

- Na wyprawę poszukiwawczą - powtórzył. - Tak po prostu.

- Jak Dorotka próbująca odnaleźć drogę powrotną do domu.

- Albo kapitan Ahab ścigający białego wieloryba.

- Właśnie - potwierdziła. - Tylko że my tropimy czarne księżycy.

- Aha - westchnął zadowolony Graham. - Więc uwierzyłaś.

Pokręciła głową.

- Nadal jestem sceptyczna. Ale jeśli w ogóle istnieją, to na pewno będą je mieli w tym miejscu.

Miał zapytać, o jakim miejscu mówi, lecz wtedy droga się rozwidliła, zwiększył się ruch i nagle ujrzeni przed sobą pas zabudowań - sklep ogrodniczy, biuro nieruchomości, komis samochodowy, a w samym środku budynek pomalowany na barwę najwściekłego różu, jaki kiedykolwiek widział. Na otaczającym go dziedzińcu były rozstawione stoły piknikowe, każdy z jasnozielonym parasolem, na dachu przycupnął gigantyczny rożek z lodami waniliowymi, przyozdobiony okularami przeciwsłonecznymi.

- Centrum Lodów i Słodocyzy - oznajmiła Ellie, uroczyście zataczając ramieniem łuk.

- Nie robi wam konkurencji?

- Przecież jest lato. Uwierz mi, klientów wystarczy dla wszystkich.

- Zaczynam się trochę denerwować - zażartował Graham, gdy szli przez parking. - A jeśli ich nie mają?

- Wątpię, by mieli - odparła. - Powtarzam ci, czarne księżycy nie istnieją.

- Istnieją - upierał się. - Są oficjalnym przysmakiem tego stanu.

- Tylko ty tak w kółko powtarzasz.

Graham przystanął tuż przed wejściem do środka.

- Założymy się o parę groszy? - zapytał, ponieważ jednak wyraz twarzy Ellie raptownie się zmienił, na jej ustach zgasł uśmiech, Graham zdał sobie sprawę, że powiedział coś niestosownego. - Albo nie, nie o forszę - dodał pośpiesznie. - Ale pójdźmy o zakład.

Ku wielkiej uldze Grahama z oblicza Ellie zniknęło napięcie. Przypomniał mu się e-mail, który wysłała mu kilka miesięcy temu, niedługo po tym, gdy zaczęli ze sobą korespondować, że dostała się na jakiś letni kurs poezji i bardzo chciałyby na niego pojechać.

Więc dlaczego nie pojedziesz?, wystukał, lecz gdy tylko kliknął w okienko „wyślij”, zrozumiał, jaką otrzyma odpowiedź, i zrobiło mu się głupio, gdy tak siedział przy biurku w swoim przestronnym domu, żałując, że nie może cofnąć napisanych słów.

Nie musiał długo czekać.

Bo mnie na to nie stać, odpisała. *Czy to nie najgorszy powód, jaki kiedykolwiek słyszałeś? Muszę wymyślić sposób, jak temu*

zaradzić, ponieważ znienawidziłabym siebie, gdyby kurs przeszedł mi koło nosa z tak banalnego powodu jak brak pieniędzy.

Z góry założyła, że ją zrozumie, bo i on ma siedemnaście lat, a któremu siedemnastolatkowi nie dokuczają puste kieszenie? Nie pamiętał dokładnie, co odpisał, i zastanawiał się teraz, jaki sprawa przybrała obrót, czy udało się jej wykombinować sposób na opłacenie kursu. Miał taką nadzieję.

Dziwnie się czuł, wiążąc tamte e-mailowe rozmowy ze stojącą przed nim dziewczyną, dodając kolejne szczegóły do jej obrazu, jakby przyszywał guziki do koszuli.

Ellie nadal patrzyła na niego z uniesionymi brwiami.

- O jaki zakład? - zapytała, a Graham dumiał przez chwilę.

- Jeśli mają tu czarne księżycy, będziesz musiała zjeść dziś ze mną kolację.

- Niewiele ryzykuję - odparła. - I tak chciałam cię do tego skłonić.

Graham nie mógł pohamować uśmiechu. Przyłapał się na sporządzaniu w myślach listy wszystkich dziewczyn, z którymi umawiał się w ciągu ostatnich dwóch lat, tych, które czatowały przy telefonie, czekając na sygnał od niego, tych, które dęsały się, kiedy nie dzwonił. Nawet te, które przy pierwszym spotkaniu w sali gimnastycznej albo sklepie spożywczym wydawały się normalne, nieodmiennie nakładały zbyt grubą warstwę makijażu albo ubierały niebotycznie wysokie obcasy, kiedy w końcu szły z nim na randkę; zgadzały się ze wszystkim, co powiedział, i głośno śmiały, kiedy wcale nie był zabawny. Ani jedna - absolutnie ani jedna - nie wygłosiłaby tak śmiałego oświadczenia, jak uczyniła to przed chwilą Ellie.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu znów poczuł się sobą.

- Okej - rzekł, obrzucając Ellie wymownym spojrzeniem. - W takim razie wybierzmy od razu restaurację, ponieważ nie ma możliwości, by nie sprzedawali tu czarnych księżyców. Chyba że opuściliśmy już stan Maine. Nie byłbym zdziwiony, gdyby okazało się, że przegoniłaś mnie aż do samej Kanady...

- Jesteśmy w sąsiednim miasteczku - wyjaśniła, wznosząc oczy do nieba. - Poza tym jeszcze nie wygrałeś. - Stali tuż przed wejściem, zza siatkowych drzwi dochodził słodki zapach czekolady. - Jeśli nie sprzedają tu czarnych księżyców...

- Które sprzedają - wtrącił.

Potrząsnęła głową, namyślając się w milczeniu; w skupieniu zagryzła wargi.

- Jeśli ich nie mają - odezwała się wreszcie - będziesz musiał zrobić dla mnie rysunek.

Nie potrafił ukryć zdumienia. Przez moment miał wrażenie, że Ellie przejrzała go na wylot. Graham zawsze z rezerwą traktował osobiste wyznania, tym bardziej że jego rysunki nie były w żadnym wypadku niczym szczególnym - w gruncie rzeczy zwykłe bazgroły, szkice miejskiego horyzontu - zachowywał je więc dla siebie.

Zapomniał, że jej o nich opowiadał: w e-mailu wysłanym późnym wieczorem po jakimś bankiecie z okazji premiery filmu, gdy siedział samotnie w pokoju swojego pustego domu i pisał do dziewczyny z przeciwległego wybrzeża kraju, zwierając się jej, że ołówek jakby sam sunie po papierze. Przyznawał, że ten rodzaj sztuki to ucieczka, najlepszy rodzaj podróży. I że sprawia mu radość.

Jakoś wciąż mu umykało, że osoba, z którą korespondował długie miesiące, to ta sama dziewczyna, która teraz przed nim stoi.

Odzyskanie głosu zajęło mu kolejną chwilę.

- Zgoda - rzekł wreszcie, a twarz Ellie rozjaśniła się w uśmiechu.

- Doskonale - powiedziała, otwierając drzwi. - Mam nadzieję, że wzięłeś ze sobą ołówki.

Wnętrze było przynajmniej dwukrotnie większe niż cukiernia w Henley, zastawione kolorowymi kubkami cukierków i gigantycznych lizaków. Były tam wiaderka mordoklejek, żelków oraz szklana gablota z ponad dwunastoma rodzajami krówek. Graham przyglądał się wystawie tradycyjnych słodczy, kiedy nagle uświadomił sobie, że Ellie go obserwuje. Kiedy napotkał jej wzrok, energicznym ruchem głowy wskazała mu kasę. Posłusznie ruszył w tamtą stronę.

Zapomniał czapki z daszkiem - co prawda marne to przebranie, ale zawsze stanowiło jakąś tarczę, którą można się zasłonić - a gdy podszedł do lady, kobieta zareagowała według dobrze znanego scenariusza: znudzone spojrzenie, odwrócenie wzroku i nagłe olśnienie. Wszystko na swoim miejscu: powtórny rzut oka, niedowierzanie, otwarte usta. Od tego momentu akcja rozgrywała się zwykle na jeden z dwóch sposobów: jedni wydawali okrzyki, podskakiwali, piszczei i pokazywali palcem, drudzy temperowali wszelkie swoje zapędy do zrobienia widowiska i jak gdyby nigdy nic zajmowali się swoimi sprawami, choć drżał im głos i trzęsły się ręce. Dopiero po jego wyjściu chwyтали za telefon i obdzwaniiali wszystkie znane sobie osoby.

Ku wielkiej uldze Grahama ta kobieta zaliczała się do drugiej kategorii. Tylko na moment rozdziawiła usta, a zaraz potem spuściła wzrok, jakby bała się patrzeć na aktora.

- Chciałbym się dowiedzieć - zaczął, gdy sprzedawczyni próbowała ochłonąć i zachować bezpiecznie neutralny wyraz twarzy - czy macie może czarne księżycy?

- Czarne księżycy? - powtórzyła pytanie z przeproszącą miną. - Nie sędzę.

Zacząła desperacko rozglądać się po sklepie, jakby mogły nagle zmaterializować się na którejś z półek. Graham niemal czuł, jak bardzo chciała je dla niego wyczarować. Miał już machnąć ręką i kupić coś innego, gdy podeszła do niego Ellie.

- Mogę zadać jeszcze jedno pytanie? W celach badawczych?

Kobieta kiwnęła głową i przygryzła wargę.

- Czy w ogóle słyszała pani kiedykolwiek o czarnych księżycach?

- Nie - zaczęła, a potem spojrzała na Grahama, który niemal niezauważalnie skinął głową. Wzrok kobiety znów powędrował ku Ellie. - A właściwie zdaje mi się, że słyszałam. Tak.

Graham się rozpromienił, wtedy Ellie dała mu lekkiego kuksańca w żebra. Nie spodziewał się ciosu i odskoczył w bok ze śmiechem.

- W porządku - rzekł. - Wygrałaś.

Kobieta zamrugała powiekami, a Ellie się do niej uśmiechnęła.

- Dzięki - powiedziała. - Poprzestaniemy na lodach. Wyszli z rożkami na zewnątrz, usiedli przy stole piknikowym i jedli w pośpiechu, żeby lody nie zaczęły ka-

pać. Byli tam sami, jeśli nie liczyć pędzących obok samochodów oraz przelatujących od czasu do czasu mewy.

- Trochę jakbym dopuszczała się zdrady - stwierdziła Ellie.

Graham spojrział na nią i poczuł, jak ściska mu się żołądek. Nigdy nie wspominała o żadnym chłopaku, ale z drugiej strony zawsze unikali w e-mailach konkretów. Zdał sobie sprawę, że nawet nie przyszło mu do głowy o to zapytać. Zastanawiał się, jak sformułować pytanie, gdy Ellie podniosła swój rozek.

- Aha - przytaknął, pojmując, co miała na myśli. Rozluźniły mu się ramiona. - Jestem pewien, że dobrzy ludzie w Sprinkles ci wybaczą.

- Zwłaszcza że zrobiłam to w ramach wyprawy poszukiwawczej.

- Zakończonych fiaskiem - zauważył.

- Wszystko jedno.

- Myślę, że trzeba mocniejszej wiary, by coś się udało

- stwierdził Graham, ocierając twarz umazaną lodami.

- Jak znaleźć to, czego szukasz, skoro nie jesteś przekonana, że w ogóle istnieje?

- No cóż, o ile dobrze pamiętam, Ahabowi mignął kilkakrotnie Moby Dick, a Dorotka doskonale wiedziała, że jej dom jest w Kansas - odparła Ellie z uśmiechem. - Tymczasem czarny księżyc nadal pozostaje wyłącznie mitem.

Graham także się uśmiechnął, a gdy spotkały się ich spojrzenia, zastygły na dłużej, jakby zwarli się w dziwnym pojedynku i sprawdzali, kto kogo przetrzyma. W końcu Ellie pierwsza odwróciła wzrok.

- Okej - powiedziała, rzucając kłębiącym się nieopodal mewom resztki wafelka po lodach. - Czas spłacić dług.

Wyłowiła z torby ołówek, chwyciła menu z leżącej na środku stołu sterty przygniecionej kamieniem i przewróciła kartkę na drugą stronę, podsuwając ją Grahamowi. Wytarł ręce w krótkie spodenki i zmarszczył czoło.

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem w tym dobry - usprawiedliwił się, biorąc ołówek. - Tylko że to lubię.

- I o to chodzi.

- Jakieś życzenia?

- Jedno z twoich miast - powiedziała, gdy pochylił głowę nad kartką.

Czuł, że Ellie przygląda mu się, jak szkicuje serię kwadracików. Mówił prawdę: nie był w tym dobry. To, co robił, bardziej przypominało rysunek techniczny niż sztukę, ale czuł precyzję linii oraz niezawodność kątów. Było w tym coś metodycznego, coś oczyszczającego; kiedy rysował, reszta świata przestawała się liczyć.

Zapełnił prawie pół strony, nim Ellie znów się odezwała. Jej głos tak go wystraszył, że zrobił ołówkiem dziurę w papierze. Potarł kartkę dłonią, próbując ją wygładzić, a następnie podniósł wzrok.

- Przepraszam. Co mówiłaś?

- Tamta kobieta cię rozpoznała.

Trzymał nieruchomo ołówek i czuł, jak napinają mu się mięśnie.
-Tak.

-To musi być...

Chłopak czekał, aż powie to, co wszyscy. To musi być super. Albo: to musi być dziwne uczucie. To musi być krępujące. To jak spełnienie marzeń. To interesujące albo okropne, dziwaczne albo obłądne.

Tymczasem Ellie pokręciła głową i zaczęła od nowa.

- To musi być trudne.

Graham oderwał wzrok od rysunku, ale milczał.

- Przynajmniej dla mnie by takie było. Wszyscy cię rozpoznają. Wszędzie obiektywy aparatów. Wszędzie czyjeś oczy. - Wzruszyła ramionami. - Naprawdę bardzo, bardzo trudne.

- I tak właśnie jest - przyznał, bo rzeczywiście tak było.

Jakby chodził w przenicowanej skórze, szokująco obnażając tkliwą, różową tkanę.

W tym jednak momencie jedyną obserwującą go osobą była Ellie, a to zupełnie zmieniało postać rzeczy. Nie miał ochoty myśleć o całej reszcie świata.

- Można przywyknąć - powiedział, choć nie była to właściwie prawda. Mówiło się tak, gdy prawda okazywała się zbyt trudna do wytłumaczenia.

Kiwnęła głową, a Graham powrócił do rysowania, kończąc ostatnie kilka budynków, wstawiając im okna i drzwi, poprawiając schody i chodniki, dodając gdzieś doniczkę z kwiatami albo schody przeciwpożarowe. Miał do zbudowania cały świat na kartce papieru i nie podniósł głowy, póki świat ów nie został ukończony.

- Ta-dam - oznajmił wreszcie, podsuwając rysunek po nierównym blacie stołu piknikowego.

Ellie podparła się łokciami, położywszy między nimi kartkę, tak że Graham widział tylko czubek jej rudych włosów. Studiowała jego dzieło całe wieki.

W końcu na niego popatrzyła.

- Chyba przyjemnie się tam mieszka.

- Pewnie nie tak przyjemnie jak w Maine.

- Z tą różnicą, że mają tam czarne księżyce - zauważyła, pokazując palcem przysadzisty budynek z szyldem „Fabryka Czarnych Księżyców”.

- Tutaj też je mają - przekonywał. - Nie martw się, znajdziemy.

- Nie podpiszesz swojej pracy? - spytała, pchnąwszy w jego stronę rysunek.

Wahał się przez sekundę, w głowie włączyły mu się jak zwykle wszystkie dzwonki alarmowe. Ale ta sytuacja różniła się od innych; wiedział, że Ellie nie sprzeda rysunku na aukcji w Internecie ani nie pozwoli, by wpadł w ręce blogerów, fotografów czy dziennikarzy, wszystkich tych hien, które kręciły się na obrzeżach jego życia. Nagryzmolił swoje nazwisko na dole kartki i zaczął ją składać, wyrównując rogi, lecz Ellie schwyciła go za rękę.

- Nie - poprosiła, więc przestał.

Mimo to nie zwolniła uścisku. Dotyk jej gorącej dłoni przyprawił go o dreszcz. Po chwili zarumieniła się i cofnęła rękę, po czym wyjęła z torby niewielką książeczkę.

- Nie składaj - rzekła, ujmując kartkę dwoma palcami i wsuwając starannie za okładkę książki. - Zniszczysz.

- Czy moje dzieło nie powinno najpierw nabrać wartości? - zażartował. - Żeby można mówić o zniszczeniu?

- Wszystko można zniszczyć - odparła ze wzruszeniem ramion i wstała z miejsca.

Graham także się podniósł, a wtedy z kieszeni wypadł mu kamyk w kształcie serca, potoczył się po trawie i zatrzymał przy ławce. Ellie zmierzała już w stronę drogi, Graham przystanął jednak, by podnieść zgubę, obejrzał ją i wsunął z powrotem do kieszeni, gdzie - miał nadzieję - znajdzie bezpieczne schronienie.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: poniedziałek, 10 czerwca 2013,18:32

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Gdybyś się zgubił...

Wiem, powiedziałaś, że nie potrzebujesz wskazówek, ale na wypadek, gdybyś zapomniał, przypominam adres: 510 E. Sunset. Żółty dom na rogu. (Ten, który dziwnym trafem przypomina trochę fabrykę czekoladowych księżyców z twojego rysunku...).

ROZDZIAŁ 9

Rozstali się na początku Sunset Drive, resztę drogi Ellie przemierzyła sama. Tego wieczoru morskie powietrze było ciężkie, zbierała się mgła, zacierając kontury domów i sprawiając, że wszystko stawało się trochę nierzeczywiste. Ona jednak ledwo to zauważała, pochłonięta rozmyślaniami o ostatnich kilku godzinach: jak Graham spojrział znad rysunku, jak uśmiechał się do niej szeroko w cukierni, jak delikatnie kręciły mu się włosy na karku, gdy szła za nim plażą.

Lecz przede wszystkim starała się zrozumieć, dlaczego uznała wcześniej, że zaproszenie chłopaka do siebie na kolację będzie dobrym pomysłem oraz dlaczego właściwie się zgodził. Lista wszystkich rzeczy, które musi zrobić przed jego przyjściem, przewijała jej się przez głowę niczym płynący w nieskończoność pasek wiadomości na ekranie telewizora. Ze wszystkich sił próbowała nie ulec panice.

Wydawało się nierealne, że to w ogóle może się udać. Jeśli istniał jednak choćby cień szansy, Ellie musi dopilnować, by mama wyszła na czas do swojego klubu czytelniczego (choć raz), by w kuchni było czysto (choć raz) i żeby Bajgiel porządnie się wybiegał i zachowywał jak pies rasy beagle, zamiast wyc jak potępieniec (choć raz). A to

dopiero początek. Cały plan mógł całkowicie wziąć w łeb na tysiąc różnych sposobów. Miała nadzieję, że w domu wystarczy jedzenia, by upichcić coś zbliżonego do normalnego posiłku. Miała nadzieję, że mama nie porozkładała po całym salonie sklepowego asortymentu. Miała nadzieję, że podczas jej nieobecności w jakiś cudowny sposób naprawiła się klimatyzacja. Miała nadzieję.

Droga skręcała w dół. Ellie rozpedziła się z górki, sandały klapały o chodnik, a ona zastanawiała się, co też strzeliło jej do głowy. Po prostu nie potrafiła wyobrazić sobie wspólnej kolacji w mieście. Ze względu na tych wszystkich fotografów, na to, co przydarzyło się Quinn poprzedniego wieczoru, na to, że wszystkie znane jej osoby nie spuszczałyby ich z oka. Kiedy więc znów zaproponował Lobster Pot - na wpół żartobliwie, wiedziała o tym, ale jednak - Ellie ni z tego, ni z owego zaprosiła go do siebie.

- Nie mogę obiecać żadnych frykasów - uprzedziła

- mogę za to zagwarantować, że w zasięgu wzroku nie będzie żadnych homarów.

- No, no, ty to potrafisz zareklamować lokal - skwitował zaproszenie.

Ale przyjął je. Przyjdzie. Do niej. Za godzinę.

Ellie była już w połowie podjazdu, gdy wtem aż podskoczyła na widok Quinn siedzącej na huśtawce, odpychającej się jedną nogą i oglądającej sobie paznokcie.

- Hej - rzuciła przyjaciółka, podnosząc głowę na odgłos kroków. - Gdzie byłaś?

- Na spacerze - powiedziała Ellie, siadając obok. Huśtawka zaskrzypiała pod ich wspólnym ciężarem, ona zaś przypomniała sobie, jak przychodziły tu

obie z kocami, kiedy były małe. Przytulały się do siebie, udając, że ławka huśtawki jest łódką, zamykały oczy, a szum fal znad od oceanu dopełniał złudzenia morskiego rejsu.

- Gdzie? - dociekała Quinn.

Ellie jednak wiedziała, że w gruncie rzeczy interesuje ją zupełnie co innego.

- Z Grahamem - powiedziała cicho, patrząc na przyjaciółkę z boku.

Quinn pokręciła głową.

- Nadal trochę nie chce się wierzyć, co?

Ellie nie umiała wymyślić żadnej odpowiedzi. Bo rzeczywiście tak było. Cała ta historia wydawała się naprawdę niewiarygodna.

- Mam milion pytań - oznajmiła Quinn, podwijając nogi na huśtawce.

- Jak to się stało, że zaczął wysyłać do ciebie e-maile? No i jak mogłaś mi nie powiedzieć, że piszesz do kogoś listy miłosne? Wiesz, nawet jeśli usunąć z tego zestawu Grahama Larkina, to i tak powinnam o tym wiedzieć. Jestem twoją najlepszą przyjaciółką. - Umilkła, rozważając tę kwestię z lekko nachmurzoną miną. - Na serio, El. Od kiedy to masz przede mną tajemnice?

Ellie odwróciła wzrok, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Quinn nie miała pojęcia, że dotknęła sedna prawdy. Nie zdawała sobie sprawy, że przez całe dwanaście lat ich znajomości Ellie właśnie to robiła: ukrywała przed nią swoje sekrety. Z początku dlatego, że obiecała mamie, a później, kiedy były starsze, z przyzwyczajenia albo instynktownie, a może z obu tych powodów. Chowała w sobie coś, co było zbyt poważne, by mówić o tym na głos.

- Wcale nie... - zaczęła i urwała. - Miałam zamiar ci powiedzieć.

- Tak? A kiedy?

W spojrzeniu Quinn pojawił się nagły chłód. Jakby wiedziała, że jest z jakiegoś powodu zła, lecz aż do tej pory nie potrafiła go sprecyzować.

- Wkrótce - odparła Ellie, odwracając się przodem do Quinn. - Przysięgam. Po prostu nie wiedziałam dokładnie, o co chodzi, ani czy w ogóle cokolwiek z tego wyniknie. Myślałam, że to jakiś przypadkowy chłopak z drugiego końca kraju, którego prawdopodobnie nigdy nie zobaczę. - Westchnęła. - Chyba zwyczajnie nie byłam pewna, czy to coś prawdziwego.

- A teraz?

Ellie spuściła wzrok na swoje dłonie. Kciuk był pobrudzony szarym rysikiem ołówka, którym Graham narysował wcześniej swoje dzieło. Zwalczyła w sobie przemożne pragnienie wyjęcia z torby kartki i przyjrzenia się jej raz jeszcze.

- Nie wiem - przyznała. - Może.

Quinn zrobiła pytającą minę, a Ellie potrząsnęła głową.

- A może nie. W końcu to Graham Larkin - mówiła, lecz w tym samym momencie myślała coś przeciwnego. Przecież dzisiaj wcale nie wydawał się Grahamem Larkinem. Tylko tamtym przypadkowym chłopakiem z drugiego końca kraju.

Za ich plecami otworzyły się drzwi i mama wystawiła na werandę głowę, powstrzymując nogą Bajgla, który nieustannie ponawiał próby ucieczki z domu.

- Wydawało mi się, że kogoś słyszę - oznajmiła. - Co tam, dziewczyny, knujecie?

-Ellie opowiadała mi właśnie o... - zaczęła Quinn, lecz urwała gwałtownie, widząc wytrzeszczone oczy przyjaciółki.

- Pytałam, czy nie chciałaby zostać na kolację - wtrąciła nieco zbyt pospiesznie Ellie.

Mama wzruszyła ramionami.

- Mam dzisiaj spotkanie w klubie książki, ale częstujcie się wszystkim, co znajdziecie w lodówce.

- Dzięki. O której wychodzisz? Chyba zaniedługo, co?

- wypytywała Ellie.

Mama zerknęła na zegarek.

- Za krótką chwilę - powiedziała i zniknęła w domu razem z psem.

Po jej odejściu Quinn popatrzyła zdziwiona.

- Co ty, do diabła, kombinujesz?

- Przepraszam, bo wiesz, Graham zjawi się tu lada chwila, a ja nie miałam jeszcze okazji z nią o tym porozmawiać, nie byłaby zachwycona...

- A więc do tego okłamujesz jeszcze własną mamę?

- dziwiła się Quinn. - Na serio: po co te wszystkie sekrety?

- To nie jest tak. Sytuacja jest skomplikowana.

- To znaczy?

Ellie spuściła wzrok.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Niech zgadnę - rzekła Quinn. - Kolejna tajemnica.

- Przepraszam. Naprawdę. Tu chodzi o coś więcej...

- Umilkła i pokręciła głową. - Żałuję, że nie mogę wytłumaczyć.

- Nie trudź się - odparła Quinn, wstając. - Muszę iść. Też mam plany na wieczór.

- Poważnie?

Quinn popatrzyła zimnym wzrokiem.

- Aż tak trudno w to uwierzyć?

- Ależ skąd - dodała czym prędzej Ellie. - Co robisz?

- Umówiłam się z Devonem.

- Naprawdę? - rzekła i zaraz ugryzła się w język. Ale było już za późno. Quinn błyskawicznie zareagowała, spoglądając znacząco.

Ellie nie zdołała się powstrzymać. Przez ostatnie cztery lata bez przerwy wysłuchiwała, jaki to Devon jest groteskowy. Za wysoki, za chudy, ma zbyt kręcone włosy i wiecznie przekrzywione okulary. Całymi godzinami śmiały się razem z Quinn z tego, że chłopak łązi za nią jak cień, wszyscy w szkole pamiętają, jak w pierwszej klasie szafka przyjaciółki zapchała się w walentynki. Kiedy woźnemu udało się ją wreszcie odblokować, ze środka wysypała się cała sterta różowych kopert, a później przez wiele miesięcy wszyscy nabijali się z biednego Devona, że zabijał się w woźnym, zgarbionym mężczyźnie po siedemdziesiątce.

Najwyraźniej wczorajszego wieczoru coś się zmieniło i Devon przestał być obiektem żartów. Ellie odniosła nagle wrażenie, że przesunęła się niewidzialna granica i znalazły się z Quinn, która właśnie piorunowała ją wzrokiem, po dwóch przeciwnych stronach.

- Tak, naprawdę.

- Przepraszam - wydukała Ellie. - Serio. Dopiero osuwajam się z myślą, że spotykasz się z Devonem.

Quinn stała jeszcze przez chwilę na schodkach werandy, patrząc krzywo na Ellie.

- Cóż, nie każdemu są pisane randki ze sławami - rzuciła i oddaliła się, nie mówiąc nic więcej.

- Quinn! - zawołała za nią, lecz przyjaciółka się nie obejrzała i Ellie mogła jedynie patrzeć, jak odchodzi.

Siedząc na werandzie, straciła cały animusz. Nawet gdyby pobięła za Quinn, niewiele mogłaby wskórać. Ponieważ problem nie miał nic wspólnego ani z Devonem, ani z Grahamem; problem polegał na tym, że Quinn miała absolutną rację, nawet większą, niż przypuszczała. Bo Ellie rzeczywiście skrywała przed nią tajemnice, a jedynym sposobem naprawienia stosunków było wyjawienie prawdy. To jednak nie wchodziło w rachubę.

Przez lata przyjaźni pokłóciła się z Quinn wystarczająco wiele razy, by wiedzieć, że nieważne, jak i kiedy się przeprosza. Jeśli Quinn nie była gotowa jej wysłuchać, przeprosiny niczego by nie zmieniły. Sama wyciągnie rękę do zgody - zawsze tak robiła - natomiast Ellie kiepsko radziła sobie z czekaniem i nawet teraz na samą myśl o tym robiło się jej słabo.

Jutro do niej zadzwoni. Jutro rozpocznie kampanię prześlągalną. A teraz nie ma czasu na zmartwienia. Graham zjawi się tu za niecałą godzinę, a ona nie weszła nawet do domu, by dokonać przeglądu zniszczeń.

Kiedy pchnęła siatkowe drzwi, Bajgiel wpadł jak bomba do holu, objając się o ściany i rozrzucając na wszystkie strony ustawiony wzdłuż nich zbiór parasoli i kaloszy. Ellie stała na wysłużonej wycieraczce i patrzyła, jak pies wywleka spod stolika kłęby kurzu. Z westchnieniem postawiła przy drzwiach torbę i odważyła się wejść do kuchni.

Mama stała przy zlewie i jadła jogurt z kubeczką, w roztargnieniu oglądając wiadomości na przedpotopowym telewizorze ustawionym obok tosterka. Cały blat był zasłany

gazetami, od wczorajszych po te sprzed dwóch tygodni, a ze zlewu wysypywały się brudne naczynia.

- O której masz spotkanie w klubie czytelniczym? - zagadnęła Ellie, lustrując strój mamy, który składał się ze spodni dresowych, zapinanej koszuli w kratę oraz kapci.

Spojrzenie pani O'Neill powędrowało na zegarek w kuchence mikrofalowej.

- Ojej - rzekła szczerze zdumiona - teraz.

- Więc lepiej już idź - poradziła Ellie, wyganiając mamę z kuchni i czekając w korytarzu wystarczająco długo, by upewnić się, że dotarła na piętro. Sama zaś rzuciła się do zlewu, chwyciła gąbkę i przypuściła atak na naczynia.

- Myślałam, że Quinn zostaje na kolację - odezwała się mama, pojawiwszy się po kilku minutach w mokasynach i w tej samej koszuli w kratkę, ale włożonej teraz do džinsów.

- Musiała najpierw załatwić coś w mieście - odparła Ellie, schylając głowę, żeby mama nie zobaczyła, jak się czerwieni. Nigdy nie umiała kłamać. - Poradzimy sobie. Nie śpiesz się z powrotem.

- Dobrze - rzekła mama, zabierając klucze ze sterty kuponów. - Będziesz pamiętała o nakarmieniu Bajgla?

Ellie kiwnęła głową i pomachała namydloną ręką, oddychając z ulgą na dźwięk zatrzasniętych drzwi. Oparła się o zlew i westchnęła, zniechęcona stanem domu. Kiedy odwróciła głowę, Bajgiel siedział u jej stóp i machał jak szalony ogonem.

- To będzie katastrofa - powiedziała do psa, który tylko uśmiechnął się szerokim psim uśmiechem i nie przestawał merdać ogonem z białym czubkiem.

Ellie skończyła zmywać naczynia, uprzątnęła z kuchennego blatu część bałaganu, porzuciła piłkę Bajglowi oraz nakarmiła go jedzeniem tylko odrobinę mniej apetycznym od tego, które będzie mogła zaserwować na kolację, zważywszy na zasoby lodówki. Zostało zaledwie kilka minut na wzięcie prysznicą, przebranie się i skontrolowanie wyglądu domu przed umówioną godziną.

Ubierając się na górze, chciała włożyć jak zwykle džinsy, wybrała jednak zieloną sukienkę na ramiączkach, którą kupiła jej niedawno mama, i zębami oderwała metki. Zwykle nie znosiła stroić się na zielono z obawy, że w połączeniu z rudymi włosami będzie wyglądała jak ozdoba choinkowa, ale gdy stanęła przed lustrem, uzmysłowiła sobie, że prezentuje się lepiej, niż mogła się spodziewać. Może niekoniecznie zgodnie z hollywoodzkimi standardami, ale obleci.

Mając jeszcze dwie minuty, zbiegła na dół i przejrzała listę rzeczy do zrobienia. Nie liczyła na punktualność Grahama; chłopcy zawsze się spóźniają, a jej mocno ograniczona znajomość obyczajów gwiazd filmowych podpowiadała, że z takimi jest pewnie jeszcze gorzej. Zdaży więc zrobić porządki, ukryć krępujące zdjęcia z dzieciństwa, usunąć kilka ozdóbek z homarami, które poniewierały się po domu.

Jednak gdy wróciła do kuchni, ogarnęło ją zwątpienie.

Nie było gazet na kuchennych blatach, nie było głupich magnesów na lodówce; schowała do szafki piszczące zabawki Bajgla, odłożyła na miejsce naczynia. Dom wyglądał przyjemnie, może nawet przyjemniej niż kiedykolwiek wcześniej. Ale stojąc tam, patrząc na wszystko oca-

mi Grahama, zrozumiała, że to wewnątrz nigdy nie będzie prezentowało się wystarczająco ładnie.

Dom był mały, zagracony i podniszczony. Dwanaście lat, kiedy tu mieszkały, pozostawiło ślady w postaci porysowanych ścian i zdartych drewnianych podłóg, cienkiej warstewki kurzu na każdej fotografii w ramkach. Kurek przy kuchennym zlewie zepsuł się tak dawno temu, że niemal zapomniały, że coś jest z nim nie w porządku, lodówka z białej niepostrzeżenie zrobiła się beżowa.

Ellie rozglądała się nerwowo po pokoju i próbowała odepchnąć od siebie falę obaw. Jak mogła w ogóle pomyśleć, że kolacja tutaj to dobry pomysł? Przecież to nie był zwykły chłopak, tylko gwiazda filmowa. Pewnie miał łazienkę większą od ich kuchni, a sypialnię większą niż cały ich dom. Ellie nigdy nie była w Kalifornii, ale wyobrażała sobie, że wszystko jest tam nowe i wymuskane, odległe o miliony kilometrów od tego rozpadającego się domu, w którym farba zmatowiała od soli znad oceanu, a weranda przygarbiła się od długich lat użytkowania.

Złapała za telefon, mając zamiar wysłać Grahamowi wiadomość i zmienić plany. Pomysł pójścia do miasta i stawienia czoła wszystkim fotografom bardzo ją onieśmielał, lecz czy może być coś gorszego niż to, co się zaraz stanie? Sławny aktor stojący na popękkanym linoleum w kuchni, wyjadający resztki z lodówki z wyszczerbionych misek?

Wiedziała, że jeśli do gazet trafi jej zdjęcie, nie obędzie się bez konsekwencji. Mama wpadnie w furję, ale groziło im coś więcej: ryzyko, że ktoś skojarzy fakty z przeszłości. Cała ich tutejsza egzystencja została zbudowana na tajemnicy i wystarczy jeden błąd, by wszystko zniszczyć.

Za jej plecami pies chleptał wodę z toalety, klimatyzator na parapecie głośno jęknął, zatrzęsł się i przestał działać.

Ellie przygryzła wargę i stała ze spojrzeniem utkwionym w telefonie. Ale było już za późno.

Bajgiel ostro szczeknął i z rumorem popędził korytarzem, a ułamek sekundy później w małym domu rozległ się przeszywający dźwięk dzwonka do drzwi.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: poniedziałek, 10 czerwca 2013, 19:24

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: jeśli się zgubisz...

Jestem w drodze. (I nie zgubiłem się, daję słowo).

ROZDZIAŁ 10

Od godziny Graham błąkał się po uliczkach Henley. Mówiąc Ellie, że musi wrócić" do hotelu i sprawdzić kilka rzeczy, kłamał. Po prostu chciał dać jej trochę czasu na przygotowania. W chwili, gdy z jej ust wymknęło się zaproszenie na kolację, widział, że jakaś cząstka dziewczyny chciała je cofnąć.

Powinien powiedzieć, żeby się nie przejmowała, od razu, tam na miejscu, gdy stali na początku Sunset Drive, a słońce późnego popołudnia sączyło się przez liście, podkreślając piegi na nosie Ellie. Żałował, że nie wyjawiał, iż dorastał w domu niewiele większym od jej domu, w którym w łazience kruszyły się kafelki, w piwnicy panował dziwny zapach, a schody odzywały się chórem skrzypnięć i jęków, jeśli ktokolwiek odważył się na nie wejść.

Powinien był powiedzieć, że jego rodzice nadal tam mieszkają, z tą różnicą, że teraz, kiedy przychodził w odwiedziny, matka szykowała dom jak na wizytę kogoś obcego, jakiegoś urzędnika albo dawno niewidzianego krewnego, na którym mogłyby zrobić wrażenie kwiaty na parapetach albo starannie złożone ręczniki w łazience. Takie upiększające zabiegi miały ukryć prawdziwy charakter miejsca, zmienić je nie do poznania, podczas

gdy wszystko, czego Graham pragnął - i po co tam przychodził - było tego dokładnym przeciwieństwem: chciał poczuć się znów jak w swoim dawnym domu.

Nie potrafił jednak o tym rozmawiać. Przywykł do ukrywania swoich myśli głęboko i niedzielenia się nimi z nikim.

Przez miasteczko szedł ze spuszczoną głową, mijając grupki turystów przeglądających menu wystawiane przed lokalnymi restauracjami. Na planie filmowym na końcu ulicy było cicho, olbrzymie przyczepy stały ciemne i opuszczone. Już dawno zakończył się dzień zdjęciowy, mimo to Graham wiedział, że Mick będzie się kręcił gdzieś w pobliżu, wertując scenopis albo sprawdzając sprzęt przed jutrzejszą sceną, która po raz pierwszy miała być kręcona na wodzie.

Przechodząc obok sklepu żelaznego ze staromodnym mechanicznym koniem ustawionym przed witryną, chłopak zauważył w oknie afisz zapowiadający doroczny festyn z okazji Dnia Niepodległości. Przystanął, by przeczytać program. Co roku na skwerze odbywała się całodzienna impreza: koncert i poczęstunek z grillem, a później tańce i pokaz fajerwerków. Graham od razu to sobie wyobraził: ulice pełne ludzi, dzieci biegające z zimnymi ogniami, wystrzały petard w oddali, coraz głośniejsza muzyka. Przypomniały mu się obchody czwartego lipca w rodzinnym mieście, wróciły wspomnienia wszystkich parad, które oglądał z rodzicami, gdy był mały. Machali wtedy we troje chorągiewkami do maszerujących orkiestr.

Znajdował się w połowie ulicy, zmierzając w stronę domu Ellie, gdy uzmysłowił sobie, że w Dniu Niepodległości nadal będzie w Henley. Produkcja miała przenieść się z powrotem do LA dopiero kilka dni po czwar-

tym lipca i choć Graham nie potrafił sobie w tej chwili przypomnieć dokładnego harmonogramu - prawdę mówiąc, nawet nie rzucił na niego okiem - był pewien, że ekipa z pewnością ma trochę wolnego czasu podczas świątecznego weekendu.

Zanim zdążył oswoić pomysł, wyciągał już z kieszeni telefon i dzwonił do rodziców. Przychodziły mu do głowy różne możliwości spędzenia tego weekendu, na myśl

O tym aż się uśmiechnął. Rodzice odwiedzili go na planie tylko jeden jedyny raz, i to na samym początku jego kariery, podczas kręcenia w studiu w LA jednej z pierwszych scen filmu. Rozpaczliwie nie pasowali do tego miejsca, stali z boku w swoich swetrach z warkoczami i okularach, mama dygotała z powodu niskiej temperatury w hali zdjęciowej, a tato mrużył oczy przed oślepiającymi reflektorami. Podczas przerwy mama cmoknęła syna w policzek i wytłumaczyła, że nie najlepiej się czuje, a Graham ze ściśniętym żołądkiem patrzył, gdy wychodzili, i miał poczucie, że coś przepadło już na zawsze.

Ale tym razem byłoby inaczej. Mógłby się nimi zająć, zaimponować swoją znajomością produkcji filmowej, pokazać się przy pracy w miejscu, gdzie czułoby się swobodniej. Zabrałby ich na wycieczkę po miasteczku, zaprosił na kolację w Lobster Pot, poszedł z nimi na festyn, żeby mogli wspólnie podziwiać fajerwerki, tak jak wtedy, kiedy był młodszy. Może wyprawiłby się z tatą na ryby. Może nawet poznałby Ellie.

Gdy w telefonie włączyła się poczta głosowa - z nagraniem informacją, tą samą od wielu lat - Graham szybko oprzytomniał i odchrząknął. „Cześć wam”, powiedział

1 się zawahał. „To ja. Chciałem się dowiedzieć, czy macie

jakieś plany na czwartego lipca. Jeśli nie, pomyślałem, że może byście przyjechali i zajrzeli na plan filmowy. Spodobałoby się wam tutaj. To miejsce przypomina mi trochę dom. I moglibyście fajnie spędzić weekend. Tak w ogóle, to jestem w Maine. Nie pamiętam, czy wam mówiłem. Zresztą, mniejsza o to, dajcie znać, co o tym myślicie..."

Zamilkł i szybko się rozłączył, ale od razu opadły go wątpliwości. Rodzice prawie nigdy nie podróżowali. Kiedy Graham był mały, wybierali się na rodzinne wakacje tylko raz w roku, jechali dwie godziny do motelu nad oceanem, zatrzymywali się tam zawsze na trzy dni i wracali do domu z zaróżowionymi policzkami, upojeni słońcem po godzinach wysiadania na plaży. Nie chodzi o to, że nie byli ciekawi świata; po prostu dwie pensje nauczycielskie nie pozwalały na wiele.

„Mieszkamy w Kalifornii”, powtarzali wesoło. „Całe nasze życie to jak jedne wielkie wakacje”.

Ale Kalifornia, w której dorastał Graham, bardzo różniła się od tej, w której mieszkał obecnie. A nawet od miejsca, gdzie znajdowała się jego szkoła, oddalona dwadzieścia minut jazdy samochodem, położona w tak odmiennym otoczeniu, że równie dobrze mogłoby dzielić ją od jego domu dwadzieścia godzin drogi. Tuż przed pierwszym rokiem studiów udało mu się zdobyć częściowe stypendium w prywatnej szkole kilka miejscowości dalej, a rodzice przeznaczili pieniądze pozostawione mu przez dziadków na pokrycie pozostałych kosztów. Była to kwota, która w owym czasie wydawała się Grahamowi tak zawrotna, że przyjmując ją, miał wyrzuty sumienia, ponieważ rodzice mogli ją przeznaczyć na tyle innych rzeczy: remont domu, wymianę terkoczącego samocho-

du, zapłacenie rachunków, które gromadziły się na biurku taty z zatrważającą częstotliwością.

Oczywiście teraz Graham miał dość pieniędzy na wszystko: mógł kupić bliskim nowiutki dom albo całą flotę samochodów, wysłać ich w podróż dookoła świata albo spłacić wszystkie długi bez mrugnięcia okiem. Tymczasem jedyną rzeczą, jakiej od zawsze pragnęli rodzice, były studia syna.

Nie można im zarzucić, że nie wspierali jego kariery aktorskiej, lecz traktowali ją jako doświadczenie, które należy tolerować i uważać za przystanek na drodze do wyższego wykształcenia, nie zaś epizod, który mógłby ukształtować resztę jego życia. Jedynymi filmami, jakie oglądał jego ojciec, były stare czarno-białe klasyki; wszystko, co nakręcono w ostatnich kilku dekadach, nie uchodziło jego zdaniem za sztukę. Kiedy Graham zabrał rodziców na premierę swego pierwszego filmu, klaskali i uśmiechali się we wszystkich stosownych momentach, ale miał dotkliwą świadomość, co naprawdę myśleli. O sekwencjach walki naszpikowanych niesłychanie dynamicznymi efektami specjalnymi, przesadzonych dialogach i (najgorsze ze wszystkiego) scenie, w której całuje bohaterkę. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak tandetny to był obraz.

Graham wiedział, że chociaż rodzice stąpali wokół niego na palcach - nowicjusze na nieznanym terenie jego nowego życia - mieli nadzieję, że odzyska zdrowy rozsądek i machnie ręką na całe to aktorstwo. Mieli zwyczaj rozmawiania o jego karierze, jakby była czymś w rodzaju rocznej przerwy przed studiami, jakby odkładał naukę na później, żeby uciec na jeden sezon z cyr-

kiem objazdowym albo spędzić kilka miesięcy na badaniu zwyczajów małych na Bali. Prawda była tymczasem taka, że Graham nie miał zamiaru iść do college'u w następnym roku. Gdy ukończy liceum z pomocą towarzyszącego mu na planie zdjęciowym prywatnego nauczyciela, na tym poprzestanie.

Po części dlatego, że szczerze polubił aktorstwo i nie potrafił wyobrazić sobie rezygnacji z nieustannie rozszerzających się perspektyw, porzucenia aktorów, z którymi chciałby pracować, ról, które chciałby zagrać. A także dlatego, że nie widział w tym sensu. Studia polegały na intensywnej nauce w celu zapewnienia sobie dobrej pracy i wysokich zarobków. Ale on już miał mnóstwo forsy, tyle, że wystarczy mu do końca życia. A przecież uczyć się można wszędzie, czyż nie?

Gdyby miał być całkowicie szczerzy, były też inne powody. Jego wyobrażenia o college'u - bieganie na zajęcia odbywające się w porośniętych bluszczem gmachach, mozolne brnięcie w śniegu zaścielającym zimą alejki, siedzenie na trybunach podczas meczów futbolowych i rozprawianie o filozofii w salach wypełnionych studentami o jasnych spojrzeniach - wydawały mu się beznadziejnie odległe od nowego życia, w którym kompletnie zatracił umiejętność wmieszania się w tłum. Ostatnią zaś rzeczą, jakiej pragnął, to być jedną z tych sławnych osób, które uważają się za bardzo uczone, próbują bez przekonania nie wyróżniać się spośród reszty studentów, a jednocześnie są nieustannie śledzone przez fotografów, obserwowane natrętnie przez kolegów ze studiów; omijają egzaminy końcowe, bo muszą dotrzeć na plan niezależnego filmu kręconego

w Vancouver. Graham nie miał najmniejszej ochoty na robienie z siebie większego widowiska niż obecnie.

Wiedział, że rodzice mają cichą nadzieję, że zmieni zdanie, i bardzo nie chciał ich rozczarować. Był jednak pewien swojej decyzji. To dlatego między innymi przestali się rozumieć, stali się nie tyle rodziną, ile trzema osobami, które mieszkały niegdyś pod jednym dachem.

Przydałyby im się, rozmyślał Graham, zbliżając się do domu Ellie, staromodne rodzinne wakacje. Piknik, chorągiewki i fajerwerki w miejscu tak odległym od Kalifornii, że dalej już być nie mogło. Po zaledwie kilku krótkich dniach, które tutaj spędził, czuł się jak inna osoba. Może Henley podziałałoby cudownie także na jego rodziców.

Kiedy otworzyły się drzwi i stanęła w nich Ellie - z długimi włosami wilgotnymi po kąpiel, piękna w jasnozielonej sukience na ramiączkach - zrozumiał, że to wcale nie zasługa Henley.

Sprawiła to ona.

Pochylił się, by ją pocałować - w odruchu tak automatycznym jak zawiązywanie sznurowadeł albo wchodzenie po schodach, jak coś, co robi się bezwiednie. Znajdował się już kilkanaście centymetrów od niej, gdy raptem gwałtownie odsunął głowę, uświadomił sobie bowiem wszystko tak wyraźnie, że aż się przestraszył.

Nawet nie mieli jeszcze za sobą pierwszego pocałunku, a oto on pochylał się ku niej, jakby to było na porządku dziennym, zwyczajowy gest, codzienny rytuał, jakby całowali się już z tysiąc razy. Wyprostował się i odzyskał równowagę. Nie chciał być na wpół przytomny podczas pierwszego pocałunku z Ellie. Chciał mieć wyostrzone wszystkie zmysły.

Przyglądała mu się zdezorientowana i Graham nie potrafił odczytać jej myśli. Liczył na to, że nie połapała się w jego zamiarach.

Miał nadzieję, że po prostu uznała, iż ma trudności z zachowaniem równowagi.

- Cześć - przywitał ją z zakłopotanym uśmiechem.

- Wejdz - poprosiła, także odrobinę podenerwowana. Zaprowadziła go do holu pachnącego cytrynowym

płynem do czyszczenia. Graham zatrzymał się i pogłaskał Bajgla, który dokładnie obwąchiwał jego buty. Obydwaj ruszyli za Ellie do kuchni, gdzie na stole stały dwa nakrycia. Pomieszczenie miało przyćmione światło, w powietrzu unosiła się jeszcze delikatna woń płynu do mycia naczyń. Graham zauważył niewiele ponad to; jego wzrok przykuwała zielona sukienka Ellie z przepaszającą miną krzątającej się między szafkami kuchennymi a lodówką.

- Zwykle nie mamy tu frykasów - mówiła - ale liczyłam przynajmniej na jakąś mrożoną pizzę albo coś.

- A więc powiadasz, że nie będzie homara? - droczył się Graham.

Przymrużyła oczy.

- Bardzo śmieszne.

- Nie przejmuj się - rzucił, podchodząc do niej, by sprawdzić zawartość domowej spiżarni. Wyciągnął prawie puste pudełko krakersów oraz puszkę tuńczyka. - Zrobimy szwedzki stół. Trochę tego, trochę tamtego.

- Przepraszam - rzekła, opierając się o zlew. - Powinniśmy byli pójść do miasteczka. Nie chce mi się wierzyć, że częstuję cię zwietrzałymi krakersami.

- Żartujesz? - powiedział, gestem pokazując pomieszczenie. - Nie każdemu dane jest jadać *Chez O'Neill*. Sły-

szalem, że to jeden z najbardziej ekskluzywnych lokali w całym Maine.

- To prawda - odparła z uśmiechem. - Przyjmujemy tu tylko największe sławy.

Przetrząsnęli lodówkę, wystawili wszystko na blat, a potem, stojąc ramię w ramię, komponowali posiłek z przypadkowej zbieraniny produktów, począwszy od popcornu z kuchenki mikrofalowej, przez plasterki jabłka, dwa kawałki pizzy, na mrożonym groszku skończywszy. To, co wyglądało mniej niż apetycznie, od razu dostało się Bajglowi, a reszta trafiła na stół kuchenny, na którym rozłożyli jedzenie jak w bufecie.

- A więc - zaczął Graham, odsuwając krzesło - wiesz już, co z tym kursem poezji?

Ellie sprawiała wrażenie zaskoczonej pytaniem, a Graham się uśmiechnął, ponieważ tak samo się poczuł, gdy ona wcześniej napomknęła o jego rysunkach, jakby wyjęła mu tę myśl prosto z głowy. Wspięła się na palce, by ściągnąć miskę z wysokiej półki, a kiedy się odwróciła, kiwnęła głową.

- Jadę w sierpniu - odparła, ale głos jej się łamał. - Jestem mocno przejęta. Będzie tam pewien profesor...

- Czyli wymyśliłaś, jak opłacić kurs? - zapytał, a Ellie zeszywniała.

Znów odwróciła się do niego plecami, wsypując do miski napoczętą torebkę chipsów meksykańskich. Graham z miejsca pożałował swojego pytania. Kiedy poruszali ten temat w e-mailach, swobodnie opowiadała mu o takich sprawach, teraz jednak coś się zmieniło i to samo pytanie zadane twarzą w twarz nie wydawało się już stosowne.

- Niezupełnie - przyznała beztroskim tonem. - Ale mam jeszcze miesiąc do namysłu.

- Ile ci brakuje? - zapytał, wprawiając tym Ellie w zakłopotanie.

- Sporo - przyznała, rumieniąc się.

Zapadło niezręczne milczenie, a Graham uzmysłowił sobie swój błąd. Z jednej strony chciał pośpieszyć jej na ratunek, sygnąć brakującą gotówką, ale pojął, że tylko pogorszyłby w ten sposób sytuację. A poruszając tak bezceremonialnie kwestię pieniędzy, przypomniał jej ponownie, kim jest: nie zwykłym chłopakiem piszącym do niej e-maile, lecz gwiazdą filmową, która siedzi u niej w kuchni. Czuł, jak ich osiągnięte z łatwością porozumienie zaczyna się kruszyć. Zmieszany odchrząknął, gdy stawiała na stole miskę z chipsami, i podjął rozpaczliwą próbę zmiany tematu.

- Wygląda dobrze - oznajmił i dostrzegł, jak Ellie się odpręża. - Nigdy dotąd nie jadłem ciasteczek z wróżbą w połączeniu z chipsami kukurydzianymi i salsą.

- Cóż - rzekła z powoli rozkwitającym uśmiechem -w *Chez O'Neill* przecieramy nowe szlaki dla fuzji kuchni chińskiej i meksykańskiej.

- Podoba mi się. Trzy gwiazdki.

- Co? - spytała, siadając naprzeciwko niego. - Tylko trzy?

- To, zdaje się, maksymalna liczba, jaką można dostać.

- Jakoś mało. Wolałabym dziesięć.

- A co powiesz na dwa kciuki w górę?

- Teraz mylisz restauracje z filmami - zauważyła, zlizując z palca masło orzechowe. - A skoro już przy tym jesteśmy, jak idzie?

- Film? Skinęła głową.

- W porządku.

- Nie jesteś szczególnie ożywiony.

- Ależ jestem - powiedział Graham, sięgając po kawałek jabłka i wkładając go do ust. - Fajna odmiana. A reżyser jest naprawdę... interesujący.

- Myślisz, że będziesz z nim jeszcze kiedyś pracował? Bo to ty wybierasz, prawda?

- Raczej tak - przyznał. - Ale jeszcze nie wymyśliłem, co będę kręcił później.

- A co byś chciał?

- Coś, co ma znaczenie.

Ellie przekrzywiła głowę, rozważając usłyszaną odpowiedź.

- Masz na myśli, co będzie miało znaczenie dla ciebie? Chłopak przytaknął.

- Mam taką nadzieję.

- Będiesz wiedział, kiedy taka propozycja się pojawi. Granie nowej postaci musi być zabawne. Widziałam zwiastun pierwszego filmu i była tam taka scena, w której...

Graham pochylił się do przodu.

- Co? - wtrącił ze śmiechem. - Widziałaś tylko zwiastun?

Ellie sięgnęła po wodę, wypła łyk, chowając się za niebieskim plastikowym kubkiem ozdobionym uśmiechniętym wielorybem.

- Nie oglądałaś żadnego mojego filmu?

- Przecież trzeci nawet jeszcze nie wszedł na ekrany - zauważyła, odstawiając kubek na stół i wybierając ciasteczko z wróżką.

- No tak, ale dwa poprzednie? Wzruszyła tylko ramionami.

- Quinn próbowała zaciągnąć mnie na ten pierwszy, ale to w zasadzie nie mój rodzaj kina.

- Myślałem, że każda nastolatka w Ameryce ma na ich punkcie hopla
- zdziwił się Graham.

Od naprawdę długiego czasu nie spotkał nikogo, kto nie oglądał tych filmów albo przynajmniej nie udawał, że je widział.

- Mówisz o sobie - poprawiła Ellie. - Każda nastolatka w Ameryce ma hopla na twoim punkcie.

Roześmiał się szczerze.

- Rozumiem, że nie jesteś wielką fanką Grahama Larkina?

- Teraz już jestem - odparła, rozłamując ciasteczko z wróżbą.

Zmarszczywszy czoło, wyciągnęła paseczek białego papieru i zachichotała.

- Jest tu napisane: „Dostaniesz ciasteczko z wróżbą”.

- Niemożliwe - obruszył się Graham, Ellie zaś podała mu karteczkę, żeby sam przeczytał. - To najlepsza możliwa wróżba.

Ellie ugryzła ciasteczko.

- W każdym razie najpewniejsza.

- Większość wróżb nigdy się nie spełnia - oznajmił Graham, kręcąc głową na widok drobniutkich literek. - Tymczasem ta od razu się ziściła. No bo czy wolałabyś wróżbę obiecującą pyszne ciasteczko, która natychmiast się materializuje, czy taką, która obiecuje milion dolarów i nie urzeczywistnia się nigdy?

- W obecnej sytuacji wybrałabym chyba milion dolarów - roześmiała się Ellie, strącając ze stołu okruszki dla psa, który w okamgnieniu znalazł się przy jej nodze. - Ciasteczko nie było wcale tak pyszne, jak reklamowano.

- Bajgiel jest odmiennego zdania.

- On wciąż wszystko jak odkurzacz - wyjaśniła, patrząc czule na zwierzaka. - Jesteś przygotowany do jutrzejszych zdjęć?

Chłopak wzruszył ramionami, ale niezbyt przekonująco.

- Założę się, że powinieneś wkuwać dialogi, zamiast włóczyć się ze mną całe popołudnie - stwierdziła, pochylając się do przodu. - Znasz je na pamięć?

- Z grubsza - bąknął, składając na pół kawałek pizzy. Bajgiel, który zajął teraz postereunek przy jego nogach, kilkakrotnie uderzył o ziemię ogonem i Graham rzucił mu mały kęs. - Przez cały dzień nosiłem tekst w kieszeni, mam więc nadzieję, że nastąpił proces osmozy.

- Z pewnością wszyscy wybitni aktorzy polegają na osmozie - zażartowała Ellie, a następnie sięgnęła przez stół po scenopis. - Mogę zobaczyć? Moglibyśmy przećwiczyć.

Graham oparł się o krzesło.

- Nie trzeba - rzekł nagle zawstydzony. Grać to jedno; grać przed dziewczyną, która ci się podoba, to zupełnie inna historia. Nie miał zamiaru wcielać się w swoją postać na oczach sympatii. - Będzie dobrze.

- Proszę - mówiła, kiwając wyciągniętą ręką. - Pośmiejemy się.

- Niech ci będzie - odparł, prostując się na krześle, by wyciągnąć z tylnej kieszeni złożoną kartkę papieru. - Ale nie gram na serio, okej? Tylko wygłaszam swoje kwestie.

- Nie zobaczę Grahama Larkina w pełnej krasie?

- przekomarzała się, biorąc od niego fragment scenopisu.

- Chyba będę musiała zajrzeć jutro na plan.

- Wobec tego musisz naprawdę dobrze pływać. Kręcimy na łodzi.

- W porządku, Ahabie - powiedziała, czytając uważnie tekst. Gdy znów podniosła wzrok, jej twarz wyglądała nieco inaczej; wyduła usta i posyłała mu spojrzenia spod rzęs. Sztucznym gestem odrzuciła włosy i dopiero po chwili Graham zorientował się, gdzie widział już te ruchy: Ellie naśladowała Olivię.

- Nieźle - pochwalił, lecz poczuł ulgę, gdy przestała udawać i jeszcze raz przyjrzała się dialogom, tym razem z bardziej swojską miną.

- Okej, zaczynamy - zakomenderowała i odchrząknęła.

- Dokąd idziesz, Jasperze? - Umilkła i spojrzała pytająco. - Masz na imię Jasper?

Graham wzruszył ramionami, Ellie czytała dalej.

- Wracaj! - zawołała z melodramatycznym zacięciem, na tyle głośno, że Bajgiel zerwał się z miejsca, brzęknął obrozą i zdziwiony przekrzywił łeb.

Graham delikatnie go poklepał.

- Znakomicie! - pochwalił Ellie. - Nie przesadziłaś ani trochę.

-Ja się nie zarzekałam, że nie będę się wczuwać - zwróciła uwagę. - Teraz twoja kwestia.

- Chcę zostać teraz sam - wyrecytował chłopak monotonię, podkreślając wyraźnie, że nie w pełni wciela się w postać. - Potrzebuję czasu do namysłu.

Ellie przechyliła głowę.

- Wiem, że nie jestem fachowcem, ale daję głowę, że mógłbyś włożyć w to więcej uczucia.

- Mamy tu samych krytyków, Bajgiel - odezwał się do psa, który zaskamlał do niego z sympatią, gdy Ellie powróciła do scenopisu.

- Nie masz pojęcia, czego teraz potrzebujesz. Nie masz pojęcia... - w tym miejscu urwała, nie odrywając oczu od kartki.

Graham absolutnie nie mógł sobie przypomnieć, co dalej. Planował przejrzeć swoje kwestie po powrocie do hotelu, tym bardziej że jutrzejsze zdjęcia rozpoczynały się dla niego dopiero w południe, miał zatem do dyspozycji cały poranek. Zdarzało mu się uczyć na pamięć całych scen w znacznie krótszym czasie.

- Powinieneś mnie teraz pocałować - powiedziała Ellie, patrząc na niego z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

Grahama ścisnęło w dołku. Patrzył na nią, nie potrafiąc sformułować odpowiedzi. Panowała cisza zakłócana jedynie tykaniem zegara nad kuchenką i cichym posa-pywaniem psa. Dziewczyna dopiero po chwili pokręciła głową. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał wesoło.

- Tak jest w scenopisie - wyjaśniła i wskazała kartkę, nie odrywając oczu od Grahama.

Skwapliwie przytaknął.

- Jasne.

- Masz mnie pocałować - powtórzyła, po czym zarumieniła się i uniosła pogniecioną kartkę. - To znaczy Olivię. A raczej... - zerknęła na papier. - Zoe. Serio? Jasper i Zoe? Kto wymyśla te imiona?

Powróciła do scenopisu, ale Graham nie słuchał. Jej słowa wciąż dźwięczały mu w uszach: *Powinieneś mnie teraz pocałować.*

Oczywiście, miała rację. Powinien był ją pocałować. Powinien był ją pocałować już wtedy, gdy zjawił się w jej domu. Powinien był ją pocałować dzisiaj na plaży.

I w miasteczku. I tamtego pierwszego wieczoru, przy werandzie.

Nagle wydało mu się, że powinien był ją pocałować już milion razy, bez pomocy scenariusza, bez jakichkolwiek wskazówek. Niemal bezwiednie oparł dłonie na stole, a potem odsunął krzesło. Zdał sobie sprawę, że się uśmiecha, dopiero wtedy, gdy Ellie odwzajemniła się tym samym.

- Myślę, że należy - oznajmił, wstając - trzymać się scenopisu.

- Tak? - odparła z jeszcze szerszym uśmiechem. Wtedy jednak snop światła omiótł okna nad zlewem,

na chwilę znikł, a następnie pojawił się znów, oślepiając Grahama. Chłopak zrobił unik, zmrużył oczy, a gdy ponownie zwrócił się ku Ellie, ona także zdążyła wstać i odsunąć się od krzesła.

- A niech to - mruknęła. - Wróciła wcześniej.

- Kto? - zapytał zbity z tropu chłopak. Jeszcze przed chwilą wszystko rozgrywało się w zwolnionym tempie, a teraz jakby ktoś ryknął „Cięcie!” i czar prysł. *Powinienem był ją pocałować*, pomyślał Graham i nagle cały wieczór skojarzył mu się z piosenką, którą wyłączył przed wybrzmieniem ostatnich taktów, pozostawiając bolesne wrażenie niekompletności.

- Moja mama - wyjaśniła Ellie, sprzątając ze stołu. - Pewnie nie spodobała się jej książka.

Na zewnątrz światła zgasły, Graham usłyszał trzaśnięcie drzwiczek. Bajgiel podbiegł truchtem do drzwi ogrodowych, a minutę później zjawiała się mama Ellie. Ściągnęła twarz na widok gościa stojącego pośrodku kuchni z rękami w kieszeniach.

Już dawno nikt nie patrzył na niego z tak jawną podejrzliwością. W swoim wcześniejszym życiu doskonale radził sobie z rodzicami, był sympatycznym chłopakiem, uroczym nastolatkiem, który potrafił zjednać sobie niemal każdego. Z kolei w tym nowym przywykł do tego, że ludzie wychodzą ze skóry, byle tylko go zadowolić. Sposób, w jaki mama Ellie mierzyła go wzrokiem, z taką szczególną nieufnością, był dla niego doświadczeniem całkowicie nowym.

Graham przestępował z nogi na nogę i starał się przywołać na twarz ujmujący uśmiech, którym jednak niczego nie wskórał.

- Wydawało mi się, że miała przyjść Quinn - zwróciła się do córki pani O'Neill, unosząc brwi i rzucając torebkę na kuchenny blat.

- Nastąpiła zmiana planów - wydukała Ellie. - Pamiętasz Grahama, prawda?

Pani O'Neill skinęła głową, lecz nie zaszczyciła chłopaka uśmiechem.

- Miło cię widzieć - przywitała się tonem, który mówił zupełnie coś innego. - Podoba ci się w Henley?

- Tak - odparł Graham, gryząc się w język, żeby nie dodać „psze pani”. - Jest tu uroczo.

Odchrząknął i wbił wzrok w podłogę. Nigdy w życiu nie użył słowa „uroczo”.

- Na jak długo tutaj zostajecie?

- Na kilka kolejnych tygodni. Żałuję, że nie na dłużej. To naprawdę urocze miejsce. - Zakasłał, twarz mu płonęła. Wydawało mu się niemożliwe, że w ciągu niespełna minuty dwukrotnie powiedział „urocze”. - Prawdę mówiąc, właśnie zaprosiłem tu rodziców na czwartego

lipca - dodał szybko, czując, że zaczyna mówić bez ładu i składu, lecz nie umie powstrzymać potoku słów. - Pomyślałem, że im też się tu spodoba.

Stojąca po przeciwnej stronie Ellie posłała mu krzepiący uśmiech.

- Fajnie - ucieszyła się. - Jak długo zabawią? Mogłybyśmy podsunąć wam kilka pomysłów na spędzenie czasu.

- Prawdopodobnie cztery, pięć dni - odpowiedział Graham, jednocześnie myśląc, że to mało prawdopodobne. Nagle tak rozpaczliwie zapragnął, by te słowa okazały się prawdą. - Lubimy z tatą wędkować, więc pewnie poświęcilibyśmy temu trochę czasu.

- Zapowiada się przyjemnie - skomentowała Ellie, zerkając na mamę.
- Cóż, robi się późno...

- Tak - przyznał Graham, ruszając ku drzwiom. - Tak, już późno. - Niezręcznie pomachał pani O'Neill na pożegnanie. - Bardzo dziękuję za gościnę. - Następnie zwrócił się do Ellie, uśmiechając się jakby z bardzo daleka, choć w tej chwili niczego nie pragnął bardziej, niż podejść blisko i dokończyć niedokończone. - Do zobaczenia - chciał powiedzieć „jutro”, ale po zastanowieniu dodał - gdzieś w miasteczku.

Skierował się w stronę korytarza, omijając po drodze psa. Gdy wyszedł na werandę, ze zdziwieniem usłyszał, że Ellie i mama zaczynają się kłócić, ich szepty dobiegały zza siatkowych drzwi, szorstkie i ochryple, a także o wiele za głośne.

Na dworze wieczorne powietrze się ochłodziło. Graham przystanął na moment, próbując zrozumieć, co się przed chwilą wydarzyło. Może pani O'Neill należała do tych matek, które nie chcą, by ich córki zadawały się

z chłopcami. A może chodziło o to, że byli z Ellie sami w domu po zmroku. Albo miała po prostu zły dzień. Bez względu na powód Graham wiedział, że najlepiej szybko się oddalić. Westchnąwszy, cicho zszedł ze stopni werandy.

Dotarł prawie na sam koniec podjazdu, gdy usłyszał trzaśnięcie siatkowych drzwi, a zaraz potem odgłos bosych stóp Ellie uderzających o chodnik. Biegła mu na spotkanie, a gdy znalazła się już blisko, pokręciła głową.

- Przepraszam - zaczęła, lecz nie zdążyła powiedzieć nic więcej, ponieważ Graham nie mógł dłużej czekać.

Pochylił się ku niej, dotknął jej ust, które delikatnie smakowały masłem orzechowym, zamknął oczy i pocałował ją, trzymając za ramiona.

Było dokładnie tak, jak sobie wyobrażał, jakby robił to po raz pierwszy, a zarazem milionowy, w pełni przytomny, ale tracąc równowagę. Z tą różnicą, że tym razem nie był sam, tym razem tracili równowagę oboje.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: poniedziałek, 10 czerwca 2013, 22:43

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: Re: jeśli się zgubisz...

Cieszę się, że się nie zgubicieś.

ROZDZIAŁ. 11

Ellie obudził zapach naleśników: znak pojednania. Już kiedy była mała, to wystarczyło do zasygnalizowania końca kłótni. Nigdy nie sprzeczały się z mamą zbyt często, kiedy jednak dochodziło do różnicy zdań, rano wszystko wracało do normy. Wedle niewypowiedzianej zasady matka i córka witały następnego dzień z czystym kontem, zapominając o wszystkim - ostrych słowach i wrogich spojrzeniach. Zamiast nich pojawiały się naleśniki w kształcie serca. Najlepszy możliwy rozejm.

Tym razem było inaczej. Mama stała przy kuchence, jak zwykle w flanelowych spodniach od piżamy, z filiżanką kawy w jednej ręce i łopatką w drugiej. Kiedy jednak Ellie wśliznęła się na swoje miejsce przy stole, mama rzuciła jej jedynie blady uśmiech i znów się odwróciła.

To na Ellie ciążyła wina za ucięcie wczorajszej sprzeczki. Zanim Graham zdążył znaleźć się za drzwiami, była rozedrgana jak kamerton, trzęsła się z gniewu wywołanego zachowaniem mamy.

- Nie masz powodu być taka nieuprzejma - wyszeptała, gdy była pewna, że chłopak jest już poza zasięgiem głosu. - On nic nie zawinił. Ja go tutaj zaprosiłam.

- Nic mi o tym nie mówiąc - zachnęła się mama, patrząc na nią surowo. - Przede wszystkim nie mam

pojęcia, co ty wyprawiasz, zadając się z obiektem westchnień nastolatek...

- M a m o - obruszyła się Ellie i poczerwieniała.

- Znasz ryzyko, a mimo to umyślnie robisz coś za moimi plecami...

- Jedliśmy tylko kolację - zapewniła, wznosząc ręce w geście irytacji.

- A zaprosiłam go tutaj dlatego, by nie nakryli nas fotografowie w miasteczku. Więc to nie jest tak, że...

- Jeśli sądzisz, że wasze spotkanie pozostanie tajemnicą, jeśli wydaje ci się, że nie dowiedzą się o tym wszyscy w ciągu mniej więcej dwóch sekund, to masz bardziej nie po kolei w głowie, niż myślałam. - Mama przyłożyła dwa palce do skroni, jakby okropnie rozboleła ją głowa, a potem westchnęła. - Czy ty w ogóle znasz tego chłopaka, Ellie?

- Tak - odparła cicho, lecz żarliwie. - Znam go. Znam. Mama pokręciła głową, jak gdyby nie dosłyszała.

- To gwiazda kina, na litość boską. Mieszka w Kalifornii. Zniknie stąd już za kilka tygodni. Jak możesz się łudzić, że warto się angażować?

Ellie stała bez ruchu, a słowa mamy po prostu po niej spływały. Z kuchni jakby uszło całe powietrze i nawet Bajgiel zastygł w bezruchu. Pytanie wcale nie należało do trudnych; mama zwyczajnie nie rozumiała, że relacja z Grahamem nie jest zwykłą letnią przygodą, nie jest przelotnym romansem. Powody, dla których warto było się angażować, nie miały nic wspólnego z powodami, dla których tak wiele dziewczyn ślęczało nad jego zdjęciami w kolorowych pismach.

Sprawa była dużo prostsza. Liczyło się to, że Graham z radością zjadł u niej w domu nieświeże chipsy meksykańskie. I że naszkicował dla niej całe miasto, kiedy go popro-

siła. Liczył się sposób, w jaki potrafił żartować, oraz to, co kryło się w jego oczach, gdy spotykały się ich spojrzenia. Ważne były setki e-maili, które do niej wysłał, słowa, którymi wymieniali się przez tyle miesięcy niczym cenną walutą.

Liczyło się to, że już teraz znał ją lepiej niż ktokolwiek inny, a przecież od czasu ich osobistego poznania upłynął zaledwie jeden dzień. Skoro tak, to można sobie tylko wyobrazić, co mogłyby przynieść kolejne spotkania.

Mama nie spuszczała z niej wzroku, czekając na odpowiedź, lecz Ellie ją zignorowała. Obróciła się na pięcie i skierowała do drzwi.

- Ellie! - zawołała mama, tonem wcale nie gniewnym, a po prostu znużonym i zakłopotanym.

Zresztą i tak nie miało to większego znaczenia, ponieważ Ellie już się rozpędziła, wypadła przez drzwi i biegła podjazdem tam, gdzie plecy białej koszuli Grahama wciąż świeciły w otaczającym mroku.

Jego pocałunek był odpowiedzią na pytanie, czy warto się angażować.

Żadna inna wiedza nie była jej potrzebna.

- Przepraszam - powtórzyła szeptem, gdy się od siebie oderwali.

Wciąż trzymał dłonie na jej ramionach, zaciskał je tak, jakby nie chciał nigdy puścić.

- Nie ma sprawy - zapewnił, zerkając na oświetlone okna kuchni. - Ale powinienem chyba...

Ellie skinęła głową. Wtedy pochylił się i jeszcze raz ją pocałował. Wyobrażała sobie, że tysiące dziewczyn marzą o pocałunku z Grahamem Larkinem, wizualizując sobie tę chwilę, ale stanie z nim w mroku na ścieżce nie było jak scena z filmu. Było lepsze.

- Znajdź mnie jutro, dobrze? - poprosił na odchodnym.
- Powodzenia na planie - rzuciła, a kiedy się uśmiechnął, jej serce zabiło mocniej.

Później, kiedy ze skruszoną miną weszła do domu, kierując kroki do kuchni, okazało się, że mama poszła już na piętro. Tak więc kłótnia zawisała w powietrzu, niedokończona aż do następnego rana, kiedy zostały zmuszone do podjęcia tematu przy zwykle spokojnym naleśnikowym śniadaniu.

- Posłuchaj - zaczęła mama, podsuwając Ellie talerz i siadając obok niej na krześle. Pochyliła się, z końskiego ogona wypadł kosmyk kasztanowych włosów. - Może jestem niesprawiedliwa, wydając sądy bez znajomości całej historii.

Ellie sięgnęła po butelkę syropu.

- Wysyłaliśmy do siebie e-maile - tłumaczyła, nie podnosząc wzroku.
- Od miesięcy.

- Jak to? To znaczy, skąd...

- Zaszła pomyłka - wyjaśniła. - Błąd w adresie. Pisał do kogoś innego, ale wiadomość trafiła do mnie i zaczęliśmy mailować. Nie wiedziałam, że to on. To znaczy Graham Larkin. Myślałam, że jakiś zwykły chłopak.

- Cóż, to pocieszające - stwierdziła mama. - Wykład o bezpieczeństwie w sieci zostawimy sobie chyba na inny dzień...

- Mamo - jęknęła Ellie. Maggie O'Neill podniosła rękę.

- Chcę tylko zaznaczyć, że grasuje tam mnóstwo szaleńców...

- Mamo - powtórzyła. - Nie o to chodzi.

- No dobrze, dobrze. Więc o co?

Córka spojrzała wymownie.

- O to, że... - urwała, biorąc głęboki oddech. - Chodzi o to, że cieszę się, iż nie wiedziałam, kim on jest, rozumiesz? W przeciwnym razie nigdy bym go nie poznała. Nie tak naprawdę. Nie tak, jak znam go teraz.

Mama pokiwała głową. - I go lubisz.

- Tak - przyznała Ellie mocnym nagle głosem. - Bardzo.

Na patelni zaczęła przypalać się druga partia naleśników. Pani O'Neill wstała od stołu, a po przewróceniu placków długo stała przy kuchence, odwrócona do córki plecami, z głową zwróconą w stronę okna nad zlewem.

- Nie wiem, co powiedzieć - odezwała się wreszcie do Ellie. - Nie chcę, żeby cię skrzywdzono.

- On nie...

- Ellie, opamiętaj się - westchnęła ciężko, a coś w jej twarzy kazało córce się pohamować. Dziewczyna uświadomiła sobie naraz, że nie rozmawiają tylko o Grahamie. Rozmawiają także o jej ojcu. - Wiesz, że to się może popsuć na milion różnych sposobów - ciągnęła matka z napięciem w głosie. - Nie tylko z powodu tego, kim on jest, i nie tylko dlatego, że niedługo wyjedzie. - Zaciśnęła usta, dobierając słowa. - Widziałas, jak depczą mu po piętach.

- Nie możesz zabronić mi umawiać się z kimś tylko dlatego, że często go fotografują. Zdajesz sobie w ogóle sprawę, jak to dziwacznie brzmi?

- To wszystko już i tak jest czystym szaleństwem - stwierdziła mama, zsuwając z płyty dwa ostatnie naleśniki i przekładając je na talerz. - Tego rodzaju rzeczy - dokończyła, potrząsając głową - nie kończą się pomyślnie.

- Chcesz powiedzieć, że nie skończyły się dobrze dla ciebie - wyartykułowała swoje myśli Ellie, marszcząc czoło. - To nie to samo. On nie jest jakimś podejrzanym senatorem. A ja nie jestem jakąś...

- No? Kim? - przerwała mama, patrząc na nią ze spokojem. - Pospolitą kelnerką?

- Wcale tego nie powiedziałam. - Ellie pokręciła głową. - Wiesz, że nie to miałam na myśli.

- Twój ojciec... - zaczęła pani O'Neill, po czym urwała i spojrzała w dal. - To było skomplikowane.

- Dobrze. Ale tu jest inaczej. Graham jest inny.

- Nie w tym rzecz - skwitowała słowa Ellie mama, spoglądając na talerz. Żadna z nich nie tknęła jedzenia, naleśniki stygły na stole. - On jest celebrytą, kimś, kto znajduje się w centrum zainteresowania mediów. Nie daj się wciągnąć w ten świat.

- Ale jakie ma to znaczenie? - dociekała Ellie. - Przecież to, co wydarzyło się pomiędzy wami, między tobą a moim ojcem, nie jest żadną tajemnicą. Zostało już dawno ujawnione. Nie rozumiem, dlaczego robisz takie wielkie halo z tego, że ludzie się dowiedzą. Nie pojmuję, dlaczego wciąż musimy się ukrywać.

- Nie ukrywamy się - zaprzeczyła mama, nadziewając na widelec kawałek naleśnika. - Żyjemy jak normalni ludzie. To nie to samo.

- Ale nie chcesz moich zdjęć w gazetach.

- Chodzi o coś więcej - próbowała wyjaśnić z westchnieniem. - Nie chcę, żeby dziennikarze wzięli cię pod lupę. Zdjęcie byłoby tylko początkiem. To do ciebie dociera, prawda? Wystarczy jedna twoja fotografia z Grahamem Larkinem, żeby paparazzi nie odstępowali cię na

krok. A wtedy ludzie zaczną grzebać w poszukiwaniu informacji. W dodatku uważają, że mają prawo dzielić się wszystkim, co znajdują. Byłaś za mała, żeby zapamiętać, jak to wyglądało. - Pokręciła głowę z lekkim grymasem. - To, co robią, jest okropne. Nie znają żadnych granic.

Ellie odgryzła kęs i wolno żuła, roztrząsając słowa matki.

- Jeśli to jedyny powód, to przecież byłaby to wyłącznie moja decyzja? I moje ryzyko?

- To nie takie proste - usłyszała w odpowiedzi. - Dotyczy także mnie. I twojego ojca.

Ellie prychnęła.

- Teraz próbujemy chronić także j e g o ? - spytała, rozsiadając się na krześle i krzyżując ramiona. - Nigdy nie zrobił dla nas choćby jednej głupiej rzeczy, nigdy nie starał się nas odnaleźć...

- Wiesz, że go o to prosiłam.

- ...a ty wciąż się o niego martwisz? Jeśli wystartuje w wyborach prezydenckich, prawdopodobnie i tak do nas trafią. Więc co za różnica?

- Może trafią. A może nie. To się stało trzy kampanie temu. Cały czas wybuchają nowe skandale. Wywloką wszystko, bo robią tak zawsze, co niekoniecznie znaczy, że będą nas szukać.

- Powiedziałaś przed chwilą, że nie znają żadnych granic.

- W polityce nic się nie zmieniło. Ale jeśli chodzi o plotki na temat znanych osobistości? Rozdmuchują każdy drobiazg. Wszystko, co dotyczy tego chłopaka, zostaje nagłośnione. - Mama przesuwiała po talerzu ostatni naleśnik. - Nie rozumiesz? Nasze życie jest tutaj. Ciężko

na nie zapracowałam. A jak raz coś wyjdzie na jaw, nie da się już tego cofnąć.

- Ale ja naprawdę go lubię - wyznała cicho Ellie.

- Wiem - powiedziała mama, kładąc rękę na jej dłoni. - Nawet pomijając kwestię twojego ojca, nie chciałabyś takiego życia. Zaufaj mi. Nikt nie lubi budzić się rano i widzieć za oknem paparazzi obozujących na trawniku przed domem. Jestem pewna, że Graham Larkin powiedziałby ci to samo.

W drodze do pracy Ellie zastanawiała się, czy to prawda. Gdy zagadnęła Grahama o popularność, nie miał ochoty o tym mówić, choć kiedy obstąpili go fotografowie w miasteczku, sprawiał wrażenie dziwnie zrezygnowanego, traktował ich z nie większą niechęcią niż natrętnego bezpańskiego psa, który nie chce się odczepić. Widziała mnóstwo jego zdjęć w magazynach kupowanych przez Quinn: jak wychodzi z siłowni albo usiłuje zjeść spokojną kolację w restauracji, i nie wydawało się jej możliwe, by ktokolwiek w pełni potrafił do tego przywyknąć.

Gdy mijała przyczepy filmowców, zauważyła, że tłum jest mniej liczny niż zazwyczaj, i przypomniała sobie, jak Graham wspomniał, że tego dnia kręcą na wodzie. Ale i tak dostrzegła z boku jakiegoś fotografa palącego papierosa, przyspieszyła zatem kroku, wciąż wytrącona z równowagi poranną rozmową z matką. Cieszyła się, że pierwsza zmiana przypadła w Sprinkles; nawet jeśli Quinn nadal się na nią gniewa, lepiej być w lodziarni, niż utknąć z mamą na cały dzień w ciasnej przestrzeni i zastanawiać się, jak rozwiązać sprawę z Grahamem.

Otworzywszy drzwi cukierni, była zaskoczona widokiem kędzierzawej głowy Devona, która wyskoczyła zza lady.

- Hej - przywitała się, podeszła bliżej i rzuciła torbę. - Gdzie Quinn?
Umknął spojrzeniem.

- Prosiła, żebym ją zastąpił.

- Jak to? Dobrze się czuje?

Devon przytaknął, ale nadal na nią nie patrzył.

- Unika mnie?

Po chwili podniósł wzrok.

- Nie wydaje mi się. Miała po prostu coś do zrobienia.

Ellie pokiwała głową. Znała Devona już jako czteroletniego brzdąca. Był miły do przesady i do bólu uczciwy. Jeśli w tej chwili kłamał, to tylko by oszczędzić jej przykrości. Z westchnieniem sięgnęła po metalowy pojemnik, do którego odkładali brudne łyżki do lodów, i zaniósła go do zlewu na zapleczu, tam bowiem mogła pobyć sama.

Większość poranka upłynęła im w milczeniu. Gdy nie było klientów, Devon siedział na stołku barowym i czytał sfatygowany egzemplarz *Wielkiego Gatsby'ego*, Ellie zaś walczyła z przemożną chęcią zasypania go pytaniami.

Gdy jej zmiana dobiegła końca, zaczęła zbierać swoje rzeczy, a Devon na chwilę odłożył książkę.

- Niesamowita historia z tym chłopakiem z filmu. Twarz Ellie się rozjaśniła.

-No.

- Pozdrowić od ciebie Quinn?

- Byłoby super. Dzięki.

Kiwnął głową i wrócił do lektury. Już przy drzwiach Ellie przystanąła i odwróciła się w jego stronę.

- Hej, Devon! - zaczęła, a chłopak oderwał wzrok od książki. Okulary zsunęły mu się na nosie. - Niesamowita historia z tobą i Quinn.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Dzięki.

Na dworze wznagał się wiatr i Ellie mrugała powiekami, by usunąć z oczu drobinki kurzu i piasku, które fruwały w powietrzu. Zobaczyła dobijającą do przystani nieznajomą łódź z dwoma mężczyznami w ciemnych wiatrówkach, którzy wychylali się na dziobie za burtę, i jeszcze zanim dostrzegła Grahama i Olivię, domyśliła się, że to tutaj kręca film. Ktoś zgasił silnik, gdy łódź zbliżyła się do boi wyznaczających granice portu. Zwolniła, kilka mew zataczało nad nią leniwe kręgi.

Ellie była na tyle daleko, że nie mogła dostrzec twarzy, widziała jednak Olivię stojącą bardzo blisko Grahama, który wpatrywał się w kilwater. Zastanawiała się, czy powinna być zazdrosna. Zdała sobie sprawę, że większość dziewczyn prawdopodobnie by była. Z zasłyszanych informacji na temat Olivii wynikało, że chłopak musiałby chyba cierpieć na schizofrenię, by interesować się jednocześnie obiema. A po wczorajszym pocałunku była pewna, że tak nie jest. Graham interesuje się wyłącznie nią, Ellie O'Neill.

I właśnie to pchnęło ją w dół wzgórza: wspomnienie tamtego pocałunku. Powinna być już w sklepie mamy, właśnie rozpoczynała się jej zmiana i czekało ją sporo pracy. Jednak gdy łódź podpłynęła bliżej nabrzeża, Ellie mimowolnie ruszyła w stronę wody, jakby przyciągana jakąś magnetyczną siłą.

Nadal nie wiedziała, jak postąpi. W głębi serca rozumiała, że mama ma rację. I nie tylko w kwestii czyhających

fotografów. Te same myśli tłukły się jej po głowie, niczym pozostawione zbyt długo w suszarce ubrania. Graham jest znaną i popularną postacią. Jego życie zbyt mocno różni się od tego, które prowadzi Ellie. Wkrótce wyjedzie. Zrani ją.

W tym jednak momencie wszystko to nie miało znaczenia.

Pragnęła jedynie znaleźć się bliżej chłopaka z Kalifornii.

Zanim dotarła do sklepu wędkarskiego przycupniętego na skraju portu, łódź dobiła do nabrzeża i można było przeczytać wymalowany na rufie napis: „Na Ryby”. Graham wysiadł na szare deski pomostu. Był ubrany w garnitur i krawat, które wydały się Ellie dość osobliwą koncepcją stroju żeglarskiego, póki nie przypomniała sobie, że scena rozgrywa się tuż po pogrzebie ojca granej przez niego postaci, gdy Jasper ucieka z kościoła, by samotnie odpłynąć, lecz w ślad za nim podąża Zoe.

Podmuch wiatru prześliznął się po wodzie. Olivia przytrzymała jedną ręką dół sukienki, ktoś schwycił ją za drugą i pomógł wsiąść. Gdy stanęła bezpiecznie na stałym gruncie, ruszyli z Grahamem długim pomostem, otoczeni z obu stron przez reżysera oraz kilku asystentów ze słuchawkami, podkładkami do pisania i ponurymi minami. Dwaj członkowie ekipy zostali, by zabezpieczyć sprzęt; Graham wspominał wczoraj, że skończą dopiero późnym popołudniem, Ellie przypuszczała jednak, że musieli przerwać zdjęcia z powodu pogody.

Wzdłuż portowego muru zebrał się tłum, okrzyki osiągnęły poziom hysterii, gdy obie gwiazdy podeszły bliżej. Kilku barczystych ochroniarzy patrolowało brzegi, ale ich obecność nie powstrzymywała turystów przed nagrywaniem wszystkiego telefonami, a nastoletnich fa-

nek przed wychyleniem się za barierki i wodzeniem za Grahamem oczami pełnymi zachwytu. Olivia szepnęła mu coś do ucha, po czym zatrzymała się, by rozdać kilka autografów, a wtedy reszta paparazzi wychynęła jak spod ziemi, cisnąc się wokół niej, by uwiecznić tę chwilę swoimi ciężkimi aparatami.

Ellie przystanęła obok kapitanatu portu w bezpiecznej odległości od tłumu, Graham zaś rozglądał się dokoła, zmierzając w stronę swojej przyczepy. Szybko napotkał spojrzenie dziewczyny, tak szybko, jakby wiedział, że ją tam zastanie. Uśmiechnęła się odruchowo, zanim jednak zdążyła cokolwiek zrobić - potrząsnąć głową albo dać mu jakiś znak - zmienił kierunek marszu, idąc prosto do niej i chyba nie zauważając, że uwaga wszystkich zwraca się w tę samą stronę.

Pod Ellie ugięły się kolana, nogi zaczęły się trząść i w krótkiej chwili paniki zastygła w miejscu, nie bardzo wiedząc, co począć. Graham zupełnie na nic nie zważał, był coraz bliżej, machał do niej i coraz szerzej się uśmiechał. Fotografowie porzucili rozdającą autografy Olivię i śledzili Grahama, celując weń obiektywy aparatów. Ellie przemknęły przez głowę słowa mamy: *Jak raz coś wyjdzie na jaw, nie da się już tego cofnąć*. Zaczęła odchodzić w kierunku plaży.

Me mogę, powiedziała w duchu z nadzieją, że on zrozumie.

Oczywiście nie zrozumiał. Dostrzegła jego wzrok w przelocie, to jednak wystarczyło, by zauważyć konsternację na jego twarzy. Ukłuło ją poczucie winy. Ale było już za późno. Już umykała na skróty w stronę plaży, obok sklepu wędkarskiego. I niczym najlepsza z czarodziejek zniknęła, pozostawiając za sobą cyrk i zgiełk.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: wtorek, 11 czerwca 2013, 12:18

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: prognoza pogody

E,

wróciliśmy wcześniej z powodu wiatru. Zakładam, że i Ciebie poniosł w dal. Dziś pracujemy do późna, ale postaram się wpaść potem na chwilę... G

ROZDZIAŁ 12

Przez całe popołudnie Grahama prześladowało coś w rodzaju lekkiej paniki, uniemożliwiając koncentrację. Podczas oczekiwania na poprawę pogody udawał, że wczytuje się w scenopis, lecz jego myśli błądziły gdzie indziej. Na zewnątrz wiatr uderzał w ściany przyczepy, a Graham przecierał oczy i zmuszał się do skupienia uwagi na tekście.

Pogoda zmieniła się po dwóch godzinach, na powrót wszystko ucichło, ekipa w pośpiechu wyruszała na wodę, starając się nadrobić stracony czas i złapać ostatnie godziny dobrego światła. Graham wyczuwał ogólne zniecierpliwienie, gdy dukał swoje kwestie, potykał się na słowach, ustawiał w niewłaściwym miejscu przed kamerą, szarpał ze sprzętem, mimo że specjalista wykrzykiwał wskazówki z offu. Ocean był lekko wzburzony i choć wiatr osłabł, charakteryzatory wciąż toczyli skazaną na porażkę batalię, usiłując utrzymać w ryzach koński ogon Olivii.

Graham stał przy dziobie na szeroko rozstawionych nogach, podczas gdy Mick naradzał się z dwoma operatorami, czy odpuścić zdjęcia kolejny raz, czy kontynuować i zobaczyć, co z tego wyjdzie. „Na ryby” kołysała się na niebieskoszarych falach, pokład przechylał się z boku na

bok. Jeśli w trakcie tych narad brano także pod uwagę jego grę aktorską, Graham był niemal pewien, że zdecydują się zawracać na brzeg. Scena wymagała naturalnego wzruszenia i trudnych wyznań miłosnych. Pełnych udręki spojrzeń i zdławionego głosu, tymczasem Graham po prostu nie był w stanie wykrzesać z siebie w tej chwili takich uczuć. Nie dzisiaj. Nie dla Olivii. Nie po widoku uciekającej przed nim Ellie.

Po wczorajszym wieczorze wciąż powinien mieć motyle w brzuchu. Kiedy ją pocałował, poczuł się tak, jakby za potarciem zapalki o draszkę rozblysnął w nim mocny płomień, rozświetlając tę jego cząstkę, która tylko na to czekała, z czego wcześniej zupełnie nie zdawał sobie sprawy.

Ale rano dostrzegł wyraz twarzy Ellie, gdy stała po drugiej stronie drogi przy porcie i zaraz potem się odwróciła. Wtedy zeszło z niego całe powietrze. Nie mógł jej winić. Po pierwsze, nie powinien do niej machać. Gdy tylko to zrobił, poczuł za plecami natychmiastowe poruszenie. Każdy na miejscu Ellie w obliczu tłumu postąpiłby tak samo. Pomimo odległości potrafił jasno odczytać jej minę, jakby mówiła do niego na głos. Zdołała powiedzieć „przepraszam”, nie otwierając ust.

A potem znikła.

Prawdopodobnie ogarnęła ją chwilowa panika. Graham pomyślał, że pewnie zareagował przesadnie. A jednak nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że dziewczyna uciekała nie tylko przed gapiami i obiektywami aparatów.

Słońce zaszło już za spiczastą wieżę kościoła, gdy po raz drugi zawinęli do portu, ale dzień zdjęciowy wcale się nie zakończył. Tego wieczoru mieli w planie nakręcenie jeszcze jednej sceny przed którymś z lokalnych barów.

Przechodząc przez drogę do swojej przyczepy, Graham widział, jak ekipa ustawia ogromne reflektory, małą oazę sztucznego zmierzchu na pogrążającej się w ciemnościach ulicy.

Asystent wołał go z drugiej strony planu, ale ponieważ Graham był tam potrzebny dopiero za dwadzieścia minut, spuścił głowę i nie zatrzymując się, wyjął z kieszeni telefon. Przewinął e-maile od agenta, menedżera oraz dziewczyny poznannej na siłowni przed wyjazdem z LA. Ani słowa od Ellie. Dając susa na schodki przyczepy, wybrał numer i nasłuchiwał odgłosu dzwonka. Układał już sobie w głowie wiadomość, jaką zostawi, jeśli ona nie odbierze - coś swobodnego i optymistycznego, by ukryć narastający niepokój spowodowany brakiem odpowiedzi na jego e-mail. Kiedy jednak otworzył drzwi, stanął jak wryty na widok Harry'ego, który siedział w środku przy stoliku. Opuścił więc telefon, szukając palcami przycisku, by go wyłączyć.

- Kto to był? - zapytał Harry, odsuwając na bok stertę papierów.

Graham milczał. Sięgnął do małej lodówki po butelkę wody i usiadł naprzeciwko swego menedżera.

Harry się uśmiechnął, lecz za tym uśmiechem czaiło się ostrzeżenie.

- Rudowłosa?

Graham odchylił do tyłu głowę i wypił łyk wody, utkwivszy wzrok w suficie. Później otarł usta wierzchem dłoni i powiedział głosem, który zabrzmiał trochę obco, jak nie jego:

- Jaka rudowłosa?

- Nie udawaj - odparł Harry. - Wszyscy widzieli, jak się za nią uganiałeś.

- Ja nie...

- Musisz uważać z miejscowymi dziewczynami. - Menedżer rozparł się na krześle i podrapał w tył głowy. - Myślisz, że nie widziałem wcześniej takich historii? Wyjeżdżasz z LA i nagle tysiąc dziewczyn piszczy z zachwytu na twój widok...

- To nie tak.

- Z pewnością - przytaknął Harry, choć wcale nie wydawał się przekonany. - Rzecz w tym, że to nie jest odpowiedni czas na latanie za spódniczkami.

Graham prychnął.

- A kiedy jest właściwy czas na takie rzeczy?

- Mówię poważnie. Znajdujesz się w decydującym momencie kariery i twój wizerunek jest bardzo ważny. Nie chcę, żebyś umawiał się co wieczór z inną dziewczyną. - Wyciągnął brukowca spod sterty papierów leżących przed nim na stole i podsunął gazetę. - Tylko z jedną.

Graham przyjrzał się gazecie z rezerwą, zaskoczony widokiem błyszczącej fotografii z wczorajszej pracy na planie. Zrobiono ją w momencie, gdy porywał Olivię w ramiona i całował: ich dwoje jeszcze w ruchu, zamknięte oczy, splecione ramiona, chwila, którą z łatwością można by uznać za coś więcej niż popis gry aktorskiej, gdyby wyjąć ją z kontekstu. Podpis pod spodem brzmiał: „Chemia na ekranie czy prawdziwy romans?”.

- Dobra robota - skomentował zdjęcie Graham, wypuszczając z rąk gazetę.

Harry aż pokraśniał z zadowolenia.

- To dlatego płacisz mi grubą kasę, pamiętasz? Choć ogromnie ułatwiłbyś mi życie, gdybyś przestał ganiać za tą rudą panną i któregoś wieczoru zaprosił na kolację Olivię.

- Coś mi się zdaje, że twoim zadaniem jest ułatwianie życia m n i e -
wytknął Graham Harry'emu, wstając od stołu. Sięgnął po butelkę po
wodzie, by wrzucić ją do przepelnionego kubła na śmieci obok
lodówki, a następnie cisnął tam na dokładkę kolorowe pismo. - Poza
tym, wyobraź sobie, że ona ma imię.

- Jakie?

Ale Graham był już za drzwiami.

Plan zdjęciowy na ulicy budził się do życia. Po rozczarującym
dniu na morzu wyczuwało się teraz podskórną energię, członkowie
ekipy poruszali się z konkretnym zamysłem, ożywieni perspektywą
nowego początku, nowej sceny.

Ściemniło się już niemal całkowicie, jedynie nad wodą unosiła się
błada smuga różu. Przecznicę dalej potężne reflektory zalewały
światłem chodnik przed barem, w którym z oczu Jaspiera spada
zasłona. Graham wiedział, że powinien skupić się na czekającej go
scenie. Przystanął, żeby jeszcze raz wyjąć z kieszeni telefon i
sprawdzić, czy nie przyszło nic od Ellie. Ku swemu zaskoczeniu
znalazł wiadomość od mamy.

Wzywała go już do siebie garderobiana. Ale Graham nie zrobił kroku
w jej stronę. Przystanął, osłonił dłonią świecący się ekran telefonu i
czytał. Wzrok ślizgał się po tekście: ciąg wymówek, lista
wcześniejszych planów na świąteczny weekend, lęk przed podróżą
lotniczą i zaniepokojenie kosztami przelotu, sugestie, że i tak nie będą
pasować do jego „przyjaciół z filmu”, przeprosiny i obietnice
wynagrodzenia mu odmowy po powrocie do Kalifornii.

Mimo to potrzebował chwili, by w pełni dotarł do niego sens tej
wiadomości.

Rodzice nie przyjadą do Henley.

Powinien był się tego spodziewać. Nie miał powodów przypuszczać, że ich odpowiedź będzie brzmiała inaczej. Dopiero kiedy odłożył telefon, zdał sobie sprawę, że - wbrew wszelkiej logice - liczył jednak na tę wizytę.

Tuż przed jego nosem wyrosła asystentka kostiumowa i głośno odchrząknęła. Podniósł wzrok, nieco oszołomiony. Była niska, miała zaokrąglone ramiona i co najmniej dziesięć lat więcej niż Graham, a mimo to wciąż patrzyła na niego z pewnego rodzaju respektem, jak gdyby wyświadczał jej wielką przysługę, dostrzegając jej obecność.

- Czekają na ciebie.

Skinął głową i wepchnął telefon do kieszeni z wystudiowaną obojętną miną.

Nawet później, gdy był już w kostiumie, miał ułożone na żel włosy i kiedy uznano, że jest gotowy stanąć przed kamerą, przybrał podobny wyraz twarzy, niewyrażający absolutnie żadnych uczuć, przygotowany na wejście w skórę zupełnie innej osoby: Jaspera z jego problemami, Jaspera z jego przemyśleniami, Jaspera z jego skomplikowanymi uczuciami dla Zoe.

Jednak w środku kryła się też cała reszta: Graham i jego problemy, Graham i jego przemyślenia, Graham i jego złożone uczucia dla Ellie. Oraz wiele więcej: niechęć do spotkań z Olivią, irytacja na Harry'ego, rozczarowanie rodzicami, zniecierpliwienie i chęć odbębnienia całej tej cholernej sceny, żeby pójść poszukać Ellie, tego jedyne pewnego antidotum na wszystko, co kłębiło mu się w głowie.

Zdjęcia skończyli wcześniej. Tym razem nie z powodu pogody ani braku światła i zdecydowanie nie dlatego, że

Graham nie potrafił wyczarować odpowiedniej kombinacji uczuć. Prawdę mówiąc, gdy tylko ogłoszono koniec pracy, gdy armia ludzi wyłoniła się jakby znikąd i zaczęła demontować plan, podszedł do niego Mick i poklepał go po ramieniu.

- To było naprawdę intensywne, głębokie. Sądysz, że uda się nam powtórzyć jutro coś podobnego?

Śmiech Grahama zabrzmiał szorstko.

- Zobaczę, co da się zrobić.

W rzeczywistości myślał zupełnie co innego. Pragnął czegoś przeciwnego. Pragnął spokoju. Pragnął Ellie.

W drodze do jej domu zadarł wysoko głowę, by wpatrywać się w morze gwiazd, które zgasły w rześmistym świetle lamp łukowych oświetlających wcześniej plan filmowy. Teraz aż się od nich roilo na granatowym niebie, a Grahamowi przypomniało się pudełko z ich domowej piwnicy, w którym ojciec przechowywał zabytkowy teleskop. Drewno było misternie rzeźbione w małe słońca oraz księżycy i Graham jako dziecko niczego nie pragnął bardziej, niż przytaszczyć go na górę i wycelować w okno, uwięzić gwiazdy między tymi zaokrąglonymi soczewkami. Tymczasem oglądał go jedynie raz do roku, gdy tato przykrywał obrusem jadalniany stół i wyjmował teleskop z pudełka tak ostrożnie, jakby przenosił chorego człowieka.

- Nie moglibyśmy go wypróbować? - pytał Graham za każdym razem, pochylając się niziutko i obserwując, jak ojciec poleruje drewno i czyści soczewki tą samą aksamitną szmatką.

- Jest zbyt cenny - odpowiadał niezmiennie tato. - Lepiej, żeby nic mu się nie stało.

No i właśnie to się stało: nic. Wedle wiedzy Grahama teleskop wciąż spoczywał w zasnutej pajęczynami piwnicy, a to, co zawsze wydawało mu się praktyczne, teraz uznał za jedno wielkie marnotrawstwo.

Gdy dotarł do wzgórza, które opadało w stronę podjazdu Ellie, przyspieszył kroku niemal do biegu. W kuchni paliło się światło. Znalazłszy się przy schodach werandy, zwolnił i głęboko odetchnął. Podniósł rękę, chcąc zapukać do drzwi, ale nie mógł się na to zdobyć.

Przechadzał się tam i z powrotem po werandzie, nie bardzo rozumiejąc, co się z nim dzieje. Nagle jakby coś go sparaliżowało. Stał przy dzwonku, a po chwili odwrócił się i opadł na drewnianą huśtawkę, wsparłszy łokcie na kolanach i ukrywając w dłoniach twarz. Co się dzieje? Nigdy nie był tak nieśmiały, gdy chodziło o dziewczynę, nawet w życiu sprzed kariery.

Siedział na werandzie - przygarbiony i nieszczęśliwy, wciąż nie mogąc zmusić się do zapukania - gdy wtem usłyszał w środku kroki. Żołądek podjechał mu do gardła. Drzwi się otworzyły, ale wyszła z nich pani O'Neill. Uniosła brwi, nie mówiąc ani słowa, a Graham zerwał się z huśtawki.

- Przepraszam, że niepokoję - rzekł. - Właśnie miałem zapukać.

Kącik jej ust drgnął, przypominając początek uśmiechu, identyczną minę widział wcześniej u córki.

- Tak mi się właśnie wydawało jakieś dziesięć minut temu - powiedziała. - Pomyślałam, że pomogę w uruchomieniu tego procesu. Odchrząknął.

- Czy Ellie jest w domu?

- Tak - odparła. - Ale już późno.

Graham wiedział, że to dla niego sygnał do odejścia, i poczuł przypływ irytacji. Wyprostował ramiona, nie dając się tak łatwo zbyć. Nie miał zamiaru odchodzić. Jeszcze nie teraz.

- Mogę się z nią spotkać choć na chwilę?

- Raczej nie - odparła kobieta, on zaś ze zdziwieniem dostrzegł, jak jej twarz przecina wyraz szczerzego współczucia.

Dopiero po chwili zrozumiał, co oznacza, dopiero wtedy poczuł w pełni siłę tego ciosu godzącego prosto w serce.

To nie pani O'Neill stała mu na przeszkodzie. To nie ona mówiła „nie”.

To Ellie.

Uświadomienie sobie tego faktu wprawilo go w milczące osłupienie, był całkowicie niezdolny do zadania następnego logicznego pytania: *Dlaczego? Co się stało?*. Albo najgorszego ze wszystkich: *Gdzie popełniłem błąd?*. Zamiast pytać, wbił wzrok w nierówne deski werandy.

- Ten wieczór nie należy do szczególnie udanych - skostatowała pani O'Neill, kładąc chłopakowi dłoń na ramieniu.

Kolejne pytanie przyszło łatwo, choć podejrzewał, że odpowiedź i w tym wypadku będzie niesatysfakcjonująca.

- A jutro?

Zawahała się, otworzyła i zamknęła usta. Po chwili leciutko potrząsnęła głową.

- Dobranoc, Grahamie - powiedziała i weszła do środka, zostawiając go samego na werandzie.

Gdzieś z wnętrza domu Bajgiel szczerknął, słysząc otwieranie drzwi. Graham zszedł ze schodów i spojrział na piętro. Światło paliło się tylko w jednym oknie, w trój-

kątnym fragmencie widocznej przestrzeni dostrzegł biblioteczkę. Pozwolił sobie na chwilę marzeń - Ellie zwinęta na łóżku, pies u jej boku - i na to wyobrażenie coś w nim pękło.

Czytywał scenariusze. Wiedział, jak historia powinna się rozwinąć. Chłopak poznaje dziewczynę. Dziewczynie podoba się chłopak. Chłopak całuje dziewczynę. A później? Możliwości jest bez liku. Ale jedna rzecz, jaka nie powinna się wydarzyć, właśnie się stała: samotne wystawanie po niewłaściwej stronie drzwi bez absolutnie żadnego pojęcia, o co naprawdę chodzi.

Wcześniej myślał, że to początek czegoś ważnego. Ale najwyraźniej Ellie zmieniła zdanie, Grahama zaś oszołomiło tempo, w jakim wszystko się rozegrało, owo nadejście końca, zanim początek miał szansę na dobre się rozpocząć. Jego biedne teleskopowe serce - ta krucha, cenna rzecz - prawdopodobnie miałoby się lepiej, gdyby nie wyjmowano go z pudełka.

CZESC 2

Zachowane szkice

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: czwartek, 13 czerwca 2013, 23:27

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: (brak tematu)

Drogi Grahamie,
naprawdę bardzo przepraszam.

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: niedziela, 16 czerwca 2013, 15:02

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: (brak tematu)

Drogi Grahamie,

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: niedziela, 16 czerwca 2013, 15:05

Do: thisisquinn@gmail.com

Temat: (brak tematu)

Quinn,
bardzo przepraszam. Chciałabym móc wszystko wyjaśnić.

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: wtorek, 18 czerwca 2013, 17:15

Do: GDL824@yahoo.com **Temat:** (brak tematu)

G -

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: środa, 19 czerwca 2013, 08:07

Do: thisisquinn@gmail.com **Temat:** (brak tematu)

Q - proszę, możemy pogadać?

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: czwartek, 20 czerwca 2013, 21:29

Do: cbodine@harvard.edu

Temat: (brak tematu)

Szanowna Pani Bodine,
chciałabym Panią powiadomić, że nie będę mogła uczestniczyć w sierpniowym kursie poezji. Niestety, nie posiadam niezbędnych funduszy, aby

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: czwartek, 20 czerwca 2013, 21:38

Do: paul_whitman@whitman.senate.gov

Temat: (brak tematu)

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: piątek, 21 czerwca 2013,19:18

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: (brak tematu)

Hej, Grahamie

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: niedziela, 23 czerwca 2013,10:10

Do: cbodine@harvard.edu

Temat: (brak tematu)

Szanowna Pani Bodine,

jest mi szalenie przykro, że mimo wszystko nie będę mogła przyjechać na kurs poezji na Uniwersytecie Harvarda. Niestety, moje plany uległy zmianie i w tym czasie będę z rodzicami na wakacjach.

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: poniedziałek, 24 czerwca 2013,16:51

Do: thisisquinn@gmail.com

Temat: (brak tematu)

Quinn,

to jakieś wariactwo. Naprawdę musimy pogadać.

Możemy się spotkać?

Pozdrawiam,

Ellie

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: środa, 26 czerwca 2013, 22:34

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: (brak tematu)

Drogi Grahamie,
mam nadzieję, że zdjęcia idą dobrze...

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: czwartek, 27 czerwca 2013, 15:40

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: (brak tematu)

Cześć.

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: piątek, 28 czerwca 2013, 23:11

Do: GDL824@yahoo.com **Temat:** (brak tematu)

Czołem.

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: niedziela, 30 czerwca 2013, 07:31

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: (brak tematu)

Dzień dobry.

Od: EONeill22@hotmail.com

Zachowane: poniedziałek, 1 lipca 2013, 08:24

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: (brak tematu)

Tęsknię za tobą.

ROZDZIAŁ 13

Unikanie kogoś w takim miasteczku jak Henley to rzecz prawie niemożliwa. Jest tylko tyle a tyle miejsc, w których się bywa, tyle a tyle skrzyżowań, świateł i restauracji. Oraz drzew o pniach wystarczająco szerokich, by można się za nimi schować.

Więc po prawie trzech tygodniach skutecznego ukrywania się przed Grahamem Ellie była z siebie naprawdę dumna. Widziała go tylko dwa razy z daleka i zawsze otaczała go na tyle liczna świta - paparazzi, ekipa filmowa oraz wielbiciele - by działać jak sygnał ostrzegawczy.

Z kolei Quinn wszędzie było pełno. Choć nie oznacza to bynajmniej, że przyjaciółki ze sobą rozmawiały. Bo nie rozmawiały. Prawdę mówiąc, od kilku tygodni niemal nie zamieniły ze sobą słowa.

- Co u Quinn? - pytała całkowicie nieświadoma sytuacji mama za każdym razem, gdy Ellie wracała po swojej zmianie w Sprinkles. Nie pozostawało jej wtedy nic innego, jak przyklejać uśmiech na twarz.

- Świetnie - mówiła, ukrywając prawdziwą odpowiedź, która była zbyt przygnębiająca, by ją głośno wyartykułować: *Nie mam zielonego pojęcia.*

To, co między nimi zaszło, nie było wyłącznie jej winą, i gdyby Quinn nie upierała się jak osioł, już dawno

wszystko rozeszłoby się po kościach. Z drugiej strony niesnaski zainicjowała Ellie, a teraz rozpaczliwie pragnęła znaleźć sposób na przeprosiny. Pisała e-maile, których nie miała siły wysłać, przygotowywała mowy, których nie była w stanie wygłosić.

Quinn zaczęła przyprowadzać do pracy Devona, który służył jako rodzaj tarczy chroniącej ją przed rozmową z Ellie. Siadali oboje po jednej stronie kontuaru, gawędząc i żartując, podczas gdy ona stała niezręcznie na drugim końcu, najdalej jak to możliwe w tak ograniczonej przestrzeni. Od czasu do czasu Quinn prosiła przyjaciółkę o podanie filiżanki albo łyżeczki, używając uprzejmego, lecz lodowatego tonu, jaki przyjmuje się w rozmowie z zupełnie obcą osobą, na której temat słyszało się same okropieństwa - i na tym koniec. Nawet w najbardziej upalne dni, kiedy słońce paliło z dokuczliwą intensywnością, ani razu nie zainteresowała się, czy Ellie użyła kremu z filtrem.

Mniej więcej tydzień temu, gdy zaczęła się zastanawiać, czy faktycznie stała się niewidzialna, usłyszała przypadkiem, jak para rozmawia o imprezie na plaży.

- Wielkie plany na wieczór? - zagadnęła, ale odpowiedziała jej tylko przydługa cisza. Gdy stało się jasne, że Quinn nie ma zamiaru się odezwać, Devon odchrząknął.

- Zwykły grill - poinformował. - Nic szczególnego.

- Co oznacza, że sławy wstępu nie mają - dodała Quinn, nie podnosząc wzroku.

Ellie z trudem przełknęła ślinę. Quinn nie mogła wiedzieć, co zaszło między przyjaciółką a Grahamem. Jakże łatwo byłoby w tym momencie wszystko wypaplać, pa-

trzeć, jak prawda dociera do Quinn i odzwierciedla się na jej twarzy: najpierw pod postacią poczucia winy, że odtrąciła Ellie w tak trudnej chwili, potem żalu, że nie była przy niej w potrzebie, a wreszcie współczucia, że bliska jej osoba tak cierpi.

Jednak Ellie nie szukała litości. Szukała przyjaciółki.

Poza tym takie zwierzenia wiązałyby się z koniecznością odpowiedzenia na najtrudniejsze z pytań - dlaczego zostawiła Grahama? - co doprowadziłoby je z powrotem do punktu wyjścia: sekretu, którego zdradzić nie mogła.

- Na której plaży? - zainteresowała się Ellie, a Quinn po raz pierwszy rzuciła jej znaczące spojrzenie.

- Tajemnica - odparła ostentacyjnie.

Wtedy Ellie uznała, że nie warto dalej próbować. Postanowiła ignorować Quinn tak samo, jak przyjaciółka ignorowała ją, wznosząc niewidzialny mur o wiele grubszy, niż gdyby budowała go tylko jedna ze stron.

Sytuacja z Grahamem wyglądała jeszcze gorzej. Pogodzenie się z Quinn będzie wymagało czasu, Ellie wiedziała jednak, że w końcu nastąpi. Poróżniły się nie po raz pierwszy i nie ostatni.

Tymczasem w wypadku Grahama Ellie podejrzewała, że zepsuła coś, czego być może już nie da się naprawić. Tamtego wieczoru, gdy pojawił się na progu jej domu, siedziała skulona na szczycie schodów, nasłuchując głosów płynących od drzwi i żałując, że nie ma odwagi zejść na dół i poprosić mamę, aby go wpuściła, powiedzieć, że nic innego się nie liczy: ani przeszłość, ani ich tajemnice, a zwłaszcza jej ojciec.

Ale podjęła decyzję. Uciekła przed Grahamem tamtego dnia w porcie i teraz pozostawała jej jedynie rozpacz-

liwa zabawa w szpiega, czajenie się w miasteczku i przemykanie chyłkiem, dokładanie wszelkich starań, by już więcej nie natknąć się na chłopaka.

Ellie nie miała bowiem pewności, czy zdoła odejść od niego kolejny raz.

Stała jak co dzień w drzwiach „Radosnych Myśli”, rozglądając się na lewo i prawo, zanim wyściubiła nos na zewnątrz. Ledwo trzy tygodnie temu zebrały z mamą dość pieniędzy, by szarpnąć się na naprawę klimatyzacji w domu, a teraz w tym najbardziej upalnym dniu lata wysiadła z kolei klimatyzacja w sklepie, zacharowała i stanęła, wydając ostatni jęk. Po poranku spędzonym na wachlowaniu się oraz łomotaniu na przemian w ten zardzewiały i niesprawny kawałek metalu, mama w końcu wysłała Ellie po mrożoną herbatę.

Na trawniku w centrum miasteczka ktoś ustawił zraszacz, kilkoro dzieci w rozciągniętych kostiumach kąpielowych chlapało się wodą. Niemal wszyscy siedzieli tego dnia w budynkach, czekając, aż zelżeje upał, od którego aż drgało powietrze. Pomimo to Ellie lustrowała teren z nerwowością przestępcy, idąc przez trawnik i rzucając ukradkowe spojrzenia na sklepy po drugiej stronie.

Jedynie delikatesy w mieście zastąpiły rok temu prawdziwą instytucję Henley, mały sklep wielobranżowy o nazwie „U Marva”, który znajdował się tam od zawsze, jak sięgnąć pamięcią. Szanując tradycję, nazwano je „Bar Kanapkowy - dawniej sklep U Marva”, a przydługą nazwę nieuchronnie skracano do „U Marva”. Natychmiast po otwarciu drzwi Ellie odetchnęła z ulgą, czując chłodne powietrze, które od razu zdjęło z niej ciężką pelerynę

upału. Miała rozpalone policzki, koszulka wciąż kleiła się do ciała, ale z miejsca poczuła się lepiej. Jakby weszła do lodówki.

Przy kontuarze stała kolejka, więc Ellie pozostała przy drzwiach, uszczęśliwiona, że może spokojnie poczekać pod zimnym nawiewem. Na małym stoliku przy oknie leżała świeża prasa, wzięła do ręki lokalny dziennik i zaczęła kartkować go dla zabicia czasu.

- Co dla ciebie, mała? - zapytała Meg, właścicielka, która przeszła na drugi koniec lady z notesem i ołówkiem w ręku.

- Nie trzeba - odparła Ellie, machając gazetą. W delikatesach obowiązywała niepisana zasada, że najpierw obsługuje się miejscowych, lecz ona nie spieszyła się z powrotem do „Radosnych Myśli”, gdzie tego dnia było gorąco jak w piecu. - Zaczekam.

Meg wzruszyła ramionami.

- Jesteś zgrzana - powiedziała. - Może przynajmniej podam ci lemoniadę albo herbatę mrożoną czy jakiś inny napój?

- Prawdę mówiąc, właśnie po to przyszłam - przyznała Ellie. - Poproszę o dwie mrożone herbaty.

Meg zasalutowała, a następnie łokciami utorowała sobie drogę na zaplecze, Ellie zaś powróciła do przeglądania gazety. Wzięła na chybił trafił dział nieruchomości i prześlizgiwała się wzrokiem po artykule o tym, jak znikająca linia brzegowa na jednej z wysp barierowych wpływa na ceny okazałych rezydencji, gdy wtem dostrzegła znajome nazwisko w wąskiej kolumnie na dole strony.

„Przygotowując się do jakże potrzebnego wypoczynku w najbliższy świąteczny weekend, senator

Paul T. Whitman opowiedział reporterom o swoich planach odłożenia pracy na kilka dni.

Będziemy świętować urodziny Ameryki, powiedział. Nie potrafię wyobrazić sobie lepszego powodu do urwania się z pracy i relaksu w gronie rodziny.

Mający nadzieję na ubieganie się o fotel prezydenta senator spędzi cztery dni w malowniczym Kennebunkport w stanie Maine, miasteczku, które zasłynęło jako miejsce letniej rezydencji byłego prezydenta George'a H.W. Busha.

Czy zatem Whitman, doświadczony senator z Delaware, próbuje iść w ślady nestora Busha?

Zobaczmy, odpowiada ze śmiechem. Ale w ten weekend żadnej polityki. Planuję zabrać synów na łódkę, łowić ryby i odpoczywać".

Elle odłożyła gazetę i zamrugła nerwowo.

Kennebunkport znajdowało się niespełna godzinę drogi od Henley i właśnie ów fakt - ta bliskość miejsca - przyprawiła ją o drżenie rąk. Wiedziała, że on zawsze gdzieś tam jest - jej ojciec - ale miała mniej więcej taką samą świadomość jego istnienia jak odległej planety, w ciągłym ruchu, nieustannie orbitującej wokół ciebie, lecz nigdy nieprzybliżającej się na tyle, by cokolwiek to zmieniało. Przez całe życie słyszała o ojcu w wiadomościach, śledziła jego przemówienia i kampanie wyborcze, rodzinne wakacje, bankiety i imprezy charytatywne, ale nigdy nie była lepiej poinformowana o jego poczynaniach niż każdy inny obywatel kraju.

Ojciec był w pewnym sensie całkowitym przeciwieństwem Grahama. Człowiekiem, którego wedle wszelkiej

logiki powinna znać lepiej niż kogokolwiek innego. Człowiekiem, który powinien być dla niej kimś ważnym, a nie tylko nazwiskiem w gazecie. Nie istniały natomiast żadne ziemskie powody, dla których miałyby poznać Grahama Larkina lepiej niż te dziesiątki ludzi sterczących codziennie pod planem zdjęciowym w nadziei zdobycia jego autografu.

W tym momencie zabrzączał dzwonek nad drzwiami, a gdy Ellie obejrzała się za siebie, zaparło jej dech w piersi. Chłopak jakby wyłonił się prosto z jej myśli, zmaterializował po drugiej stronie szyby w wypłowiałej niebieskiej koszulce, pasującej do koloru oczu, przesłoniętych teraz ciemnymi okularami.

Widok Grahama tak ją zaskoczył, że odruchowo się cofnęła. Już po dwóch krokach udało się jej wpaść na wystawione gumy i cukierki. Cały stojak zachwiał się i po koszmarnej, trwającej wieki chwili runął na podłogę, paczki słodczy ciężko lądowały na płytkach, jedno z opakowań się rozerwało, a bladozielone miętówki potoczyły się na wszystkie strony jak uciekające szklane kulki.

Wszyscy klienci stojący bliżej wejścia odwrócili głowy i patrzyli na tę katastrofę. Graham otworzył drzwi na całą szerokość, zsuwając okulary na czubek nosa i lustrując bałagan. Ellie zastygła w bezruchu i stała tak nawet wtedy, gdy Meg rzuciła się zza lady z miotłą w rękę. „Nie przejmuj się, nie przejmuj się”, powtarzała, a słowa rozbrzmiewały głośno w nagle ucichłym sklepie. „I tak miałam zamiar przesunąć ten stojak w inne miejsce”.

Przecisnęła się obok Grahama, najwyraźniej zupełnie go nie rozpoznając, i zaczęła zmiatać rozsypane cukierki. Ellie stała bezradnie pośrodku kolorowej teraz podłogi. Była boleśnie świadoma swojego brudnego

podkoszulka, włosów zebranych w bezładny kucyk, faktu, że cały poranek oblewała się potem w kącie sklepu, okupowanym przez gigantycznego pluszowego homara. Uświadomiła sobie, że wciąż kurczowo ściska w ręku gazetę i zwinęła ją w rulon, niezdolna wykrztusić z siebie ani słowa. Jedyne, do czego była zdolna, to bezmyślne wpatrywanie się w podłogę.

Graham puścił drzwi i bez słowa kucnął obok Meg, zgarniając oburącz miętówki na kupki, podczas gdy reszta klientów tylko się przyglądała, najwyraźniej równie oniemiała jak Ellie. Dziewczyna patrzyła na jego szerokie plecy, te same, które widziała przed sobą tamtego dnia na plaży, serce tłukło się jej w piersi. Pomimo tego, że stała pod zimnym nawiewem, zrobiło się jej nagle gorąco, piekły ją oczy, mrowiła twarz. Zastanawiała się, czy to nie objaw udaru cieplnego.

- Katastrofa opanowana - ogłosił Graham, prostując się, a Meg zmierzała z miotłą na zaplecze.

Pozostali klienci jakby zaczęli przypominać sobie, po co tu przyszli, odwracali się do lady i zamawiali kanapki. Ellie odetchnęła z ulgą, ponieważ nienaturalna cisza, która zapadła w sklepie, gdzieś się rozplynęła, ustępując miejsca pobrzękiwaniu sztućców oraz śmiechom.

- Dzięki - powiedziała cicho, niezdolna do oderwania wzroku od podłogi, choć sama czuła na sobie palące spojrzenie Grahama.

Odchrząknął, nasunął okulary na czoło, a gdy podniósł brwi, blizna w kształcie księżycy powyżej lewego oka także poszybowała w górę. Ellie poczuła, że serce skacze jej do gardła, jakby pociągał je ten sam wąty sznurek. Chciała coś powiedzieć, lecz język skołowaciał, a nim

zdażyła podjąć próbę, drzwi otworzyły się ponownie i przy wtórze zbiorowych szeptów do środka wkroczyła Olivia, młodzieńcza i nieznośnie świeża.

- Przepraszam - rzekła, podchodząc prosto do Grahama. Trzymała w dłoni telefon, błyskając wysadzonym brylancikami etui. - Mój agent. - Zmarszczyła nos, jej wzrok padł na samotną zieloną miętówkę, która przywarła chłopakowi do kolana. - To ty tu kucależ?!

- Mieliśmy drobną awarię - wyjaśnił, strzepując cukierek. - Gruntowne porządki w alejce numer cztery.

Olivia rozejrzała się dokoła z roztargnieniem.

- Nie mają tu nikogo do takiej roboty?

- Owszem, mają - odezwała się Meg, znalazłszy się nagle tuż obok nich z oszronionym kubkiem mrożonej herbaty w każdym ręku. - Dla was dwojga kanapka, stolik czy jedno i drugie?

- Chyba jedno i drugie - odpowiedziała Olivia niezbyt przekonanym głosem, taksując wzrokiem ciasną przestrzeń do siedzenia, w której całe rodziny turystów pałaszowały lunch z wiklinowych koszyków.

Ellie wsadziła gazetę pod pachę, unikając badawczego spojrzenia Grahama, i odebrała z rąk Meg dwa kubki.

- Bardzo dziękuję - powiedziała do niej. - Muszę wracać.

- Miło było cię zobaczyć! - zawołał Graham, a Ellie skinęła głową.

Kiedy otwierała drzwi, usłyszała pytanie Olivii: „Znasz ją?”.

Nie czekała na odpowiedź.

Po wyjściu na zewnątrz zmusiła się do szybkiego marszu przez trawnik, choć nogi miała jak z waty. Drzwi ich

sklepu były otwarte na oścież, podparte starą klatką do połowu homarów, i pomimo tego, że powitała ją ściana gorącego powietrza, ciężkiego i dusznego, Ellie zalała falą ulgi, że jest już z powrotem.

Mama pochylała się nad ladą, podparta na jednym łokciu, i ocierała czoło bandanką. Na widok Ellie wyprostowała się.

- Wyglądasz, jakbyś przebiegła maraton.

- Bo tak z grubsza się czuję - wyznała Ellie, stawiając na kontuarze ociekające wodą kubki.

Nie zdawała sobie sprawy, że trzęsą się jej ręce. Gdy starała się opanować drżenie, wypadła jej spod pachy gazeta. Schowała ją za jednym z kubków z zabawkami ustawionych u jej stóp, by móc później ją zabrać.

- Wszystko w porządku? - zapytała mama, a Ellie skinęła głową.

- Tak - odparła, choć nie była to do końca prawda. Oszło mi ją zajście w delikatesach. Wstrząsnął nią artykuł o ojcu. Była zmęczona uciekaniem przed Grahamem. Przygnębiona. Miała złamane serce. Mogła powiedzieć o sobie wszystko, tylko nie to, że dobrze się czuje.

- Świetnie - skwitowała mama. - Bo pomyślałam sobie, że mogłybyśmy skończyć aranżację witryny.

Ellie westchnęła ze znużeniem. Mama miała męczący zwyczaj zmieniania co kilka tygodni dekoracji w dwóch oknach wystawowych.

- Dzisiaj? - zapytała, choć w gruncie rzeczy chciała powiedzieć: *W ten upał?*

Ale mama i tak już zdecydowała.

- Dzień równie dobry jak każdy inny - odparła. - Myślę, że tę szachownicę z muszli ustawimy z jednej strony,

może rozsypiemy dookoła trochę muszelek, a w drugim oknie mogłybyśmy poustawiać kilka twoich ramek.

- Dobrze - zgodziła się Ellie, podchodząc do witryn, by uprzątnąć piłki plażowe, które leżały tam od zakończenia roku szkolnego.

- Ja to zrobię - powiedziała mama. - Mogłabyś włożyć do nowych ramek jakieś wiersze? Kilku nam brakuje.

Ellie sięgnęła po tomik poezji, który nosiła upchnięty w torbie. W zeszłym tygodniu sprzedały dwie ramki z utworami Elizabeth Bishop i mama była pewna, że to właśnie dzięki tym wierszom. Klientka spędziła na czytaniu niemal piętnaście minut, nim zdecydowała, które kupić.

Sadowiąc się na stołku za ladą, Ellie wybierała między Audenem a Yeatsem. W chwili, gdy otworzyła książkę, spomiędzy stronic wysunęła się luźna kartka i dziewczyna stwierdziła ze zdumieniem, że trzyma w ręku rysunek Grahama.

Wodziła wzrokiem po liniach szkicu technicznego o precyzyjnie wykreślonych kątach i prostych jak strzała bokach. Jakby znalazła się we śnie. Czuła, jak gubi się pośród tych kresek, prostota kartki była siatką asekuracyjną chroniącą przed wspomnieniem dnia, w którym powstał rysunek.

Przesunęła kciukiem po maleńkiej dziurce, gdzie ołówek przebił papier, gdy zniecka przerwała pracę autorowi. Pod rysunkiem dostrzegła niewyraźnie odbite słowa, odwróciła kartkę, przyjrzała się menu i nagle jakby powróciła z Grahamem do tamtej cukierni, w której powietrze wypełniał słodki aromat czekolady.

Siedziała tak przez dłuższy czas, trzymając rysunek za brzegi, swobodnie błędząc myślami. A potem wsta-

ła, poszła z nim na tył sklepu, wybrała jedną z nowych ramek - czarną, solidną - i zdjęła tylną ściankę. Wsuwając do środka szkic, uważała, żeby ukryć podpis na dole, nierówną szarą linię, która zdradzała tożsamość autora. Kiedy pokazała ramkę, mama zmarszczyła czoło.

- To nie jest wiersz - stwierdziła, lecz Ellie nie słuchała. Położyła różowy kartonik z napisem „Rysunek nie na sprzedaż”, a następnie wyeksponowała ramkę, ustawiając ją wraz z innymi w taki sposób, by była skierowana na południe, w stronę morza i nabrzeża. W stronę Grahama.

- Właśnie, że jest - oświadczyła.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: środa, 3 lipca 2013, 11:44

Do: EONeill222@hotmail.com

Temat: (brak tematu)

Hej, Evan,

zanosi się na to, że w najbliższy weekend będę już w domu. Trudno w to uwierzyć, ale kręcimy zgodnie z harmonogramem i jestem prawie gotów do wyjazdu. Gdybyś nakarmił Wilbura w sobotę mniej więcej w porze lunchu, powinien wytrzymać do mojego przyjazdu wieczorem. Jeszcze raz dziękuję, stary. Uściskaj ode mnie świnkę. GL

ROZDZIAŁ 14

Graham zrozumiał swój błąd w chwili, gdy ujrzał Ellie w delikatesach.

Nie zapomniał o niej. Ale się poddał.

Siedząc przy stole naprzeciwko Olivii, doznał przebłysku pewności, rozpaczliwej, uderzającej jak obuchem świadomości, że postąpił niewłaściwie. Powinien bardziej się postarać. Powinien zjawiać się pod jej domem co wieczór, codziennie do niej dzwonić, co godzina wysyłać e-maile. Nie powinien akceptować odmowy.

Nie powinien dawać za wygraną.

A teraz było już za późno.

Nawet na niego nie spojrziała. Ani razu.

Olivia mrużyła oczy, odcyfrowując menu wypisane na tablicy za ladą delikatesów.

- Jak można nie serwować żadnych sałatek - powiedziała kapryśnym tonem, który udawało się jej porzucić tylko wtedy, gdy wcielała się w rolę.

- Na pewno dla ciebie mogą wrzucić do miski kilka liści sałaty - odparł Graham w roztargnieniu, ona zaś popatrzyła na niego w taki sposób, jakby proponował jej jedzenie prosto z podłogi.

Od niemal trzech tygodni wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby znów natknął się na Ellie. Jednak

żaden z tych scenariuszy nie uwzględniał towarzystwa Olivii.

- Przepraszam - powiedziała, przywołując ruchem ręki kobietę, która pomagała zmieść rozsypane słodycze.

- Czy dałoby się zamówić sałatkę z rukoli? Macie gruszki? Albo kozi ser? - Odwróciła się do Grahama z wystudiowanym uśmiechem. - Mam wielką ochotę na kozi ser.

Było wyraźnie widać, że kobieta stara się nie roześmiać.

- Podajemy tylko to, co w menu - wskazała na tablicę oferującą takie produkty jak pieczona wołowina, indyk, szynka. - Zamówienia przyjmujemy przy ladzie.

Graham wstał z miejsca.

- Ja zamówię.

- W takim razie chyba wezmę kanapkę z indykiem

- zdecydowała Olivia, wyjmując z westchnieniem telefon. - Bez chleba.

- To ci dopiero kanapka - mruknęła kobieta, okrążając stół i wracając za ladę.

Kilka osób próbowało przepuścić Grahama w kolejce, ale uprzejmie odmówił. Wyrzwał przez okno, skąd widział sklep pani O'Neill po drugiej stronie trawnika, następnie przeniósł wzrok na stół, przy którym Olivia wachlowała się wypielęgnowaną dłonią.

Harry nie ustawał w wysiłkach, aby przekonać Grahama, że umawianie się z młodą aktorką byłoby drugą z kolei najlepszą rzeczą, jaką mógłby zrobić dla swojej kariery. Pierwszą było wybranie następnego projektu z długiej listy scenariuszy, które leżały rozłożone na stoliku w hotelowym pokoju, jedno streszczenie gorsze od poprzedniego, filmy o istotach pozaziemskich, robotach i wampirach. Była też

musicalowa wersja starego serialu komediowego, w której Graham miałby wystąpić w roli brata bliźniaka, oraz swojska komedia o dwóch kumplach, licealistach, przez jedną noc udających, że studiują w college'u.

- Wiem, wiem - mawiał Harry za każdym razem, gdy Graham odrzucał kolejny scenariusz. - Ale musimy się na coś zdecydować.

Chłopak także zdawał sobie z tego sprawę, chciał jednak dokonać przemyślanego wyboru.

Przez ostatnie dwa tygodnie poświęcił się pracy, do każdej sceny podchodził ze zdwojoną energią, bezbłędnie odgrywał rolę, recytował wszystkie kwestie. Nocami zasypiał na niewygodnym hotelowym łóżku z pokreślonym scenariuszem na piersi, rano powtarzał sobie w myślach dialogi, biorąc prysznic i myjąc zęby.

Nie miał wiele więcej do roboty. Bez Ellie miasteczko zaczęło wydawać się małe, nużyło go jedzenie każdego lunchu w przyczepie i każdej kolacji w pokoju hotelowym. Harry go męczył, Mick chciał rozmawiać wyłącznie o pracy. Od czasu do czasu Graham grał w karty z innymi członkami ekipy, ale większość z nich była od niego starsza, zwykle spędzał zatem czas we własnym towarzystwie. Niewiele rzeczy bardziej kojarzy się z samotnością niż mrugający ekran telewizora w pokoju hotelowym i postawiony na nieposłanym łóżku talerz z niedojedzonym posiłkiem przyniesionym przez obsługę.

Gdy poprzedniego wieczoru włączył telewizor, ze zdumieniem odkrył, że puszczają *Zabić drozda*. Ostatni raz widział ten film w dzieciństwie, siedział z rodzicami na kanapie i zajadali we troje prażoną kukurydzę. Gdy oglądał go teraz ponownie, był urzeczony klasycznością

tego kina. Niech wszyscy jego rówieśnicy fascynują się filmami tanecznymi, sprośnymi komediami i kinem akcji. Graham uświadomił sobie, że chciałby grać w podobnym obrazie. W czymś, co ma znaczenie.

W drodze powrotnej na plan Olivia dotrzymywała mu kroku. Graham wiedział, że dziewczyna ma już zaklepane dwa kolejne filmy: disnejowską produkcję o współczesnej księżniczce oraz komedię o dwóch współlokatorach z akademika. I choć z jednej strony sceptycznie traktował jej wybór, to z drugiej - pod pewnym względem także zazdrościł. Dokładnie wiedziała, czego chce, i dokładnie określiła, dokąd zmierza. Nie mógł tego powiedzieć o sobie.

- Co robisz czwartego? - zagadnęła, poprawiając okulary przeciwsłoneczne, gdy zbliżali się do umocowanych na wózkach kamer, przygotowanych do podążania za nimi ulicą w zaplanowanych na przedpołudnie scenach.

Obsada i ekipa podniosły bunt, gdy Mick zasugerował pracę w święto. Zostały jeszcze tylko trzy dni zdjęciowe - dla Grahama nawet mniej, kończył bowiem swoje sceny drugiego dnia przed południem - i reżyser chciał przeforsować swój plan i wracać do studia w LA. Ale po miesiącu niemal codziennej pracy każdy bardzo potrzebował przerwy, zatem reżyser w końcu się ugiął. Mieli dostać wolne w Dniu Niepodległości, nim powrócą dokończyć zdjęcia, i wszyscy z tej okazji snuli jakieś plany. Graham przypadkiem usłyszał, jak część ekipy umawiała się na wynajęcie łodzi i popłynięcie na zakrapianą imprezę, inni zamierzali wziąć udział w obchodach święta w miasteczku.

- Zastanawiam się nad jednodniowym wypadem na Manhattan - oznajmiła, nie czekając na odpowiedź. - Powoli zapominam, co to cywilizacja.

- Fajnie - rzucił Graham, a ona spojrzała na niego z boku.
- Wybrałbyś się ze mną? Zrobił zdziwioną minę.
- Do Nowego Jorku?
- Na Manhattan - sprostowała, jakby to były dwa zupełnie różne miejsca. - Musisz przyznać, że miło by było się stąd wyrwać.

Był zaskoczony, że ten pomysł wcale nie wydał mu się taki całkiem niepociągający, zwłaszcza po tak wielu samotnych dniach. Zastanawiał się, czy Olivia mówi poważnie. Szukał na jej twarzy potwierdzenia, starał się ocenić, czy było to autentyczne zaproszenie i czy ona ma szczerą nadzieję na jego towarzystwo. Czy to możliwe, że mimo wszystko go lubi i nie dba wyłącznie o rozgłos?

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, uśmiechnęła się.

- Jasne, że to nie to samo co LA, ale jestem pewna, że nie pozostalibyśmy tak zupełnie niezauważeni - powiedziała, zwalniając kroku przed swoją przyczepą. - Nie masz jeszcze planów, prawda?

Graham pomyślał o weekendzie czwartego lipca, tak jak go sobie wyobrażał: parada, fajerwerki, zimne ognie oraz szansa na spędzenie czasu z rodzicami. Nie odpowiedział na wiadomość od mamy i nie miał żadnych wieści od rodziców aż do zeszłego tygodnia, kiedy mama do niego zadzwoniła. Przez dziesięć minut rozmawiali o pogodzie w Kalifornii oraz o tym, co czyta na spotkaniach klubu książki. Kiedy zapytała o film, Graham skierował rozmowę na inne tory, jak czynił za każdym razem, gdy rodzice poruszali ten temat, nie-

znośnie świadom, że interesują się jego pracą jedynie z uprzejmości. Gdy natomiast mama wspomniała o grillu u sąsiadów z okazji lipcowego święta, Graham całkiem umilkł.

- Skarbie? - odezwała się słabym głosem po drugiej strony linii.
- Zapowiada się fajnie - odparł zdawkowo, a ona westchnęła.
- Przepraszam, że nie przyjedziemy - rzekła po chwili. - Wiesz, jak twój ojciec reaguje na podróże i...

- Nic się nie stało, mamo.
- Co zamierzasz robić?
- Okazuje się, że i tak będę pracował - skłamał, wiedząc, że prawdopodobnie będzie robił to samo, co każdego innego dnia: będzie chodził na długie spacery po miasteczku, patrzył na łodzie rybackie wpływające do portu, oglądał filmy i szkicował rysunki oraz zasypywał pytaniami o Wilbura znajomego, który opiekował się świnką już tyle razy, że Graham zaczął otrzymywać w odpowiedzi tylko sarkastyczne newsy („Świnka na wolności" albo „Świnka opuściła budynek").

Kiedy przyjechał do Henley, na początku był tak podekscytowany wyrwaniem się z LA, że nie potrafił sobie wyobrazić, by cztery tygodnie miały mu wystarczyć. Teraz jednak zrozumiał, że wszelkie obietnice, jakie niosło ze sobą to miejsce, były całkowicie i nierozdzielnie związane z Ellie i gdy zabrakło jej w tym równaniu, nagle poczuł się gotów do powrotu do domu.

Zostało im jeszcze tylko kilka dni. A Graham uznał, że nie zdzierży kolejnego posiłku z Harrym w swojej przyczepie.

- Nie mogę - zwrócił się do Olivii, która wciąż czekała na odpowiedź w sprawie Nowego Jorku. - A jakie masz plany na lunch?

Kiedy jedli - czy raczej kiedy jadł Graham, bo Olivia jedynie dłubała widelcem w porcji indyka z sałatą - starał się z całych sił podtrzymać rozmowę, lecz nie należało to do łatwych zadań. Olivia bez przerwy się rozglądała, jakby byli w jakimś klubie w Hollywood i w każdej chwili w drzwiach mógł pojawić się ktoś fantastyczny. Próbował zadawać jej istotne, jak sądził, pytania - gdzie się wychowywała i jakich ma rodziców, w przeciwieństwie do banałów, o których powszechnie rozmawiano w ich środowisku: jaki jest jej najnowszy projekt i jak trafiła do przemysłu filmowego - przeszkadzali mu jednak siedzący wokół ludzie, stoliki ściśnięte zbyt blisko siebie, by prowadzić swobodną rozmowę o czymś istotnym. Poza tym Olivia była tylko połowicznie obecna, dzieląc czas między Grahama i swój telefon.

Szczerze mówiąc, on także czuł się roztrzęsiony po spotkaniu z Ellie i nie mógł skupić się na rozmowie.

Po wyjściu z delikatesów rozdali kilka autografów, Graham zostawił w słoju napiwek. Na zewnątrz dopadli ich wreszcie fotografowie ze swymi aparatami. Chłopak jak zwykle włożył ciemne okulary, spuścił głowę i zaczął iść szybkim krokiem w stronę planu. Tymczasem Olivia wzięła go pod ramię, zmuszając do zwolnienia tempa, on zaś zdał sobie sprawę, że sprawia jej to przyjemność. Zastanawiał się, czy dziewczyna jedynie wykorzystuje fakt, że są razem, czy rzeczywiście nie przeszkadza jej zainteresowanie paparazzi. Szedł powoli z zaciśniętymi zębami tak długo, jak był w stanie wytrzymać, a wreszcie szepnął:

- Musimy wracać.

- Przecież nie mogą rozpocząć zdjęć bez nas - mruknęła pod nosem. - To korzyść płynąca z bycia gwiazdą.

- Jesteście teraz parą? - rzucił nagle jeden z fotografów i puścił oko.

W odpowiedzi Olivia zmarszczyła czoło i posłała enigmatyczny uśmiech.

Krótką drogą dłużyła się w nieskończoność. Gdy zbliżali się do końca ulicy, Graham doznał zaskakującej ulgi na widok Harry'ego i oswobodził ramię. Menedżer promieniał, widząc ich razem.

- No, chodźcie - powiedział, zaganiając oboje za metalowe barierki oddzielające plan od reszty ulicy i pozostawiając w tyle trzaskające spusty migawek.

Pod przyczepami odwrócił się bardzo zadowolony.

- Udany lunch?

- Wprost wyborny - odparła Olivia sarkastycznie.

- Mnie wydał się smaczny - rzekł Graham, nie bardzo wiedząc, dlaczego broni delikatesów.

- Nie wątpię - powiedziała, po czym zwróciła się do Harry'ego. - Zanim tam weszłam, niemal jadł z podłogi.

- Ktoś przewrócił stojak z cukierkami - wyjaśnił Graham. - Po prostu pomagałem sprzątać.

- Pewnie nie zawadziło, że jest atrakcyjna - rzuciła nonszalancko aktorka i po chwili się roześmiała. - Nie wiedziałam, że masz słabość do rudzielców.

Graham zacisnął usta, a gdy zerknął na Harry'ego, ze zdziwieniem dostrzegł jego zasepione oblicze. Złość wcale nie była skierowana pod adresem Olivii. Była skierowana pod jego adresem.

- Pójdę już - oznajmił tak raptownie, że Olivia podniosła wzrok znad telefonu. - Dzięki za lunch.

Harry bez słowa podążył w ślad za nim do przyczepy, z pulsującą na skroni żyłą. Pozwolił drzwiom zamknąć się z trzaskiem i zwrócił się do Grahama:

- Ta sama rudowłosa?

- O co ci znowu chodzi? - ironizował chłopak. - Myślałem, że ucieszy cię moja wielka randka z Olivią. Uwierz mi, postarała się, żeby zrobiono nam mnóstwo zdjęć.

- Posłuchaj - rzekł Harry, chwytając leżącą na kanapie teczkę i przetrząsając jej zawartość. - Wiesz, że zależy mi na twoim szczęściu...

Graham parsknął.

- Ale nie możesz zadawać się z tą dziewczyną.

- Z Olivią? - zapytał, zgrywając głupiego. Harry spojrzał wymownie.

-ZEllie O'Neill.

Na dźwięk tego nazwiska Grahama przeszył dreszcz zdumienia.

-Skąd wiesz...

- Przeprowadziłem małe dochodzenie - odparł menedżer i od razu uniósł obie dłonie w obronnym geście. - To moja praca, zgadza się? - Wyciągnął z teczki grubą szarą kopertę. - Nie miałem zamiaru zwracać ci tym głowy, ponieważ i tak zostajemy tu jeszcze tylko kilka dni. Ale widzę, że nadal się w niej durzysz...

- Nie durzę... - wtrącił Graham zdecydowanie zbyt skwapliwie.

- ...i z pewnością ci nie przeszło...

- Nieprawda...

- ... w każdym razie chciałbym mieć pewność, że przynajmniej znasz wszystkie istotne fakty - dokończył Harry, podając kopertę, po którą Graham nie wyciągnął ręki. - To

nie jest dobry czas na angażowanie się w cokolwiek, co mogłoby okazać się... kłopotliwe. Nie teraz.

- Nie twój interes - skwitował Graham słowa Harry'ego, rzucając mu wściekłe spojrzenie.

- Niedobrze by to wyglądało - ciągnął menedżer, jakby niczego nie usłyszał. - Gazety będą wszystko wywlekać na wierzch. To może zszargać twój wizerunek, na co naprawdę nie możemy sobie w tej chwili pozwolić.

Koperta nadal dyndała w wyprostowanej ręce Harry'ego. Gdy zrozumiał, że Graham nie zamierza po nią sięgnąć, upuścił ją na stół i wstał.

- Zaufaj mi dla twojego własnego dobra - rzekł i ruszył do wyjścia.

Kiedy otworzył drzwi, na wykładzinę padła trójkątna smuga światła, która po chwili znikła. Graham został sam.

Wpatrywał się w kopertę, rozdarty między chęcią otworzenia jej i ciśnięcia do kosza. Nie potrafił sobie wyobrazić, cóż takiego odkrył Harry, a przede wszystkim nie miał pojęcia, co skłoniło go do poszukiwań. I nie był pewien, czy chce się tego dowiedzieć.

Powrócił myślami do pierwszej wymiany e-maili, do tego łatwego przerzucania się słowami, do korespondencji, która w gruncie rzeczy była o niczym, a jednak czuło się w niej jakiś konkret. Coś naprawdę ważnego.

Nie widzieli się z Ellie od tygodni, aż do dziś. I choć Graham tęsknił, choć niczego nie pragnął bardziej, jak zapukać do jej drzwi i znów wziąć ją w ramiona, to brakowało mu czegoś jeszcze. Ze zdumieniem uświadomił sobie, jak bardzo brakuje mu p i s a n i a do niej. Przez wiele miesięcy skupiały się na dziewczynie wszystkie jego rozmyślania, teraz ona znikła, a myśli pozostały,

kłębiąc się w jego głowie niczym przestraszone świetliki w słoju. Nie miał pojęcia, jak wiele znaczy obecność osoby, z którą można w ten sposób rozmawiać. Nie zdawał sobie sprawy, że to rodzaj liny ratunkowej, bez której nikt nie pospieszy mu na ratunek, gdyby zaczął tonąć.

Graham dotknął rogu koperty, przysuwając ją bliżej. Wtem zrozumiał, jak desperacko pragnie poznać jej zawartość, każdy dostępny strzęp wiedzy na temat Ellie O'Neill, bez względu na to, czego dotyczy ani jakie pociąga za sobą konsekwencje.

Koperta wabiła, taka oficjalna i enigmatyczna.

Wyglądała, jakby skrywała jakąś tajemnicę.

Prawdopodobnie to pomyłka. Ale po chwili mimo wszystko wziął kopertę do ręki.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: środa, 3 lipca 2013, 13:21

Do: thisisquinn@gmail.com

Temat: biata flaga

Jakieś widoki na zawieszenie broni? Wiem, że wciąż się na mnie boczysz, ale naprawdę przydałaby mi się teraz przyjaciółka. (I to nie byle jaka...)

ROZDZIAŁ 15

Było zbyt gorąco na robienie czegokolwiek. Gdy uporały się z mamą ze zmianą ekspozycji w witrynie, Ellie przysunęła taboret do wentylatora i podstawiła twarz, ale łopatki wiatraka mieszały tylko gorące powietrze, nie przynosząc większej ulgi. Klienci, którzy mieli dość odwagi, by wejść do środka, cofali się, ledwo przestąpiwszy próg, panująca bowiem we wnętrzu duchota była jeszcze trudniejsza do zniesienia niż palące słońce na ulicach.

Wreszcie około drugiej po południu mama nie wytrzymała.

- Czuję się, jakbym siedziała w piecu - oznajmiła. - Zamknijmy i zwiewajmy stąd.

Ellie mówiła prosto do wentylatora, słowa wibrowały w powietrzu.

- Dokąd pójdziemy?

Ale знаła odpowiedź. Pójdą tam, gdzie zawsze.

Pół godziny później były w drodze na plażę. Nie tę w samym miasteczku, gdzie chodzili wszyscy turyści i wygrzewali się na skałach niczym foki, i nie tę dla dzieci z ratownikami i wydzielonymi liną kąpieliskami, nawet nie na tę piaszczystą przy pomoście wędkarskim.

Udały się do zatoczki.

Wywiesiwszy na drzwiach sklepu kartkę - UGOTOWANE; WRACAMY JUTRO - wstąpiły po drodze do domu, żeby przebrać się w stroje kąpielowe, wziąć ręczniki oraz psa, i właśnie teraz zmierzały w stronę niewielkiej mierzei niedaleko domu, plaży tak prywatnej, że zaczęły traktować ją jak swoją własność. Już kiedy Ellie była mała, właśnie tam uciekały razem, zabierając ze sobą latem krem z filtrem i ręczniki, a zimą koce i cydr. Spędziły niezliczone popołudnia, brodząc w falach, zbierając kamyki i podglądając ptaki. To było ich miejsce i dopóki Ellie nie poznała Grahama kilka tygodni temu, nigdy nie zaprosiła tam nikogo innego. Nawet Quinn.

Gdy schodziły ku morzu, dziewczyna przeszukiwała wzrokiem warstwę kamieni pokrywającą plażę, zastanawiając się, czy możliwe jest znalezienie w takim miejscu innych kamiennych serc. Mama rozkładała ręczniki tam, gdzie zwykle, a Bajgiel wpadł z hałasem do wody, odważny, zuchwały, pełen brawury, dając się zaraz potem wygonić na brzeg słabiutkim, marniutkim falom.

Ellie zrzuciła japonki i weszła do oceanu, dygocząc radośnie przy chłodnym dotknięciu fal, które pluskały wokół jej kolan. Stopy miała zimne jak lód, ramiona rozgrzane, odchyliła głowę w tył i zamknęła oczy, a wydarzenia poranka od razu się rozmyły.

- Bieże trzy tygodnie - powiedziała mama, dołączywszy do córki. - Będzie mi się cknęło.

Ellie nie potrzebowała pytać, co ma na myśli. W całym swoim życiu nie wyjeżdżała na dłużej niż kilka dni, a mama nadal zakładała, że Ellie wkrótce uda się na kurs poezji w ramach stypendium, które było przecież fikcją. Ale nie tylko to. W ten sposób przygotowywała się do czegoś

znacznie poważniejszego. Gdy odwiezie Ellie do Bostonu i zostawi ją w pustym pokoju w akademiku, poczuje przedsmak następnego lata, kiedy córka wyjedzie na studia już na dobre. Ta sierpniowa podróż to jak początek końca. Prolog ich ostatniego wspólnie spędzonego roku.

Rozumiała zatem, co znaczą dla mamy *bite trzy tygodnie*, czuła też, że powinna wyciągnąć rękę, chwycić jej słoną dłoń i powiedzieć: *wiem* albo *mnie też będzie tęskno*. Coś jednak sprawiało, że Ellie milcząco wpatrywała się w horyzont, jakby kawałek jej serca obrócił się w kamień.

- Trzy tygodnie to nie tak znów długo - odezwała się wreszcie, a słowa zabrzmiały rzeczowo i chłodno.

Mama kiwnęła głową, patrząc nieobecny wzrokiem na fale. Nie mogła wiedzieć, co naprawdę myśli Ellie: że te trzy tygodnie znaczą wszystko, a taka okazja może przejść jej koło nosa. Odłożyła dotychczas sześćset dwadzieścia cztery dolary i osiem centów. Jeśli dalej będzie oszczędzać, do sierpnia uzbiera niecały tysiąc. To jednak zupełnie nie wystarczy, a na myśl o rezygnacji z kursu, zaprzepaszczeniu takiej szansy albo i jeszcze gorzej, o poproszeniu o pomoc - ścisnęło ją coś w środku, sprawiając, że poczuła się nieszczęśliwie, beznadziejnie i podle.

Bajgiel ganiał tam i z powrotem, zrozpaczony, że zostawiono go na brzegu. Kiedy Ellie zagwizdała, wskoczył do wody z cichym skomleniem, zadarł wysoko nos i zaczął ku nim płynąć.

- Słuchaj - odezwała się mama. - Wiem...

Jednak Ellie nie chciała słuchać; nabrała dużo powietrza w płuca i zanurkowała, uderzenie zimna sprawiło całe jej ciało w drzenie, aż po zęby. Zmrużonymi oczami

widziała młóćące wodę łapy Bajgla, który w popłochu pływał dookoła niej. Odepchnęła ramionami wodę, kilkoma ruchami wysunęła się do przodu, po czym energicznie wynurzyła się na powierzchnię.

Zaskoczona zobaczyła mamę tuż obok, wytrząsającą wodę z ucha.

- Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz - zawołała pani O'Neill, a Ellie przetarła ręką oczy.

Dno ostro opadało, obie pływały zatem w miejscu, mocno pracując stopami.

- Wcale nie próbowałam - wypierała się Ellie, unosząc się na wodzie.

Fale głośno szumiały jej w uszach, na ustach czuła smak soli.

- Wiem, że wciąż jesteś na mnie wściekła z powodu Grahama - odezwała się pani O'Neill. Ellie rzuciła tylko znaczące spojrzenie. Mama miała krople wody na rzęsach, jej twarz wydawała się bardzo blada na tle oceanu. - Byłaś taka małomówna przez ostatnie tygodnie, wiem, że się zadręczasz, dlatego chciałam cię przeprosić.

Fala delikatnie uniosła je i opuściła, kilka mew krążyło im nad głowami. Odbijające się od wody słońce raziło w oczy, Ellie przymknęła powieki, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Rzeczywiście dręczyła ją sytuacja z Grahamem. Myślała, że nie widując go, radzi sobie zupełnie dobrze. Ale dzisiejsze spotkanie, jego bliskość - było jak przyciąganie magnesu, niezwykle silne i nie do odparcia. Nawet teraz, gdy pływała w miejscu pod wzniesioną wysoko kulą słońca, czuła, że jej wewnętrzna równowaga prysła. Wyszła z delikatesów kilka godzin temu, lecz jakaś ważna jej część - zbyt ważna, by można ją utracić - tam pozostała.

- Nie ma sprawy - odparła w końcu słabym głosem.

- To nie twoja wina.

Mama westchnęła. Szybko poruszała ramionami, które pod wodą wydawały się przeraźliwie blade.

- On i tak wkrótce wyjedzie. Będzie łatwiej.

Ellie otworzyła usta, ale nie mogła wykrztusić słowa. Mama chciała ją w ten sposób pocieszyć, tymczasem ni z tego, ni z owego Ellie o mało się nie rozplakała.

Te słowa odbijały się echem w jej głowie: *Bite trzy tygodnie*. Tyle zmarnowała czasu. Tyle tygodni minęło od pocałunku Grahama.

Bite trzy tygodnie.

W oddali sunął po morzu olbrzymi jacht, poruszał się majestatycznie na tle oślepiającego błękitu horyzontu. Ellie pomyślała o wycinku z gazety na temat swojego ojca, który spędzi ten weekend z rodziną w Kennebunkport, prawdopodobnie na równie okazałym jachcie. Wyobrażała sobie, że zamieszkają w jakiejś rezydencji z widokiem na ocean, wieczorami śmigając z jednego eleganckiego koktajlu na drugi. Dni będą mu upływały na łowieniu ryb z dwoma niebieskookimi synami, którzy wyglądają co prawda jak modele z katalogów reklamowych, ale

- wzięwszy pod uwagę, co Ellie o nich czytała - zapewne nie dostaliby się na kurs poezji na Harvardzie, nawet gdyby bardzo się starali.

Z trudem przełknęła ślinę, ugodzona boleśnie taką niesprawiedliwością. Nie chodziło jej tylko o to, że ciuła pieniądze na kurs, który prawdopodobnie i tak ją ominie. Wiedziała, że to dopiero początek. Później będzie college: wnioski o pożyczki, mama ślęcząca do późna nad kalkulatorem, wykonująca karkołomne obliczenia.

Nieustanne zmartwienia związane z domem i sklepem, niekończące się rozmowy o budżecie, szuflady wypchane kuponami zniżkowymi, wszystkie te rzeczy, o które nie trzeba by się martwić, gdyby Paul Whitman był nadal obecny w ich życiu.

Kiedy Graham tamtego wieczoru zainteresował się, ile Ellie brakuje pieniędzy, pytanie przeszło ją niczym pocisk. Dla niego tysiąc dolarów to pewnie równowartość napiwku, jaki zostawia się obsłudze hotelu po tygodniowym pobycie w kurorcie. Prawdopodobnie zarabiał tyle każdego dnia na samych odsetkach. Dla niego to grosze. Marne miedziaki. Kieszonkowe.

Dla niej zaś kwota niemożliwa do zebrania. Wszystko jedno, czy wynosiłaby dziesięć tysięcy dolarów. Albo i milion.

Oderwawszy wzrok od jachtu, Ellie miała w gardle gulę. Bajgiel zaczął wiosłować do brzegu. Odprowadzały psa wzrokiem, patrzyły, jak biały romb na jego łbie podskakuje w górę i w dół.

- Myślę, że Bajgiel wpadł na dobry pomysł - rzekła mama, delikatnie machnąwszy nogami we właściwym kierunku. - Zaczynam odczuwać zmęczenie. Płyniemy do brzegu?

Ellie zanurzyła brodę w wodzie, potrząsając przecząco głową, a następnie odchyliła się w tył i dryfowała na powierzchni w otoczeniu aureoli włosów.

- Jeszcze nie. Spotkamy się później.

- Dobra - zgodziła się mama i zaczęła się oddalać. - Uważaj, żeby cię nie zniosło.

Woda pluskała w uszach kołysanej na falach Ellie. Nad jej głową mewy prowadziły ze sobą rozmowy na bezkres-

nej przestrzeni nieba, słońce zniżało się ku plaży. Nie wiedziała, jak długo tam pozostała, pozwalając oceanowi unosić ciało, lekkie pomimo ciężaru, jaki ją przygniatał.

Po pewnym czasie przekręciła się z pleców na brzuch i popłynęła do plaży, owinęła się ręcznikiem i usiadła na swojej ulubionej skale - płaskim głazie, który górował nad zatoczką niczym miniaturowy klif - czując, jak sól wysycha na twarzy, a słońce grzeje powieki. Podkurczyła palce na krawędzi skały i objęła ramionami kolana. Spoglądając w dół, zaskoczona dostrzegła mały dysk wciśnięty między kamienie, a gdy wyciągnęła po niego rękę, ogarnął ją pusty śmiech.

To był pieniążkowiec. Bardzo dowcipne, biorąc pod uwagę sytuację.

Położyła go płasko na dłoni, przyglądając się zaokrąglonemu brzegom oraz delikatnym zarysom gwiazdy pośrodku. Daleko na wodzie w pole widzenia wśliznął się kolejny kosztowny jacht. Ellie obserwowała go spod przymrużonych powiek, a w jej głowie powoli nabierał kształtu jeszcze bardzo niewyraźny pomysł. Wyprostowała plecy, rozleniwiony kąpielą umysł ponownie budził się do życia, analizując możliwości, palce obracały bezwiednie pieniążkowca.

Już jutro ojciec będzie zaledwie godzinę drogi stąd.

Nagle wszystko wydało się proste, jak koncepcja najbardziej oczywista na świecie. Tu, na tym głazie, krzepło w niej niczym cement poczucie pewności, jak powinna postąpić, i nieuchronności decyzji - a snucie planu i rozsypywanie węzłów na drodze do jego realizacji pochłonęło ją tak bardzo, że nie usłyszała, jak ktoś nadchodzi między drzewami. Dopiero na odgłos kroków na kamie-

niach raptownie się odwróciła. Na widok Grahama od razu rozjaśniła się jej twarz.

Chłopak uśmiechał się z drugiej strony plaży. Miał na sobie szorty khaki i niebieskie polo, które podkreślało błękit oczu na tle otaczającej go zewsząd szarości. Trzymał coś w ręku, a Ellie była przekonana, że to kamyczek w kształcie serca.

- Wyglądasz na pogrążoną w myślach - zauważył Graham, nie ruszając się ze swego miejsca.

Ellie nie potrafiła ukryć radości.

- Cześć - przywitała go, on zaś spojrzał na nią z rozbawieniem, przechyliwszy głowę.

- Marzysz czy spiskujesz?

- Spiskuję - odparła, Graham zaś dumiał przez chwilę, po czym zrobił ku Ellie kilka kroków.

- Cóż, cokolwiek knujesz, wchodzę w to.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: środa, 3 lipca 2013, 16:48

Do: harry@fentonmanagement.com

Temat: (brak tematu)

Harry,

dzięki za info. Okazało się ogromnie pomocne. Graham

ROZDZIAŁ 16

Wrócił do niej, naprawdę. To on wyszedł spomiędzy drzew na plażę i przebył dzielącą ich odległość. Ale nie był w tym sam. Jej oczy mówiły wszystko: Ellie także do niego wracała.

Kiedy otworzył kopertę od menedżera, opuściły go wszelkie wątpliwości. Harry wyraźnie traktował te informacje jako rodzaj przestrogi, tymczasem skutek okazał się odwrotny. Siedząc w swojej przyczepie, Graham wysypał na stół stos papierów - bezładną mieszaninę internetowych znaleźsk i archiwalnych artykułów - i przeczytał wszystko na temat przeszłości Ellie. Jednak wcale go to do niej nie zraziło. Nie obchodziło go, czy jest nieślubną córką tego sztywnego senatora, czy nie. Nie obchodził go ewentualny negatywny rozgłos ani fakt, że związanie się z kimś takim mogłoby niekorzystnie wpłynąć na jego karierę.

Zrozumiał, że jej przeszłość tłumaczyła wszystko, co między nimi zaszło: wyraz jej twarzy, kiedy oddaliła się tamtego dnia w porcie, brak odpowiedzi na jego wiadomość, dystans, jaki zachowywała przez ostatnie tygodnie.

Nie miało to nic wspólnego z odrzuceniem jego osoby. Ellie po prostu chroniła siebie.

Tamto już się nie liczyło. Siedzieli zwrócenii do siebie twarzą na potężnym pochyłym gładzie, który wystawał

ponad falami przyboju. Słońce zniżało się na niebie i choć Ellie miała już na sobie szorty i podkoszulek, nadal otulała się ciasno ręcznikiem jak kocem, drżąc pomimo upału późnego popołudnia. Długie włosy były wciąż wilgotne od morskiej wody, a nos zaróżowiony od słońca.

Próbowała odezwać się pierwsza, podobnie jak Graham, ich słowa zderzały się ze sobą jak samochodziki w wesołym miasteczku, póki wreszcie nie kazała chłopakowi usiąść naprzeciwko siebie, póki każde z nich nie odetchnęło głęboko, śmiejąc się właściwie bez powodu. Ale znalezienie się znów razem w tym miejscu dawało im rzadki rodzaj radości. Pomimo braku wyjaśnień i przeprosin czuli, że to powtórka, druga szansa, nowy początek. Dar od losu, którego Graham nie chciał roztrwonić. Pewne rzeczy należało jednak powiedzieć, odchrząknął zatem i pochylił się ku Ellie.

- Ja pierwszy - zaznaczył, a ona skinęła głową i spoważniała. Trudno było zdecydować, od czego zacząć, zawahał się. - Wiem, co się stało - wykrztusił w końcu. - Wiem, że nie miało to związku z tobą ani ze mną. Dotyczyło twojego taty.

Wzdrygnęła się. - Skąd...

- Harry to wybadał - przerwał jej Graham. - Mój menedżer. Nikomu nie powie. Po prostu wiedział, że cię lubię, i zwyczajnie starał się mnie chronić...

- Chronić ciebie? - zdziwiła się, otwierając szeroko swoje zielone oczy.

- Na tym polega jego praca - wyjaśnił. - Ale mniejsza o to. Bo nie wiązało się to z nami, prawda? Czyli jest już nieistotne. Skoro o wszystkim wiem.

Ellie zmarszczyła czoło.

- Oczywiście, że istotne. Ten fakt niczego nie zmienia.

- Zmienia w s z y s t k o . Nie interesuje mnie twoja przeszłość ani kim jest twój tato. Sprawa rozbijała się o rozgłos, prawda? Obiektywne aparatów? - Wzruszył ramionami. - Więc będziemy trzymać się od nich z daleka.

- Grahamie - zaczęła srogim głosem, chociaż kącik jej ust drgał od tłumionego uśmiechu. - Zastanów się przez chwilę. Nie tak łatwo ich unikać. Są częścią ciebie.

- Ja taki nie jestem - odparł z cieniem irytacji. Wtedy jej twarz złagodniała.

- Nie to miałam na myśli - sprostowała i ku zaskoczeniu Grahama po chwili wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. Czuł na skórze żar bijący od jej dłoni, niesłychanie miękkiej, zanim jednak zdążył zareagować, Ellie z zawstydzoną miną cofnęła rękę. - Chciałam tylko zwrócić uwagę, że to zbyt duże ryzyko. Cieszę się, że znasz całą historię. Nigdy nie umiałam komukolwiek o tym powiedzieć. Ale bycie z tobą to zbyt publiczna sytuacja. Nie mogę zrobić tego mamie. - Przerwała i spojrzała na ocean.

- Harry prawdopodobnie ma rację. Z pewnością ja także nie jestem dla ciebie najlepszą reklamą.

- Mam to w nosie. Te sprawy się nie liczą.

- Liczą - zaprzeczyła z lekkim smutkiem. - Poza tym nie są warte ryzyka. Zresztą i tak zostajesz tu jeszcze tylko kilka dni.

- No właśnie - powiedział i przysunął się bliżej.

- Zmarnowaliśmy całe trzy tygodnie.

Nie umiała spojrzeć mu w oczy.

- Wiem.

- To sporo czasu. Od kiedy zaczęliśmy ze sobą korespondować, wiedziałem na bieżąco, co porabiasz. Nie mijały nawet trzy godziny...

Uśmiechnęła się, lecz jej wesołość niemal natychmiast zgasła.

- Nie możemy.

- Z powodu fotografów? Ellie kiwnęła głową.

- Wiesz, że gdy tylko wrócimy do miasteczka...

- Okej - przerwał Graham, rozglądając się po plaży. Słońce skryło się za drzewami, fale zabarwiły się złotem. - W takim razie zostaniemy tutaj.

Znów się roześmiała.

- Na zawsze?

- Pewnie. Miejsce dobre jak każde inne.

- Z ładnym widokiem na ocean.

- Z mnóstwem światła - dodał Graham.

- Rezydencja przy plaży. I żadnych fotografów. Potwierdził ruchem głowy.

- Żadnych fotografów.

Chwyliła go za rękę i znów poczuł ciepło jej palców.

- Nie chcę marnować ani chwili więcej - powiedziała cicho Ellie, a Graham pochylił się i ją pocałował. Jej usta smakowały słono.

To, co się między nimi działo, było jak siła grawitacji, przyciąganie silne jak fale i niepodobne do niczego, co kiedykolwiek dotąd czuł. Żartował, mówiąc, że mógłby zostać tu na zawsze, nagle odniósł jednak wrażenie, że to prawda.

Gdy się odsunęła, nie był jeszcze gotowy jej wypuścić, więc otoczył dziewczynę ramieniem. Opadła na jego

pierś, przytuliła się, zwinięta w kłębek. Trwali w tej poźyci długi czas, w milczeniu spoglądali na wodę, a za ich plecami zachodziło słońce.

- To tutaj oglądasz wschody słońca? - zapytał w końcu. - Założę się, że to idealne miejsce.

Ellie odwróciła ku niemu twarz z lekkim zmieszaniem.

- Prawdę mówiąc, nigdy żadnego nie widziałam.

- Co? Jak to w ogóle możliwe?

- Zawsze je przesypiam - przyznała. - Wiem, okropne.

- Przecież wschody słońca figurowały na twojej liście.

- Jakiej liście?

- Rzeczy, które dają ci szczęście.

- Ach tak. Zgadza się. Było to chyba raczej pobożne życzenie. Zresztą, ty też skłamałeś.

Popatrzył zdziwiony.

- Jak to?

- Powiedziałeś, że lubisz poznawać nowych ludzi... Nie musiała kończyć myśli. Graham wiedział, o co jej

chodzi. I była to prawda, przynajmniej zanim nie poznał Ellie. Bo teraz wszystko się zmieniło.

- Nie kłamałem - odparł, opierając brodę o czubek jej głowy. - Mówiłem o tobie.

- To dobrze - rzekła i usłyszała radość w swoim głosie. - Ponieważ ja też lubię cię poznawać.

- Miejmy nadzieję, że bardziej niż wschody słońca.

- Których nigdy nie widziałam - dodała.

- Otóż to. Skąd wiesz, że dają ci szczęście, skoro nigdy ich nie doświadczyłaś?

- Są różne rodzaje szczęścia. Niektóre nie potrzebują żadnych dowodów - tłumaczyła Ellie.

- Na przykład wschody słońca?
 - Właśnie. Wiem wystarczająco dużo, by mieć pewność, że to szczęśliwe wydarzenia. We wschodzie słońca po prostu nie ma nic smutnego.
 - W przeciwieństwie do zachodu.
 - Nie wydaje mi się, by zachody były jakoś szczególnie smutne.
 - A mnie tak - ripostował Graham. - Kończą dzień, a zakończenia zawsze są smutne.
 - Są początkiem nocy. A to już coś.
 - Tak, ale wiadomo, że noce są straszniejsze niż dni. Ellie parsknęła śmiechem.
 - Może wobec tego powinniśmy się odwrócić.
 - To znaczy?
 - Nic nie jest takie straszne, jeśli widzimy, jak się zbliża.
- Mimo to nie ruszyli się z miejsca. Słońce kontynuowało wędrówkę za ich plecami, wślizgując się za drzewa, za domy, za całe miasteczko Henley, a przed nimi na wodzie panował ruch zawijających do portu łodzi. Obserwowali potężny jacht, wiatr smagał wielkie białe żagle. Graham zamknął oczy.
- Moi rodzice nie przyjadą - oznajmił, a Ellie drgnęła w jego ramionach.
 - Na święto?
 - Miałem nadzieję, że może jednak się zdecydują - powiedział, ale zaraz potrząsnął głową. - Choć to właściwie nieprawda. Nigdy nigdzie nie wyjeżdżają. Ale też nigdy dotąd ich o to nie prosiłem.
 - Jesteście sobie bliscy?
 - Byliśmy. Dawniej.

- Przed tym wszystkim? - zapytała i Graham pokiwał głową, wiedząc, o czym myśli Ellie. Oboje umilkli, śledząc ruch jachtu. A ona znów wzięła go za rękę. - Wiele tracą.

- Oni tego nie rozumieją. Całej specyfiki filmu.

- Czy można mieć im za złe?

- Chyba nie - przyznał cicho. - Ja sam często tego nie rozumiem.

- Ty masz przynajmniej Wilbura - zauważyła, a Graham się roześmiał.

- To prawda. -1 mnie.

Pochylił się i pocałował Ellie w czubek głowy. -Też.

Jacht powoli zniknął, zamieniając się w samą tylko sylwetkę na tle złocistej wody. Ciepła bryza rozwiała włosy na czole Grahama.

- Przykro mi z powodu twojego taty - powiedział, choć nadal był myślami przy własnym ojcu.

Odezwała się dopiero po chwili.

- Nigdy mi to nie przeszkadzało. Za to mama naprawdę mi się udała. Jednak tego lata jest trudniej niż zwykle.

- Przeze mnie? - zapytał, lecz Ellie milczała. Odsunęła się i odwróciła głowę, żeby dobrze widzieć jego

twarz, patrzyła błyszczącymi oczami, z wielką determinacją.

- Przyjeżdża do Kennebunkport na długi weekend. Graham posłał jej zakłopotane spojrzenie, zastanawiając się, co ten fakt ma do rzeczy.

- Gdzie to jest?

- Na północ stąd - wyjaśniła z napięciem na twarzy. - Będzie tam z rodziną, a ja mam zamiar pojechać do Kennebunkport jutro i się z nim zobaczyć.

- A więc to wcześniej knułaś? - zainteresował się. - Ojciec wie, że przyjeżdżasz?

Potrząsnęła głową.

- Nie widziałaś się z nim od dzieciństwa?

- Nie - przyznała.

- A twoja mama wie, co zamierzasz? Ellie przygryzła wargę.

-Nie.

Graham westchnął i podrapał się w tył głowy.

- Myślisz, że to dobry pomysł?

- Czy gwiazdy filmowe nie powinny być lekkomyślne i nieodpowiedzialne? - powiedziała, siląc się na uśmiech, który jednak szybko znikł.

- Po prostu nie wydaje mi się...

- Jest mi wszystko jedno - przerwała tonem, w którym usłyszał twarde postanowienie. - Już zdecydowałam.

Graham się zawahał, a następnie pokiwał głową.

- Dobra - rzekł. - W takim razie ja też pojedę. Ellie wyglądała na zaskoczoną.

- Nie pojedziesz.

- Dali nam wolny dzień i nie mam nic do roboty - wyjaśnił. - Urządzimy sobie samochodową wycieczkę.

- Za bardzo rzucasz się w oczy.

- Wmieszam się w tłum. Zaśmiała się trochę wbrew sobie.

- To niewykonalne.

- Obiecuję. Włożę kowbojski kapelusz. I przykleję wąsy.

- Cóż za melodramatyzm.

- Ryzyko zawodowe - rzucił chłopak z uśmiechem.

- Wiesz co? - rzekła Ellie, wstając ze skały, z ręcznikiem nadal zarzuconym na ramiona. - Prześpię się z tym pomysłem.

- W porządku - odparł i także się podniósł. - Ale na wszelki wypadek zacznę szykować kostium.

Gdy zaczęli iść plażą, złapał dziewczynę za rękę. Milczeli, kamienie chrzęściły im pod stopami, fale dobijały do brzegu za ich plecami.

Jeszcze trzy dni, myślał Graham.

Nie chciał stracić ani jednego.

- Na dziś już koniec pracy? - spytała Ellie, nie patrząc na niego, szła bowiem ostrożnie z pochyloną głową po nierównym gruncie.

- Mojej tak, a ty masz wolny wieczór?

- Jasne - potwierdziła, a Graham niemal dosłyszał w jej głosie przekorę.

- Tak sobie myślę, że moglibyśmy przeparadować przez całe miasteczko, pójść do Lobster Pot, może trochę poprzytulać się na trawniku w centrum...

- Bardzo śmieszne - zauważyła, gdy dotarli do niskiej skarpy na granicy plaży i zagajnika, wspólnie gramoląc się na górę.

- Co powiesz na piknik? Moglibyśmy się tu później spotkać.

Zgodziła się.

- To jest plan.

W zagajniku było ciemniej, niebieskawy zmierzch osiadł w każdym zakamarku, dlatego Graham pozwolił, by prowadziła go Ellie, i potykał się odrobinę, zmierzając po omacku w stronę ulicy. Było w tym coś nierzeczywistego, tylko tupot ich stóp, odgłos oddechów, jej drobna

dłoń w jego większej dłoni, Ellie wskazująca drogę między drzewami. Plaża znajdowała się tylko kilka metrów za nimi, ulica kilka metrów przed nimi, ale w zagajniku wydawało się, że od świata dzielą ich tysiące kilometrów. Kiedy więc nad ich głowami błysnął pierwszy flesz, Graham dopiero po chwili uzmysłowił sobie, co się dzieje.

Gdyby znajdował się w Los Angeles albo Nowym Jorku, czy choćby na ulicy w samym środku Henley, jego umysł pracowałby sprawniej, lecz tutaj, w gęstniejącym zmierzchu, gdy wyłaniał się z cichej, odosobnionej plaży, powoli docierało do niego znaczenie tego, co się stało. Idąca przed nim Ellie stanęła raptownie i wypuściła jego rękę. Jednak nawet kiedy błysnęła druga lampa i cała scena nabrała oczywistej klarowności - światło odbite od motocykla, lawina kroków, kolejny flesz - jedyne, co mógł zrobić, to stać i nerwowo mrugać powiekami.

- Graham - rozległo się wołanie. Ellie obok niego zeszywniała. - Graham, mógłbyś się uśmiechnąć? Może jakiś pocałunek?

Było ich tylko trzech, ale chłopak miał wrażenie, że fotografów jest cały tłum, a oni są osaczeni ze wszystkich stron.

- Jak masz na imię, skarbie? - jeden z nich zapytał Ellie, wielki łysy facet, który kręcił się w mieście już od przyjazdu ekipy filmowej. Zrobił krok naprzód i chodził tam i z powrotem wzdłuż pobocza. Praktycznie byli jeszcze z Grahamem ukryci pośród drzew, ale nie mieli stamtąd żadnej drogi odwrotu. - Możemy jeszcze jedno zdjęcie?

Młody aktor potrzebował chwili, by się pozbierać. Odwrócił się do Ellie, zerwał ręcznik, który zarzuciła wcześniej na ramiona i zaczął wywijać nim przed jej twarzą.

Gdy uświadomiła sobie, co robi, odebrała mu go z rąk i skryła twarz za deseniem w koniki morskie. Chłopak otoczył ją ramieniem i choć wyczuwał jej opór, ponaglał, by mimo wszystko szła przed siebie. Potykali się na korzeniach i skałach, pnąc się w stronę ulicy.

Teraz wszyscy trzej fotografowie pstrykali zdjęcia. Tu, na cichej ulicy, gdzie prócz nich nie było nikogo, obecność tych mężczyzn wydawała się złowieszcza i odrobinę groźna. Paparazzi cofnęli się o kilka kroków, gdy stopy Grahama dotknęły chodnika. Mocniej przycisnął do siebie Ellie, bez słowa odganiając ich w przeciwną stronę.

- No proszę, Graham - powiedział łysy, wybiegając tuż przed nich, a następnie truchtając tyłem z objającym się o pierś aparatem.

Dwaj pozostali otaczali ich z obu stron, biegnąc poboczem drogi. Graham posłał wściekle spojrzenie mężczyźnie po swojej lewej stronie.

- Tylko jedno zdjęcie - nalegał fotograf. - Jedno dobre zdjęcie i damy spokój.

- Odczep się - wycedził Graham przez zaciśnięte zęby. Fotograf opuścił aparat i przez chwilę wydawało się,

że na tym koniec. Lecz po sekundzie dopadł Ellie, szarpnął za rąbek ręcznika i wyrwał go dziewczynie z rąk. Wydała cichy okrzyk zaskoczenia, w tym samym momencie błysnął flesz, a Graham, zanim się zastanowił, pchnął mężczyznę i wytrącił mu z ręki aparat, który upadł z trzaskiem na chodnik. Usłyszeli ostry brzęk metalu rozsypanych po asfalcie, a następnie serię cichych przekleństw, gdy natręt rzucił się, by pozbierać sprzęt.

Pozostali zamarli, ale tylko na sekundę. Ręcznik Ellie spadł na ziemię, a korzystając z okazji jeden z paparazzich

- ten łysy - wyskoczył im naprzeciw. Zanim jednak zdążył podnieść aparat, Graham zbliżył się do jego twarzy.

- Odłóż to! - rozkazał niskim, chropawym głosem.

Facet się zawahał, lecz tylko na ułamek chwili, i spojrzał na trzeciego fotografa, który ostrożnie trzymał aparat w pogotowiu, wycelowawszy obiektyw w schylającą się po ręcznik Ellie.

Wszystko na krótko zastygło, paparazzi stali w bezruchu z aparatami uniesionymi niczym broń w martwym punkcie walki. Jednak gdy tylko Ellie się wyprostowała, błysk znów przeciął mrok - tak jaskrawy, że wszyscy zamrugali powiekami - i jak za pociągnięciem sznurka, jak w reakcji łańcuchowej dłoń Grahama zwinęła się w pięść, ramię wzięło zamach i zadało cios.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: środa, 3 lipca 2013, 22:24

Do: GDL824@yahoo.com

Temat: (brak tematu)

Miałeś rację. Powinniśmy na zawsze pozostać na plaży.

ROZDZIAŁ 17

Nawet światło nie mogłoby poruszać się z większą prędkością. Ani płynąca woda. Ani szybkobieżny pociąg. Nic, zdawało się Ellie, nie mogłoby pobić szybkością tempa, w jakim wypikselowane zdjęcia oraz towarzysząca im historia rozlały się po przepastnych stronach Internetu jeszcze tego samego wieczoru.

Siedząc następnego dnia rano na łóżku z komputerem na kolanach, patrzyła tępo, jak na ekranie pojawiają się kolejne artykuły. Nie rozmyślała jednak nad przedstawioną wersją wydarzeń, która raczej nie przypominała tego, co zaszło naprawdę. Nie dawał jej spokoju jeden moment, chwila, gdy fotograf zatoczył się po ciosie i zachwiał niczym marionetka.

Uderzył głową o ziemię z odgłosem, który wydawał się zbyt ciężki jak na upadające ciało, a Ellie patrzyła ze zgrozą, znieruchomiała z przerażenia przez kilka budzących grozę sekund, nim mężczyzna zaczął mrugać powiekami i dźwigać się z ziemi. To Graham wykonał pierwszy ruch, przepraszająco kręcąc głową i wyciągając rękę, by pomóc mu wstać. Ale zmroził go błysk flesza. Odwrócił się do drugiego z fotografów i spojrzał groźnie.

- Ty dupku - rzucił łysy, ignorując wyciągniętą rękę Grahama i próbując stanąć na nogi o własnych siłach.

Jego oko już teraz zamieniło się w wąską szparę, skóra pod spodem opuchła, wykwitł różowy półksiężyc, który bez wątpienia przybierze wkrótce barwę wściekłej purpury. Mężczyzna przycisnął do oka dwa palce, skrzywił się, a następnie obmacał bok głowy, którym uderzył o chodnik. Gdy znów skupił wzrok na Grahamie, w jego oczach błysnęła iskra czegoś zupełnie nieoczekiwanego - samozadowolenia, złośliwej satysfakcji. Ellie się przestraszyła.

- Szykuj się - wycedził do Grahama. - Puszczę cię z torbami.

Ale Graham zdążył już chwycić Ellie za ramię, błyskawicznie ją odwrócił i odciągnął od ubranych na czarno mężczyzn. Ruszyła za nim pospiesznie, słysząc ścigające ich natarczywe *pstryk-pstryk-pstryk*. Z ulgą skonstatowała, że nie słyszy żadnych kroków i wkrótce przestały migać nawet flesze.

- Nic ci nie jest? - zapytał Graham, gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości.

Ellie pokręciła głową, choć jej nadgarstki nadal mrowiły po gwałtownym wyszarpięciu z rąk ręcznika, który, jak właśnie sobie uzmysłowiła, został na ulicy. Pomimo wszystkiego, co zaszło, akurat to - myśl o ręczniku w koniki morskie, który towarzyszył jej od dzieciństwa, a teraz leżał jak kupka nieszczęścia na środku pustej drogi - sprawiło, że poczuła, jak coś ściska ją w gardle.

Panowały już prawie całkowite ciemności, szli z Grahamem szybkim krokiem, z pochylonymi głowami i przygarbionymi ramionami, pchani naprzód wytrącającą z równowagi mieszaniną gniewu i strachu. Ellie szczękała zębami, choć nie było jej zimno. W głowie kotłowały się pytania ważne i nieważne, ale nie dopuszczała ich

do głosu. Mężczyźni otoczyli ich jak hieny. A do tego to nieprzerwane pstrykanie aparatów. W życiu nie czuła się tak obnażona. Nawet teraz wciąż nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że tamci ich śledzą, wciąż nerwowo oglądała się za siebie, by upewnić się, czy nikogo tam nie ma.

Gdy byli blisko domu, Graham zwolnił kroku i się odwrócił. Popatrzyli na siebie i pomimo mroku Ellie dostrzegła w oczach chłopaka strapienie. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamknął je z bolesnym grymasem.

Ellie już sporządzała w myślach listę rzeczy, które przyniesie następnego dnia, i wiedziała, że Graham robi to samo, układa w głowie rozmowy telefoniczne z agentami i prawnikami, przygotowuje się do spotkania ze swoim menedżerem, roztrząsa nieuchronne konsekwencje zajścia. Dla świata nie istnieje nic bardziej interesującego niż afera z udziałem znanej osobistości, nic bardziej ekscytującego niż publiczna klęska. Nie będzie miało znaczenia, że fotografowie tropili ich jak zwierzynę albo zachowywali się zbyt napastliwie. Będzie liczyła się jedynie informacja, że Graham uderzył pięścią jednego z nich.

Ellie zerknęła w stronę domu. Nawet przez gałęzie drzew na końcu podjazdu widziała, że w kuchni pali się światło. Miała wrażenie, że minęło wiele dni, od kiedy rozstała się z mamą na plaży. Mama pewnie zachodziła w głowę, gdzie Ellie podziewa się tak długo. Na myśl o wyjaśnieniu, co zaszło tego wieczoru, zrobiło się jej niedobrze.

Graham wciąż patrzył na dziewczynę, gdy ponownie odwróciła się w jego stronę.

- Przepraszam - odezwał się po chwili.

Widziała, jak układa usta, i przypomniał się jej pocałunek na plaży. Uświadomiła sobie, że byłoby teraz na pik-

niku, lecz ten pomysł wydał się jej niesłychanie odległy, jakby planowało go dwoje zupełnie obcych ludzi. Ellie potrząsnęła głową.

- To nie twoja wina.

- Ale to ja pogorszyłem sprawę - odparł matowym głosem. - Teraz zrobią z tego sensację. Wielki szum.

- Nic się nie stało - pocieszała go mimo obawy, że może okazać się inaczej.

Podjęła decyzję o trzymaniu się z daleka od Grahama, by uniknąć takiej właśnie sytuacji, lecz później ponownie uległa jego czarowi, całym sercem i być może nieodwołalnie. Wydawało się niesprawiedliwe, że wszystko nabrało rozpędu tylko po to, by znów stanąć w miejscu, tak jak byłe jakie, szarpiące się na gumce w górę i w dół jo-jo.

Ich serca zwyczajnie nie były do tego stworzone.

- Powinam już iść - powiedziała, a jej wzrok powędrował w stronę domu.

Atmosfera była napięta. Graham zdobył się na wymuszony uśmiech. Był to uśmiech aktora - sztuczny i blady - który znikł, gdy Ellie wzięła chłopaka za rękę.

- Hej - wykrztusił z ponurą miną, przytrzymując jej dłoń. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby to naprawić, okej?

Kiwnęła głową, próbując sprawić wrażenie przekonanej, ale po chwili odwróciła się i ruszyła podjazdem, zostawiając Grahama samego na ulicy. Dotarłszy do werandy, oparła się o drzwi, odetchnęła głęboko kilka razy i dopiero wtedy przekręciła gałkę. Słyszała w kuchni mamę, ale wiedziała, że gdyby teraz zaczęła z nią rozmawiać, rozkleiłaby się i wybuchnęła płaczem. Nie czuła się

jeszcze gotowa - na tłumaczenia i wyznania, brzemienne konsekwencje tego wieczoru - dlatego rzuciła tylko krótkie „cześć” i czmychnęła na piętro.

W swoim pokoju natychmiast chwyciła komputer i usiadła po turecku na łóżku, wklepując nazwisko Grahama. Najświeższe wpisy na jego temat to zdjęcie z Olivią przed delikatesami z wczesnego popołudnia oraz kilka artykułów sugerujących jego ewentualny udział w innym filmie, lecz nie znalazła żadnej wzmianki o fotografii z podbitym okiem albo zniszczonym aparacie, bądź tajemniczej rudowłosej dziewczynie, której ojciec mieszkający z inną rodziną być może wystartuje pewnego dnia w wyborach prezydenckich.

Spędziła w swoim pokoju resztę wieczoru, odpowiadając mamie przez drzwi, że nie jest głodna, klikając przycisk „odśwież” tak wiele razy, aż słowa zaczęły się rozmywać i pływać przed oczami, zamieniając się w pozbawione sensu ciągi liter.

Nie miała pojęcia, o której zasnęła; wiedziała tylko, że kiedy się obudziła, na dworze było jeszcze ciemno. Przez chwilę manipulowała przy telefonie i zobaczyła, że jest parę minut po piątej. Wspomnienie minionego wieczoru wróciło do niej momentalnie. Sięgnęła po komputer, strapienie zmaćło myśli.

Tym razem do sieci wyciekło wszystko. Wszyściutko. Serce podchodziło Ellie do gardła, gdy czytała kolejne nagłówki: *Cios Grahama Larkina; Larkin wali bez ogródek; Larkinowi brak piątej kleпки*. Przeglądała artykuł za artykułem i ścisnęła ją w dołku. Zastanawiała się, czy Graham już je widział. Pierwsze doniesienia zamieszczono wczoraj o jedenastej wieczorem, pewnie tuż po zaśnię-

ciu Ellie, kilka opatrzone zdjęciem Grahama szykującego się do zadania ciosu, z łokciem odciągniętym do tyłu jak u łucznika napinającego cięciwę, z pociemniałą od gniewu twarzą. W tle Ellie dostrzegła zmięty ręcznik w koniki morskie, porzucony bezładnie na ulicy, a dalej fragment jej własnej sylwetki: blade ramię i kilka kosmyków rudawych włosów.

Uprzytomniła sobie, że nie mają na jej temat żadnych informacji wartych wzmianki, choć w każdym artykule donoszono o „niezidentyfikowanej dziewczynie”. I to było wszystko, przynajmniej na razie, Ellie miała jednak dość oleju w głowie, by nie tracić czujności. Pojmowała rozmiary całej sprawy, jej ogromny zasięg, a troska o Grahama przyspieszała bicie serca. W niektórych doniesieniach wspomniano już o pozwie sądowym, w innych po prostu wyrażano zaskoczenie nagłym wybuchem aktora, jak gdyby drzemała w nim bestia, która wreszcie się przebudziła. Nawet jeśli nie czeka go proces sądowy, Ellie rozumiała, jak dalece to zajście może zniszczyć jego wizerunek, karierę, nowy film, i żałowała, że nie może stanąć w obronie Grahama, wyjaśnić, co się wydarzyło, powiedzieć, że w takiej sytuacji każdy postąpiłby tak samo.

Wiedziała, że ma związane ręce. Wiedziała również, że nie minęłoby wiele czasu, gdy ktoś skojarzyłby fakty i ją rozpoznał, jakiś turysta, który widział ich razem, jakiś miejscowy szukający okazji do zarobienia kilku groszy, reporter potrafiący zadać właściwe pytania. Dojście po nitce do kłębka byłoby już tylko kwestią czasu.

Zastanawiała się, czy sprawdzić pocztę, zobaczyć, czy nie przyszedł mail od Grahama, nie była jednak pewna, czy potrafiłaby znieść to, co napisał, albo, co gorsza, przekonać

się, że nie napisał. Oderwała rękę od klawiatury i wyjrzała przez okno. Na horyzoncie pojawiła się kurtyna światła, spleciona ciemniejszymi konturami konarów drzew.

Uzmysłowiła sobie nagle, że jest czwarty lipca, dzień, w którym miała pojechać do ojca. Opadły ją wątpliwości, czy to rzeczywiście taki dobry pomysł. A jeśli w tym czasie media odkryją, kim jest? Ci anonimowi blogerzy i dziennikarze? A jeśli pojawi się pod drzwiami ojca tylko po to, by dowiedzieć się, że dotarły już do niego wieści? I że jest na nią wściekły za wywleczenie historii dawno temu odłożonej do lamusa, która odwróci uwagę od jego programu wyborczego i negatywnie wpłynie na jego następną kampanię?

Ellie z westchnieniem kliknęła przycisk „odśwież” i natychmiast pojawiło się sześć nowych informacji o Grahamie Larkinie. Z trudem przełknęła ślinę i znów wyjrzała za okno, widząc, jak niebo blednie na obrzeżach. W oddali krzyknęło kilka mew, a z korytarza dobiegł pomruk bojlera, znak, że mama odkręciła prysznic.

Jej plan to czyste szaleństwo. Musi znaleźć sposób na pożyczenie auta bez pytania mamy o pozwolenie. Musi się upewnić, że nie zauważą jej nieobecności na festynie. Musi dokładnie dowiedzieć się, gdzie przebywa ojciec, i zebrać się na odwagę, by poprosić go o pieniądze. Musi mieć nadzieję, że ta historia jej nie przestraszy i że po dotarciu na miejsce nie zawiedzie jej nic - ani nogi, ani głos, ani pewność siebie.

A jeżeli myśli o tym poważnie - o wyruszeniu w tę nierozsądną podróż, o podjęciu desperackiej próby odmiany swojego losu - musi zrobić to teraz.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 3 lipca 2013, 23:01

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: Re: (brak tematu)

Nie jest za późno. Ty przyniesiesz krakersy. Ja wezmę sztuczne wąsy.

ROZDZIAŁ. 18

Graham wiedział, że nic nie powinno go zaskoczyć. Kiedy jednak otworzył drzwi hotelowego pokoju i zastał Harry'ego na fotelu pod oknem, odruchowo przyłożył rękę do piersi, jak gdyby chcąc uciszyć wściekły łomot serca.

- Jezu - powiedział na wydechu.

Harry podniósł tylko palec, by zasygnalizować, że rozmawia przez telefon, i posłał aktorowi gniewne spojrzenie. Graham opadł na skraj łóżka, trąc zmęczone oczy wierzchem dłoni.

Niewiele mógł wywnioskować z rozmowy Harry'ego. Gdy ten wreszcie odłożył telefon, obydwaj milczeli. Graham przechylił głowę i spojrzał na swojego menedżera, który zapadł się w fotelu po drugiej stronie morza brudnych skarpetek, porozrzuconych ubrań, kartonów po pizzy i hotelowych tac. Miał potargane przerzedzające się włosy, włożył okulary zamiast, jak zwykle, soczewek kontaktowych. Na stoliku obok leżał laptop, a Graham nie musiał widzieć ekranu, żeby domyślić się, czego Harry szukał, choć aż trudno było dać wiarę, że informacje mogą rozchodzić się w tak błyskawicznym tempie.

Ale miał przed sobą Harry'ego, absolutnie świadomego sytuacji, do której doszło niecałą godzinę wcześniej. A skoro menedżer już wiedział, istniało prawdopodobieństwo, że wie o tym także reszta świata.

- Jak się tu w ogóle dostałeś? - zagadnął Graham.

Harry uszczypnął się w czubek nosa.

- Powiedziałem w recepcji, że prawdopodobnie urwał ci się film.

Chłopak zmarszczył czoło.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie potrafiłem znaleźć innego wytłumaczenia, dlaczego szwendasz się po okolicy i walisz fotografów w pysk

- odparł Harry i choć było widać, że nie mówi tego serio, gdy przeniósł wzrok na Grahama siedzącego po drugiej stronie pokoju, w jego oczach tliła się irytacja z powodu tego, co bez wątpienia nastąpi: burzy, jaka rozpęta się w mediach.

- Wcale nie jestem pijany - powiedział Graham, po czym ruchem głowy wskazał komputer. - Już wypłynęło?

- Jeszcze nie - odparł Harry.

- No to skąd...

- Zadzwoił do mnie Mitchell. Aktor spojrział na niego w osłupieniu.

- Ten asystent, który wiecznie zadaje się z fotografami

- wyjaśnił Harry. - Teraz wszystko rozejdzie się lotem błyskawicy.

W tym momencie zadzwonił telefon. Menedżer zerknął na numer i odłożył aparat. W korytarzu było słycać lokatorów powracających do sąsiedniego pokoju. Wprowadzili się kilka dni temu, a kiedy Graham po raz pierwszy mijał ich w korytarzu, wszyscy przystanęli, choć wcale nie mieli takiego zamiaru. Ojciec oprzytomniał pierwszy, popędzając całą rodzinę naprzód, a jedna z córek, oszołomiona i pełna niedowierzania zasłoniła dłonią usta, powtarzając tylko „o mój Boże, o Boże, o Boże”. Nawet kiedy wpakowali się do windy na końcu

korytarza i zamknęły się za nimi drzwi, Graham wciąż słyszał przenikliwe piski dwóch dziewczyn i nie potrafił powstrzymać śmiechu.

Starał się nie wyobrażać sobie, co o nim pomyślą, kiedy zobaczą jego zdjęcie na pierwszych stronach lokalnych gazet, które zawsze wykładano w holu. Nawet jeśli nie nastąpi to nazajutrz, dzień później mleko z pewnością się rozleje. Fotografia będzie ciemna i ziarnista, umieszczona pod jakimś głupawym i melodramatycznym nagłówkiem w rodzaju: *Pięścią w twarz, podziękujcie Larkinowi*.

- Nie wystarczyło, że rozbiłeś mu aparat? - rzucił pytanie Harry, a Graham z jękiem potrząsnął głową. - Musiałeś mu jeszcze dołożyć?

- Wiem. Ale on mnie prowokował. Oni wszyscy. Praktycznie nas prześladowali.

Menedżer podniósł głowę przy przedostatnim słowie chłopaka.

- Nas? - powiedział z uniesioną brwią. - Niech zgadnę...

- Nie musisz - odparł Graham, patrząc mu prosto w oczy. Harry miał zasępioną twarz i odruchowo drapał się

nad karkiem. Młody aktor niemal widział wysiłek, z jakim stara się on przełknąć cisnące mu się na usta słowa: *A nie mówiłem?*. Zresztą i tak wyrażało to jego spojrzenie, a Graham wiedział, że menedżer ma rację. Powinien był trzymać się z daleka od Ellie. Ale z tych samych powodów nie żałował tego, co zrobił. Nie obchodził go czarny PR. Nie umiał nawet wykrzesać z siebie obawy o reakcję Micka. Potrafił myśleć wyłącznie o dziewczynie. Pragnął jedynie, żeby ona wyszła z tego bez szwanku.

- No to co robimy? - zapytał, pochylając się do przodu. - Da się wszystko zatuszować? Albo odwrócić kota ogonem?

- Staram się - oznajmił Harry. - Gdyby chodziło o same zdjęcia...

Graham nie musiał dopytywać, co ma na myśli.

- Chcesz powiedzieć: gdybym go nie sprął po gębie.

Telefon Harry'ego znów się rozdzwonił. Tym razem odebrał. „Tak”, powiedział i umilkł, słuchając rozmówcy. Graham wstał i poszedł do łazienki, odkręcił zimną wodę i ochlapał twarz, próbując zmyć z siebie wydarzenia wieczoru.

Oparł dłonie na umywalce i przysunął twarz do lustra, zły na siebie, że w ogóle poszedł na tę plażę. Kiedy jednak zauważył swój rysunek oprawiony w ramki na wystawie sklepu matki Ellie, pośród wielu wierszy, coś kazało mu udać się prosto do zatoczki. Ani przez sekundę nie żałował tego, co się tam wydarzyło, wciąż jeszcze czuł miejsce, do którego przytuliła się Ellie, niczym stempel przybity na piersi.

W jasnym świetle łazienki oglądał rękę, swoje kłykcie, które zetknęły się z kością policzkową fotografa, jednocześnie nasłuchując coraz bardziej rozzłoszczonego głosu Harry'ego.

- Już wyciekło - oznajmił chwilę później mężczyzna, stając w drzwiach łazienki. - Wszyscy o tym trąbią.

Graham podniósł wzrok znad strumienia wody, którym polewał obolałą rękę.

- A co z Ellie? - zapytał, starając się panować nad głosem. - Mają wyraźne zdjęcia? Nazwisko?

- Niezidentyfikowana kobieta. Przynajmniej na razie. Chłopak odetchnął.

- Dobrze. Da się na tym poprzestać?

- Zrobię, co mogę.

- Wiem - powiedział, zakręcając kran i biorąc ręcznik. - Wiem też, że źle postąpiłem. To całkowicie moja wina.

- Nie sposób zaprzeczyć - przyznał Harry, lecz gdy opierał się o framugę, w jego spojrzeniu była niecodzienna łagodność.

Powinien być wściekły. Graham widywał, jak wcześniej tracił nad sobą kontrolę z dużo bardziej błahych powodów: mandatu za parkowanie, nieudolnego agenta prasowego, chciwego producenta, a raz nawet z powodu pewnego dziecięcego aktora, który uwielbiał płatać figle.

Do tej pory Grahamowi udawało się unikać większych skandali, toteż Harry miał powody, by w tej chwili zsinieć z wściekłości. To on będzie musiał radzić sobie z prawnikami, błagać fotografa o niewytaczanie procesu. Przez kilka kolejnych dni będzie dogadywał się z pismakami i upierdliwymi reporterami. Będzie przekonywał Micka, że Graham nadal koncentruje się na filmie. Będzie starał się nie dopuścić do wycieku tajemnicy Ellie, zatamować wypływ wszelkich, najdrobniejszych nawet informacji, choć sytuacja była wystarczająco trudna.

I poniekąd dało się to zaobserwować - w zaciśniętych szczękach, drganiu powieki, gniewie kipiącym tuż pod powierzchnią. Jednak była w Harrym także nieznaną dotąd powściągliwość i za to Graham był mu wdzięczny.

- Po prostu powiedz, co mam zrobić - prosił, czując po raz pierwszy od długiego czasu, że łączy ich coś więcej niż interesy, że tworzą zespół.

- Przyłóż lód - poradził Harry, wskazując posiniaczone kłykcie Grahama. -1 pozwól mi się zająć moją robotą.

Telefon w jego ręku zaczął dzwonić po raz kolejny. Menedżer puścił do Grahama oko, zanim przyłożył do ucha aparat, słuchając uważnie i przechodząc do drugiego pokoju. Nie mając nic innego do zrobienia, Graham

chwycił kubek do lodu ze stolika obok szafy i wyszedł na korytarz, opierając się przez chwilę plecami o drzwi.

Wiedział, że są aktorzy nieustannie wywołujący takie skandale i nigdy nie przyszłoby im do głowy, by mieć wyrzuty sumienia z powodu kłopotów, których narobili, albo wstydzić się przed menedżerem, który będzie musiał posprzątać bałagan, nie mówiąc już o martwieniu się o poturbowanego przez nich człowieka. I choć nie było innego sposobu na rozegranie tamtej sytuacji, Graham uderzył kogoś po raz pierwszy w życiu, a towarzyszący ciosowi odgłos - chrzęst kości miażdżącej kość - dźwięczał w jego głowie nawet teraz.

Człapiąc korytarzem, trzymał pusty kubek na lód pod pachą, jakby niósł piłkę. Stanąwszy przed rzędem kostkarek, patrzył, jak kawałki lodu wysypują się z łoskotem w strumieniu lodowatego powietrza, a następnie wsadził do lodu całą pięść, krzywiąc się z zimna.

Po powrocie do pokoju zastał Harry'ego pochylonego nad komputerem. Leżący obok telefon był przełączony na głośnik i Graham usłyszał znajomy głos Rachel, swojej agentki prasowej, recytującej szybko listę nowych źródeł informacji prasowych.

- Wszyscy? - pytał Harry pełnym napięcia głosem.

- W ciągu godziny - mówiła Rachel. - Rozbicie aparatu też raczej nie pomogło.

- Przepraszam - rzekł Graham, opadając na łóżko i niemal słysząc, jak po drugiej stronie linii zmienia się zachowanie agentki, głos zaczyna wibrować nagle jak kamerton.

- Cześć, skarbie - rzuciła. - Nie wiedziałam, że tam jesteś.

- Jestem.

- Co się stało? - spytała z wymuszoną lekkością. - Zwykle jesteś moim najłatwiejszym klientem.

Graham musiał wyglądać na nieprzygotowanego do udzielenia odpowiedzi, ponieważ Harry wkroczył do akcji, nim chłopak zdążył otworzyć usta.

- Oddzwonimy do ciebie, Rach, okej? Informuj nas na bieżąco.

- Okej. Ale starajcie się nie pakować w nowe kłopoty - powiedziała i się rozłączyła.

Harry spojrzał na Grahama.

- Wyglądasz okropnie - stwierdził. - Może weźmiesz prysznic? Zapowiada się długa noc.

Odświeżywszy się, chłopak włożył te same zapiaszczone szorty, które miał na sobie na plaży, i to samo polo w paski, które wciąż pachniało słoną wodą. Gdy wyszedł z łazienki, Harry prowadził już kolejną rozmowę, a Graham padł na łóżko, przysłuchując się, ale czuł, jak zaczynają ciążyć mu powieki. Pomimo rozmaitych odgłosów - wznoszącego się i opadającego tonu głosu Harry'ego, telefonu brzęczącego z przerwami na stole, ciągłego szumu komputera - nie minęło wiele czasu, jak zapadł w kamienny sen.

Gdy się obudził, na dworze było jeszcze ciemno, Harry siedział po drugiej stronie pokoju z komputerem chybotającym się na kolanach i twarzą oświetloną białą poświatą ekranu. Graham całym sobą nie chciał sprawdzić, co się tam znajduje, odkrywać, co wyciągnięto na światło dzienne w ciągu nocy. Nie obchodziło go, co o nim pisali; martwił się jedynie o Ellie.

- Jest coś? - zapytał, siadając i trąc oczy.

Harry drgnął i popatrzył na niego spod zapuchniętych powiek.

- O tobie? Mnóstwo. Chcesz zobaczyć? Graham pokręcił głową.

- A o niej?

- Nadal nic - odparł menedżer ze znużonym uśmiechem. Chłopak poczuł przyływ ulgi.

- Jesteś niesamowity.

- Za to mi płacisz.

- Bez wątplenia - potwierdził aktor.

Następnie wymknął się do łazienki i stanął przed umywalką. W lustrze zobaczył czerwone obwódki oczu oraz cień zarostu na brodzie, co nadawało mu nieco groźny wygląd, jakby rzeczywiście był typem faceta, który krąży po okolicy i nokautuje fotografów. Poczul palącą potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym poszedł na krótki spacer? - zapytał po powrocie do pokoju, a Harry potrząsnął głową, nie odrywając wzroku od komputera.

- Jasne, że nie. Na razie mam wszystko pod kontrolą.

- Świetnie - ucieszył się Graham, biorąc bluzę. - Niedługo wracam.

Zamknął za sobą drzwi z cichym trzaśnięciem, ruszył szybko korytarzem do windy, potem przemknął przez hol i wypadł na zewnątrz, do budzącego się do życia świata, pociętego pomarańczowymi smugami nieba i chłodu poranka. Stanął na chodniku i głęboko wciągnął powietrze, by uspokoić kołaczące serce.

Hotel znajdował się w głębi zielonego terenu w centrum miasteczka i jakby z wyżyn sprawował pieczę nad sklepami oraz portem. Gdy Graham podniósł wzrok, ze zdumieniem dostrzegł, że Henley już tętni życiem. O tej porze spodziewał się ujrzeć kilku rybaków, może parę osób na porannym joggingu, a tymczasem ludzie byli wszędzie, rozstawiali stoły w pobliżu pawilonu parkowego, wyładowywali

skrzynki z samochodów. Kilkoro dzieci o zaspanych oczach kręciło się na trawniku, był pies przywiązany do ulicznej latarni. Po chwili Graham uzmysłowił sobie, że to Bajgiel.

Rozejrzył się za Ellie, czując gwałtowny, niewytłumaczalny przyptyk paniki. Gdyby przeczytał najświeższe doniesienia przed wyjściem z hotelu, może nie czułby się aż tak bezbronny i narażony na krytykę. W tej chwili wydawało mu się, że cały świat z pewnością wie o czymś, o czym nie wie on, i zna wszystkie możliwe szczegóły wydarzeń minionej nocy, jakie zamieszczono w gazetach i wrzucono na błogi.

Po drugiej stronie skweru jakaś kobieta zmagala się z wydymającym się na wietrze obrusem, a jego kolory - intensywna czerwień, biel oraz błękit - nagle przypomniały o czymś Grahamowi.

Był czwarty lipca. Dzień Niepodległości.

Tuż obok przeszła grupka kobiet niosących tace pełne ciasteczek i babeczek, zbyt zajętych, by zwrócić na niego uwagę, gdy stał sparaliżowany niemożnością podjęcia decyzji. Wiedział, że powinien wrócić do hotelu, zasięgnąć języka, co dokładnie wyciekło i w jak wielkie wpakował się tarapaty. Powinien obejrzeć dokładnie zdjęcia, zadzwonić do rodziców, żeby nie byli zaskoczeni newsami - ta myśl napełniała go paraliżującym lękiem - oraz otrzymać od swojej agentki prasowej strategię działania. Powinien wyjaśnić Mickowi, co się stało, przeprosić fotografa, wziąć odpowiedzialność za swoje czyny.

Tymczasem jedyne, czego pragnął, to pobiec w innym kierunku.

Kiedy zobaczył panią O'Neill - stojącą na krześle i przypinającą do pawilonu koniec transparentu - przez jego myśl przemknęło jak błyskawica wspomnienie planów Ellie na ten

dzień i nim zdążył się zastanowić, ruszył przed siebie ulicą. Naciągnął kaptur bluzy, by ukryć twarz, z rękami wciśniętymi w kieszenie mijał przygotowujących się do święta ludzi. Na końcu ulicy skręcił w drogę biegnącą wzdłuż portu, szedł obok łodzi kołyszących się łagodnie na spokojnej wodzie. Złowiono już wszystkie homary na dzisiejszą fetę, zwykle ruchliwe o tej porze nabrzeże świeciło pustkami. Później ludzie bez wątpienia wypłyną z portu, by podziwiać fajerwerki, lecz o tak wczesnej godzinie nawet dobrze znajoma łódź „Na Ryby” sennie cumowała przy nabrzeżu, przechylona na jedną burtę, zwolniona na ten dzień z pracy tak samo jak Graham.

Zanim dotarł do domu Ellie, chłód ulotnił się już z powietrza. Spodziewał się, że dziewczyna albo będzie jeszcze spała, albo zdążyła już wyjechać, albo będzie krzątać się w domu, lecz kiedy skręcił za róg, zaskoczony ujrzał ją w otwartej bramie garażu. Trzymała mały plecak, opierała dłoń o drzwi samochodu, zardzewiałego od soli sedana, który lata świetności z pewnością miał już za sobą.

- Cześć! - zawołał, a Ellie gwałtownie się odwróciła z szeroko otwartymi oczami, miną winowajcy i rumieńcem wstydu wypełzającym na policzki.

Gdy zobaczyła, że to tylko Graham, opuściło ją napięcie i niepewnie się zaśmiała.

- Myślałam, że to mama - powiedziała, otwierając drzwi samochodu i wrzucając do środka plecak.

Miała na sobie dzinsy, fioletową koszulkę bez rękawów i okulary słoneczne wsunięte na włosy oraz tysiąc nowych piegów rozsianych na policzkach po dniu spędzonym na plaży.

- Ciągle mnie z nią myślą - zażartował chłopak, podchodząc i opierając się o bagażnik. - Tak mnie zaszufładowano.

Uśmiechnęła się, lecz szybko spoważniała.

- Widziałeś?

Nie musiał pytać, co ma na myśli.

- Nie - odparł, potrząsając przecząco głową. - Nie potrafiłem się zmusić. Ale Harry mówił, że nie podają twojego nazwiska.

Ellie spuściła wzrok.

- Jeszcze nie, na razie.

Oboje umilkli, po chwili jednak dziewczyna rzuciła:

- Muszę się zbierać. Graham pokiwał głową.

- Jadę z tobą.

Spojrzała na niego surowo.

- Nic z tego.

- O której wyruszamy? - zapytał, jak gdyby nie dosłyszał odmowy, lecz Ellie zmarszczyła tylko czoło i przymrużyła oczy.

- Rozumiem. Rozumiem, że chcesz się stąd dziś wyrwać. Ale wczorajszy wieczór wszystko zmienił. To ważna podróż, a ty z daleka rzucasz się w oczy.

- Przecież ci mówiłem - przypomniał Graham, siląc się na uśmiech. - Włożę przebranie.

Ponownie pokręciła głową.

- Przykro mi.

Gdy odwróciła się i udała do domu, poszedł za nią bez zaproszenia.

- Co według ciebie może się stać? - zapytał znowu. Błyskawicznie zmierzyła chłopaka spojrzeniem zielonych oczu.

- Istnieje milion różnych możliwości. Zatrzymamy się na stacji benzynowej i ktoś cię rozpozna. Wypatrzy cię ja-

kaś dwunastolatka w samochodzie obok i zacznie esemesować do wszystkich swoich znajomych. Pojadą za nami paparazzi na motocyklach. - Przerwała i pokręciła głową. - Znaczą za tobą - sprostowała. - Będą śledzić ciebie na motorach. To wszystko i tak jest trudne, nawet bez Grahama Larkina w charakterze skrzydłowego.

Dotknął go sposób, w jaki wypowiedziała jego imię, jakby był kimś zupełnie obcym, nie zamierzał jednak dawać za wygraną. Znajdowali się teraz w kuchni, Ellie otwierała drzwi lodówki i zaglądała na półki, jakby zapomniała, po co tu przyszła. Podszedł do niej, czując na nogach powiew chłodu.

- Muszę zrobić to sama - oznajmiła cicho.

Graham widział piegi, którymi była upstrzona jej jasna skóra na ramieniu, czuł zapach szamponu na rudych włosach - świeży, jakby lawendowy. Głośno przełknął ślinę, ale nie powiedział nic.

- Zanadto rzucasz się w oczy - powtórzyła po chwili milczenia, lecz tym razem w głosie brzmiało wahanie i Graham podszedł krok bliżej.

- Więc nie jedźmy samochodem - zaproponował, a w jego głowie krystalizował się pewien pomysł.

Obróciła się leciutko, stając bokiem między Grahamem a drzwiami.

- W takim razie czym? - zapytała. Graham się uśmiechnął i radośnie oznajmił:

- Popłyniemy łodzią.

Od: EONeill22@hotmail.com

Wysłane: czwartek, 4 lipca 2013, 7:18

Do: GDL824@yahoo.com **Temat:** (brak tematu)

Będę kilka minut spóźniona, ale spotkamy się na miejscu.
Przypuszczam, że rozpoznam cię po wąsach...

ROZDZIAŁ 19

Umówili się w porcie za godzinę.

Graham udał się do centrum po kilka rzeczy, między innymi po kluczyki do łodzi, znajdujące się w przyczepie rekwizytorów. W tym czasie Ellie szperała w Internecie, usiłując wytyczyć kurs z Henley do Kennebunkport. Z jej obliczeń wynikało, że jeśli narzucą dobre tempo, mogą dotrzeć na miejsce w nieco ponad dwie godziny. Nie było jeszcze siódmej, więc nawet gdyby dość wcześnie podano wiadomości, i tak powinni zdążyć dać nogę, zanim zrobi się gorąco.

Niebo zapowiadało idealny letni dzień, szeroko rozlana, nieruchoma tafla wody rozpościerała się niczym błękitny kobierzec. Idąc w stronę miasta z ciężącym na ramionach plecakiem, Ellie wyliczała zalety nowego planu w taki sam sposób, w jaki mogłaby kalkulować korzyści płynące z dodatkowego łoda (wapń) lub kilku dodatkowych minut snu (energia). Mogła znaleźć dziesiątki różnych uzasadnień dla wypożyczenia łodzi, głównym wszak było ominięcie największej przeszkody wcześniejszego pomysłu, czyli konieczności pożyczenia od mamy samochodu. Wciąż szukała rozwiązania tego konkretnego problemu, gdy zjawił się Graham, wcielenie pewności siebie oraz sztuki perswazji, i dała się ponieść jego wizji.

W gruncie rzeczy sposób dostania się na miejsce był nieistotny: samochodem, łodzią czy też balonem wypełnionym gorącym powietrzem. Bez względu na to, jak Ellie tam dotrze, finał będzie wyglądał tak samo: stanie z ojcem twarzą w twarz. Myśl o chwili, w której on stara się sobie uświadomić, kto przed nim stoi - konsternacja w oczach albo coś gorszego, jeszcze bardziej lekceważącego, irytacja - była zbyt bolesna, by ją roztrząsać.

Powód eskapady był prosty: zamierzała poprosić ojca o pieniądze. Jednak wiedziała, że w istocie sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana.

Bliżej centrum miasteczka droga oddalała się od drzew, schodziła niżej, skręcała ku wodzie. Tam, gdzie zwykle powietrze wypełniały odgłosy łodzi - głębokie bicie dzwonów i ryk syren - teraz słychać było tylko fałszywe nuty orkiestry ustawiającej się na skwerze. W oddali Ellie widziała rozmazane plamy czerwieni, bieli i błękitu, mozaikę straganów z jedzeniem, muzyki i zabaw, które urozmaicały obchody. Liczyła na to, że cały ten harmider odwróci uwagę mamy, która bez wątpienia zda sobie w którymś momencie sprawę, że nie widziała córki przez cały dzień.

Gdy dziewczyna wkroczyła na promenadę, szybkim krokiem mijając zamknięty na głucho sklep wędkarski, wyciągnęła szyję, chcąc dojrzeć, czy Graham jest już na łodzi. Na czas trwania zdjęć ekipa filmowa otrzymała prawo pierwszeństwa przy wychodzeniu z portu i Ellie wiedziała, że najtrudniej będzie wymknąć się niepostrzeżenie. Wszyscy będą w centrum, ale już wkrótce niektórzy zaczną przenosić się na włas-

ne łodzie. To dzień przeznaczony na żeglowanie i popijanie, dryfowanie na wodzie w palącym słońcu, póki niebo nie wywróci się na ciemną stronę, a wystrzelone fajerwerki nie rozmażą się po całym firmamencie. Na razie pocieszała się myślą, że nawet jeśli ktoś ich zauważy, nigdy nie odgadnie, jaki uknuli plan; martwiła się tylko mamą.

W pobliżu strzeżonego wejścia do portu zaskoczona Ellie ujrzała nadchodzącą z naprzeciwka Quinn. Spotkanie z przyjaciółką akurat w tym momencie mogło zbić z tropu, nie potrafiła zatem oprzeć się wrażeniu, że jest na nie nieprzygotowana. Znajdowały się od siebie na tyle daleko, że mogła udawać, iż jej nie widzi. Kiedy jednak spotkały się ich spojrzenia, Ellie zauważyła, jak Quinn ledwo dostrzegalnie zwalnia kroku, jak delikatnie traci rozpęd, posłała jej więc uśmiech. Quinn zatrzymała się niechętnie w odległości paru metrów, przyglądały się sobie z dwóch przeciwnych stron rabaty żółtych kwiatów, która oddzielała promenadę od biegnącej równoległe ulicy.

- Cześć - rzuciła Ellie, a Quinn zdobyła się na uprzejmy uśmiech.

Miała na sobie niebieską koszulkę firmową Sprinkles, Ellie już po chwili ją rozpoznała.

- Wywabiłaś plamę - stwierdziła z szerokim uśmiechem, a wtedy w oczach Quinn błysnęła jakaś żywa iskierka zamiast widocznej wcześniej rezerwy.

- Idealnie nie jest - odparła, ciągnąc za rąbek koszulki, by skontrolować jej stan. - Ale inne były brudne. - Gdy znów podniosła wzrok, wydawała się ważyć coś w myślach. - Muszę oddać ci twoją.

- Zatrzymaj ją - powiedziała Ellie serdecznie. - Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić jako twoja stylistka.

- Tamtego dnia wybuchło straszne zamieszanie - zaczęła Quinn, Ellie zaś wiedziała, że nie odnosi się tylko do wypadku z koktajlem.

Chodziło o całokształt, mówiła o wszystkim, co się wydarzyło, od kiedy do miasteczka zawitały przyczepy filmowców.

- Posłuchaj... - wtrąciła Ellie, lecz Quinn jej przerwała.

- Będziesz później na festynie? - spytała beztrąsko. Chodziły tam razem od dzieciństwa, rok po roku biegały

po skwerze z babeczką w jednej ręce i zimnymi ogniami w drugiej. Kiedy miały dziesięć lat, zwędziły całe pudełko petard i wymknęły się na plażę późnym wieczorem, odpalając jedną po drugiej, co od tamtej pory stało się tradycją. Z powodu wszystkiego, co zaszło tego lata, Ellie przypuszczała, że ten rok położy kres temu zwyczajowi. Widząc jednak, jak Quinn na nią patrzy, poczuła, że pewność ją opuszcza. Zerknęła w stronę łódek.

- Nie wiem - przyznała cicho, zaskoczona odkryciem, że ma ściśnięte gardło.

Żałowała, że nie może powiedzieć Quinn, dokąd się wybiera. Zawsze przeżywały wszystko razem - każdą przygodę i każdą wyprawę - a teraz dzieliła je przepaść. Starła się nie myśleć o tym, co je ominęło, o wszystkich drobnostkach i ważniejszych momentach zwrotnych, które zdarzyły się w ciągu ostatnich kilku tygodni i o których nawzajem nie wiedziały.

Quinn zmarszczyła czoło.

- Jak to nie wiesz?

- Mam coś do załatwienia - wyjaśniła, co było najbliższe prawdy, na jaką potrafiła się zdobyć. - Ale mam nadzieję, że zdążę wrócić na czas.

Kątem oka widziała Grahama nadchodzącego z przeciwnej strony. Odetchnęła z ulgą, gdy skręcił prosto na nabrzeże. Znow spojrzała na Quinn.

- A ty będziesz? Pokiwała głową.

- Z Devonem?

- Oczywiście - odparła Quinn szorstkim tonem, lecz zaraz potem się zmytygowała, zawahała i przechyliła głowę. - A Graham?

- Nie wiem - wyznała szczerze Ellie. Przyjaciółka wyglądała na zamyśloną, rysy jej twarzy

były pozbawione ostrości, która ostatnio zawsze towarzyszyła ich spotkaniom.

- Może uda nam się spotkać.

- Mam nadzieję - powiedziała Ellie, starając się nie dać po sobie poznać ekscytacji.

Ogarnęła ją jednak zniecierpliwiona przemożna chęć powrotu do poprzedniego stanu rzeczy. Zapragnęła stać na plaży i patrzeć, jak w ciemności wirują petardy. I chciała, żeby Quinn była obok. Niezupełnie ta Quinn, lecz ta dawna. Jej najlepsza przyjaciółka.

- Spóźnię się - zauważyła ona, a w uszach Ellie te słowa zabrzmiały jak bolesna odprawa. - Muszę lecieć.

- Okej. Naprawdę fajnie było cię zobaczyć.

Wyraz twarzy przyjaciółki był trudny do odczytania. Długo zwlekała z odpowiedzią, tak długo, że Ellie była pewna, iż Quinn nie powie już ani słowa.

- Twój e-mail... - przemówiła wreszcie. - Nie miałam okazji odpisać...

- Nie ma sprawy - wtrąciła szybko Ellie.

Quinn znów wahała się dłuższą chwilę, nim pokiwała głową i spoglądając łagodnie, zawołała jak dawniej:

- Zanosz się na upał. Nie zapomnij o kremie z filtrem. Ellie się uśmiechnęła.

- Nie zapomnę - zapewniła, a w głębi serca pomyślała: *Witaj z powrotem.*

Zmierzając w stronę portowej bramy, poczuła dziwną pogodę ducha, lekkość, która niosła ją ku łodzi. Krzyki mew brzmiały wesoło na tle monotonnego szumu fal, cały świat zdawał się błyszczeć w słońcu. Poranek przypominał misę czekającą na wypełnienie różnymi składnikami; wyczuwało się w nim jakiś potencjał, obietnicę.

Gdy pchnęła bramę prowadzącą na nabrzeże, ujrzała Grahama czekającego przy łodzi. Wyglądał nieznośnie przystojnie nawet w pomiętych ubraniach z poprzedniego dnia. Szukała na jego twarzy wyrazu zafrasowania po ewentualnej rozmowie z Harrym, próbując ocenić, czy cokolwiek się zmieniło, ale nie dostrzegła nic poza tym samym co zwykle uśmiechem, uśmiechem, który wydawał się zarezerwowany tylko dla niej.

- Ahoj! - zawołał, wznosząc rękę na powitanie. - Gotowa do postawienia żagli?!

- Nie mieli nic przeciwko pożyczeniu łodzi? - zapytała Ellie, gdy pomagał jej wejść na pokład.

Przeskoczyła szczelinę między sterburtą a nabrzeżem, lądując niepewnie na deskach. Łódź była dużo większa, niż wydawała się z daleka, jak również starsza - nie sztucznie postarzana, jak wcześniej sądziła, lecz rzeczy-

wiecie stara. Poniekąd spodziewała się, że okaże się atrapą, filmowym rekwizytem zamiast prawdziwą, sprawną łodzią do połowu homarów, tymczasem poza kilkoma przymocowanymi do burt metalowymi uchwyty, które służyły osadzeniu i ustabilizowaniu kamer podczas filmowania, nie zdradzała żadnych szczegółów świadczących, że korzysta z niej ekipa filmowa.

- Absolutnie nie - odparł beztrąsko i wszedł za nią na pokład.

Woda była spokojna, lecz Ellie czuła kołysanie pod stopami i przytrzymała się ramienia Grahama, rzucając plecak na drewnianą ławkę przy lewej burcie. Z przodu była mała kabina z szybą i staroświeckie koło sterowe. Z tyłu kilka pustych pułapek na homary stukających o siebie nawzajem oraz kilka czerwonych boi, które przetaczały się raz w jedną, raz w drugą stronę zgodnie z ruchem fal.

Ellie przestąpiła przez jedną z wielu lin, które leżały w ciasnych zwojach w rozmaitych miejscach pokładu. Ze wzgórza niosły się po wodzie dźwięki orkiestry. Będą grali cały dzień, a jeśli uda się jej wpaść tam późniejszym popołudniem albo nawet wieczorem, muzycy wciąż z taką samą energią będą wygrywali swoje kawałki, głośne, z dużą sekcją instrumentów dętych, patriotyczne, idealne na odprawę przed morską podróżą.

- Gotowy do startu? - zapytała Grahama sprawdzającego rozmaite zegary przy sterze.

Łańcuszek do kluczy, który zwisał mu z dłoni, miał doczepiony gąbczasty pływak na wypadek, gdyby wypadł za burtę.

- Tak jest - zameldował, podając jej klucz.

Zdziwiona Ellie tylko wlepiała w chłopaka wzrok.

- Sądziłam, że ty sterujesz.

- Co? - Graham był równie zaskoczony.

Ruchem głowy wskazała klucz, który dyndał między nimi.

- Nie stajesz za sterem? To był twój pomysł. Potrząsnął głową.

- Przecież to łódź do połowu homarów - wyjaśnił, a ponieważ Ellie nie zareagowała, otworzył szeroko oczy, jakby sprawa była oczywista.

- To ty jesteś z Maine.

- Więc tak po prostu założyłeś, że potrafisz prowadzić łódź na homary?

- No tak. A nie potrafisz?

- Czy ja wyglądam na poławiacza skorupiaków? - spytała z marsem na czole. - Sądziłam, że ty wiesz, jak to się robi. Widziałam cię któregoś dnia przy sterze.

Spojrzał na nią w osłupieniu.

- Kiedy?

- Kiedy kręciliście zdjęcia.

- To film - jęknął Graham. - Ja tylko grałem. Ellie westchnęła głośno.

- To dlaczego pożyczili ci łódź, skoro nie umiesz nią pływać?

- Nie mówiłem, że mi pożyczyci.

Minęła chwila, zanim dotarł do niej sens tych słów, a kiedy wreszcie zrozumiała, szturchnęła chłopaka w ramię.

- Żartujesz sobie ze mnie? Ukradłeś kluczyki?

- Mówiłem ci - wyjaśnił, rozcierając obolałe miejsce. - Nie będą mieli nam za złe, jeśli ją sobie pożyczymy.

Dziewczyna otworzyła usta i na powrót je zamknęła. Odwróciła się i przeszła na drugi koniec pokładu, spoglą-

dając w górę na miasteczko, usiłując rozstrzygnąć, czy nie jest za późno na wzięcie samochodu mamy.

Stała tam nadal, gdy Graham zjawił się przy jej boku.

- Nie martw się - próbował ją pocieszać. - Co nieco potrafię.

- Skąd? - spytała Ellie, nie patrząc na niego.

- Kazali mi wziąć kilka lekcji przed rozpoczęciem zdjęć. Te umiejętności wystarczą, żeby popłynąć tam i z powrotem. Po prostu myślałem, że ty znasz się na tym dużo lepiej.

Zwróciła ku niemu twarz.

- Dlatego, że jestem z Maine.

- Dlatego, że jesteś z Maine - przyznał już spokojnie Graham.

- Wielokrotnie prowadziłam motorówkę Quinn - rzekła. - Ale ta wygląda zupełnie inaczej.

- Jakoś to wykombinujemy. Wspólnymi siłami.

- Wspólnymi siłami? - powtórzyła, a on uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- No, głównie twoimi.

Wyciągnęła do niego rękę, a Graham wrzucił do niej kluczyki.

- W takim razie całkiem nieźle wtedy grałeś - powiedziała - bo wyglądałeś jak prawdziwy wilk morski.

- A więc nie masz się czego obawiać - podsumował i zaprowadził ją na dziób łodzi. - Gdybyś oglądała inne moje filmy, wiedziałabyś, że jestem także czarodziejem.

O-o. Co?

Zapomniałem telefonu.

No i? - Nie zrozumiała.

Jak mam wysłać do ciebie e-mail?

Chyba będziemy musieli porozmawiać.

ROZDZIAŁ 20

Gdy wypłynęli z portu - przez niebezpieczny labirynt boi i doków - z Grahama opadło napięcie. Przed nimi rozciągał się otwarty ocean, zielonkawoniebieskie fale z białymi grzywami, niczym gigantyczny cukierek oproszony cukrem pudrem, oraz cienka linia, gdzie nieco bledsze niebo stykało się z ciemniejszym oceanem w doskonałej symetrii. Wszystko migotało w promieniach słońca. Chłopak zamknął oczy przed wiatrem i wodą bryzgającą po obu burtach tnącej wodę łodzi.

Ellie stała obok niego z jedną ręką na kole sterowym, poruszając nim raz po raz, minimalnie korygując kurs, czego zupełnie nie odczuwało się na mknącym naprzód stateczku, który zostawiał za sobą smugę białej piany. Z początku nie rozmawiali, wiatr zbyt głośno szumiał w uszach. Ale nawet bez słów mieli poczucie współuczestnictwa, dominujące nad całą resztą wrażeń. Dokonali wspólnej ucieczki.

- Widzisz? - Graham przekrzykiwał wiatr, a Ellie skłoniła głowę w jego stronę. - Jesteś profesjonalistką.

Wzruszyła ramionami.

- Okazuje się, że ta łajba nie różni się wiele od motorówki. Gdy był na łodzi poprzednim razem, miejsce u jego

boku zajmowała Olivia, która z naburmuszoną miną strząsała między ujęciami kropelki wody z twarzy. Zosta-

ły im jeszcze tylko dwa dni zdjęciowe, Graham wiedział, że Olivia już nie może się doczekać powrotu do LA. Dla niej była to jedynie krótka i niepożądana przerwa w normalnym życiu, które składało się z sesji zdjęciowych i eleganckich przyjęć, manikiurów i spotkań.

Teraz, gdy wróciła do niego Ellie, Graham z głębokim lękiem myślał o zbliżającym się ostatnim dniu pracy. Będzie mu brakowało widoku kutrów rybackich opuszczających port o świcie, słońca wschodzącego nad błoniami, szumu fal, który towarzyszył mu na każdym kroku. I oczywiście będzie tęsknił za Ellie. Nie był gotów na pożegnanie, a myśl o tej chwili odganiał od siebie niemal nieustannie.

- Mogę spróbować? - poprosił.

Ellie odsunęła się na bok, przytrzymując delikatnie ster dwoma palcami, póki nie upewniła się, że faktycznie go przejął. Wyglądał przez szybę, obserwując dziób łodzi kołyszący się jak fotel bujany.

- Urodzony z ciebie sternik - pochwaliła i ku zaskoczeniu Grahama oparła się o niego, przytuliła do wolnego ramienia, którym otoczył jej plecy.

Był zakłopotany, czując się taki wysoki, taki dorosły, z jedną ręką na kole sterowym i dziewczyną u boku. Wyprostował się, podniósł brodę i odetchnął szczęśliwy.

- Zdaje się, że odkryłem moje nowe powołanie - powiedział, a Ellie roześmiała się na te słowa i wyśliznęła z jego objęć, zwinna jak jaszczurka.

Wyciągnęła z plecaka butelkę wody, wypila łyk i podała ją Grahamowi, lecz ten odmówił.

- Czuję się jak Ahab - oznajmił. - W drodze na kolejną wyprawę.

- Miejmy nadzieję, że tym razem bardziej udaną.

- Z pewnością - zapowiedział.

- A jeśli okaże się inaczej, przynajmniej znaleźliśmy dla ciebie awaryjny zawód, dodatek do aktorstwa - droczyła się. - Żeglarz siedmiu mórz.

- To nie najgorszy pomysł. Na pewno bije na głowę LA. Usiadła na ławce, która biegła przez całą długość obu burt i gdzie przechowywało się sieci, boje oraz osprzęt.

- No nie wiem - odparła. - Cyrkowcy pewnie też nie uważają miasteczek, w których występują, za nudne.

- Chcesz powiedzieć, że jestem cyrkowcem? Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Klaunem - to na pewno.

- Dzięki - rzucił ze śmiechem, spoglądając w kierunku lądu, gdzie na skalistym wybrzeżu przycupnęły ogromne domy.

Minęli jakiś jacht, para na pokładzie pomachała im na powitanie. Graham podniósł w odpowiedzi rękę.

- To tylko pogorszy sprawę, prawda? - odezwała się zniecierpliwiona Ellie, a Graham zwrócił ku niej twarz. - Zabranie łodzi bez pytania.

- Być może - przyznał, wzruszając ramionami. - Ale przecież nie przemycamy narkotyków ani nic takiego.

Zerknęła na niego z ukosa.

- Czekolada się liczy?

- Nie, z pewnością jest dozwolona.

- To dobrze - rzekła, wyjmując z plecaka torebkę czekoladowych cukierków i rzucając w jego kierunku.

Złapał paczkę jedną ręką i przytrzymał koło sterowe przedramieniem, sięgając po słodycze. Czekolada zmiękła na słońcu i rozpływała się na języku. Poczul, jak w żołądku rozchodzi się ciepło, i pożałował, że nie mogą

zostać tam na cały dzień. Pamiętał jednak, że wyruszyli z misją, co było widoczne w każdym ruchu Ellie, w jej wielkiej determinacji.

- Denerwujesz się? - zapytał, podając dziewczynie torebkę. - Spotkaniem z ojcem?

Kiwnęła głową, zacisnąwszy mocno usta.

- Opracowałaś plan?

Tym razem nie odpowiedziała. Graham zastanawiał się, czy słów nie porwał wiatr, ponieważ odniósł wrażenie, że w ogóle go nie słyszała. Lecz po chwili nasunęła okulary słoneczne na głowę, tak że znów ujrzał jej zielone oczy, wpatrujące się w jego twarz z taką intensywnością, że serce podskoczyło mu niczym dziób statku na falach.

- Pamiętasz o kursie poezji? - spytała, lecz nie czekała na odpowiedź.

- Bardzo trudno się tam dostać. A ja naprawdę chciałabym pojechać.

Ściągnął brwi.

- Sądziłem, że się tam wybierasz.

- Wybieram - Ellie potwierdziła nieco zbyt zapalczywie. - Ale wciąż brakuje mi forsy. A stypendiów nie przyznają.

Graham wstrzymał oddech, czekając na dalszy ciąg wywodu, gryząc się w język, by nie zadać pytania, które cisnęło się na usta, pomimo iż czuł, że to nie jest odpowiedni moment. Ta chwila była krucha, mogła łatwo prysnąć, dlatego milczał.

- Mam zamiar poprosić go o pomoc - wyrzuciła z siebie z impetem. - Nie mogę prosić mamy o tak dużą kwotę, a jemu przecież nie zabraknie.

- Ile... - zaczął, nie potrafiąc się opanować, ale Ellie natychmiast weszła Grahamowi w słowo, jakby wcale go nie słyszała.

- I mam wrażenie, że przynajmniej tyle jest mi winien
- ciągnęła, dłubiąc paznokciem w wyłobieniu deski.
- Minęło tyle lat, i nic. W dodatku nie zamierzam trwonić tych pieniędzy na coś zwariowanego czy lekkomyślnego, jak na przykład samochód albo tatuaż.

Graham kiwnął głową.

- To prawda.

- Potrzebuję ich przecież na szkołę. Na kurs na Harvardzie.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi odchrząknął i zapytał:

- Ile jeszcze ci brakuje? Spojrzała mu niepewnie w oczy.

- Tysiąc dolarów - rzekła tak cicho, że jej słowa niemal zagłuszył wiatr i znów pochyliła głowę nad deską.

Tysiąc dolarów, myślał Graham, zawstydzony, jak niewielka wydaje mu się ta kwota. Przypomniały mu się pieniądze, za które rodzice posłali go do prywatnej szkoły. Jaka była to wtedy dla niego astronomiczna suma, jak wiele kosztowała ich ta decyzja. Teraz realia się zmieniły. *Tysiąc dolarów*. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu zapłacił przedsiębiorcy budowlanemu niemal dwa razy tyle za postawienie w pralni domowej zagrody dla Wilbura. Widział, jak inni aktorzy wydają takie sumy na uroczysty posiłek w restauracji, i był pewien, że liczne torebki porozrzucane po przyczepie Olivii mieściły razem przynajmniej tyle pieniędzy, a prawdopodobnie i więcej.

Spojrzał na zaokrąglone plecy siedzącej na ławce Ellie. Dla niej tysiąc dolarów było najwyraźniej przeszkodą nie do pokonania, na tyle wielką, że skłoniła ją do wyprawy skradzioną łodzią w celu odszukania ojca, z którym przez lata nie miała kontaktu. Jakże łatwo byłoby wypii--

sać czek, wręczyć jej gruby plik banknotów albo zrobić niespodziankę i przesłać wpłatę na Uniwersytet Harvarda, nie mówiąc jej o tym ani słowa. Ale życie to nie kino, znał Ellie wystarczająco dobrze, by domyślać się, że nie uznałaby go za bohatera i nie zarzuciłaby mu z wdzięczności ramion na szyję. Miała w sobie jakąś kruchą dumę, która przenigdy nie pozwoliłaby jej przyjąć tego rodzaju prezentu. Tę sprawę musiała załatwić sama.

- A jeśli... - zaczął, zwrócony przodem do steru.

- A jeśli odmówi?

Za jego plecami Ellie wyciągnęła rękę za burtę, mocząc w wodzie koniuszki palców.

- Wtedy nie pojedę - oznajmiła matowym głosem.

- Ale jak mógłby odmówić?

Graham nie powiedział tego na głos - oboje to przemilczeli - ale obawiał się, że ojciec odmówiłby niemal na pewno, gdyby za sprawą epizodu z poprzedniego wieczoru jego nazwisko trafiło do rubryk towarzyskich akurat w czasie, gdy rozkręcał akcję zbierania funduszy na kampanię. Graham zdał sobie właśnie sprawę, dlaczego dziewczyna tak spieszyła się z wyjazdem. Starła się wyprzedzić medialne wiadomości.

Wstała i podeszła do niego niepostrzeżenie, by przejąć ster. Usunął się, nie chcąc przeszkadzać w nawigacji. Ellie wrzuciła wyższy bieg, dziób łodzi poderwał się ponad taflę wody, rufa z silnikiem obniżyła się i zaczęli nabierać prędkości.

Wychyliwszy się za burtę, Graham dostrzegł cienie ryb pod taflą wody. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, mógłby siedzieć tu teraz z własnym ojcem, zarzucić wędki i czekać w niewymuszonym milczeniu, aż coś złapie się na przynętę.

Linia brzegowa była tutaj surowsza, mającące wcześniej w oddali posiadłości ustąpiły miejsca skromnym chatom rybackim, a Graham pomyślał o wszystkich ojcach z synami, którzy w tej chwili pakują sprzęt wędkarski, gotowi spędzić wolny dzień w ustronnym miejscu. Rozrzucone na brzegu domy wyglądały tak sielsko, tak zacisznie. Jakże miło byłoby mieć tam swoje lokum - nic wymyślnego, zwykłą chatę nad wodą, miejsce, które mógłby odwiedzać, kiedy zmęczyłby go sztuczny pejzaż Los Angeles, i zachować dla siebie ten zakątek świata, nawet gdy już stąd wyjedzie.

- Hej! - krzyknął, obracając się do Ellie i pokazując łąd. - Wiesz, co to za miasteczko?

Ellie spojrzała we wskazanym kierunku, a następnie potrząsnęła głową.

- A bo co?

- Przyjemnie wygląda, po prostu.

- Sprawdź - zasugerowała.

Graham zaczął szukać telefonu w kieszeni, ale po chwili przypomniał sobie, że zostawił go w hotelu. Nie uczynił tego celowo, zdał sobie sprawę z jego braku, gdy już sunęli po wodzie, był to wszak nie najgorszy moment, by zerwać się z łańcucha i uciec przed resztą świata. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać, ani z Harrym, ani z Rachel, ani z Mickiem czy jakąkolwiek inną osobą. Myślał, że brak telefonu może go zestresować, tymczasem jedyne, co czuł, to wolność.

- Zapomniałem telefonu, nie pamiętasz? Mogę pożyczyć twój?

Aparat leżał na zegarach przed Ellie, trąciła go łokciem w jego kierunku. Wybrał funkcję mapy, czekając, aż radar zarejestruje ich położenie w powolnym tańcu pikseli,

układających się na ekranie. Wiatr zdmuchnął mu włosy z czoła, Graham zmrużył oczy, spoglądając na kościelną wieżę, która sterczała spomiędzy drzew porastających wybrzeże, zaś myśl o przyszłym domu w Maine zaczynała krystalizować się i krzepnąć.

Właśnie miał zwierzyć się Ellie ze swego pomysłu, gdy przecięli kilwater pozostawiony przez inną łódź, ich łajba zaczęła podrygiwać jak kamyk, którym puszcza się kaczki na wodzie, telefon w zwolnionym tempie wyśliznął mu się z rąk, koziółkował i prawie bezgłośnie wylądował w wodzie. Powierzchnia oceanu była tak spieniona, że nie dostrzegł na niej żadnych kręgów, w mgnieniu oka zostawili to miejsce w tyle, a mały prostokąt metalu prawdopodobnie znajdował się już w połowie drogi na piaszczyste dno.

- Rany! - zawołał stojący tyłem do Ellie Graham.

- Co? - spytała zza jego pleców.

- Twój telefon...

- Nawet nie mów.

- Obawiam się, że pływa z rybkami - oznajmił, podchodząc do niej z wystarczająco skruszoną jego zdaniem miną. - Bardzo przepraszam. Wysunął mi się z rąk.

Jęknęła głośno.

- Kupię ci nowy. Nie martw się.

- W tej chwili to marne pocieszenie. Używałam go do nawigacji.

Spojrzał przed siebie z dziobu łodzi. W oddali widział kilka jachtów oraz motorówkę ciągnącą narciarza wodnego, a na lewo bliżej brzegu przystanie upstrzone bojami z czapami w postaci odpoczywających mew. Miasteczko, do którego tak bardzo pragnął się przeprowadzić jesz-

cze chwilę temu, zostało daleko w tyle, całkowicie znikło z pola widzenia.

- Zobaczymy je stąd, prawda? Ellie wzruszyła ramionami.
- To nie stacja kolejowa. Nie ma tablic z nazwami. Nie bardzo wiem, jak się zorientujemy, która miejscowość jest tą właściwą.
- Na pewno będzie tam skupisko okazałych domów.
- Tak przypuszczam - odparła, ale kąciki ust miała opuszczone, a oczy zdradzały niepokój.
- Zawsze możemy kogoś zapytać.
- Jak? Puszczając sygnały dymne?
- Pomachamy do nich.

Ellie z westchnieniem sprawdziła godzinę.

- Jest dopiero jedenasta. I tak pewnie mamy jeszcze kawałek drogi.
- Okej. W takim razie będziemy wypatrywać portu - zapowiedział.
- Okej - powtórzyła dziewczyna.

W górze krzyczała mewa. Graham zadarł wysoko głowę i obserwował ptaka, zastanawiając się, jak wyglądają z jego perspektywy te dziesiątki łodzi rozrzuconych szeroko na wodzie niczym zwierciadlane odbicie rozsianych po całym niebie ptaków. A w środku tego wszystkiego ich łajba „Na Ryby” sunąca niezłomnie obok szeregu identycznych miasteczek, unosząca ich coraz dalej, pozostawiająca za sobą pianisty ślad, niczym okruchy chleba, które pomogą odnaleźć drogę powrotną do domu.

Znasz jakieś fajne kawały żeglarskie?

Znam jeden o rybitwach. Niech będzie.

Dlaczego rybitwy biją się o ryby?

Dlaczego?

Bo gdyby biły się o krewetki, byłyby krewbitwami.

ROZDZIAŁ 21

Słońce śledziło ich niczym punktowy reflektor, sprawiało, że cały świat lśnił w jego intensywnym blasku. Ellie czuła ciepło na ramionach i na karku, na koniuszku nosa i jasnym przedziałku na czubku głowy odznaczającym się wyraźnie na tle rudych włosów. Minęło już ponad dwie godziny, a oni nadal płynęli.

Graham podrapał się w czoło, które zaczynało go piec. Zapomniał wcześniej o kremie z filtrem, a teraz zabrakło im też wody. Od czasu do czasu redukowali bieg, zwalniając łódź na tyle, by pomachać do przepływających obok ludzi i wykrzyknąć pytanie przez dzielącą ich połąć błękitu. Czasem odkrzykiwano odpowiedź - *jeszcze najwyżej pół godziny* albo *za nie więcej niż cztery miasteczka* - ale bywało i tak, że reagowano jedynie skonsternowanym spojrzeniem albo bezradnym wzruszeniem ramion.

Ellie starała się zdławić niepokój, który wzbierał w niej i opadał niczym czasza spadochronu. Chciała znaleźć się z powrotem w Henley, sączyć różową lemoniadę z plastikowych kubków w amerykańskie flagi. Jeśli jednak w ogóle zamierzała zrealizować swój plan (w zasadzie nie miała wyjścia), nie tylko ze względu na pieniądze, ale także z innych powodów, ze względu na wszystko, co pozostało przemilczane przez tyle lat - należało uczynić to teraz.

Usłyszała za plecami postukiwanie, odwróciła się i ujrzała Grahama z jedną ręką na sterze. Ściągnąwszy brwi, patrzył na małe zegary, których pełno było na desce rozdzielczej, i na oczach Ellie ponownie zabębnił palcem w jeden z nich. Poczwała pod stopami, jak coś w głębi łodzi jęknęło w proteście, gdy zwolnili.

- Co się dzieje? - zapytała, podchodząc i stając obok.

Położyła rękę na dźwigni gazu i pchnęła ją w przód, jednak zamiast oczekiwanego przyspieszenia silnik zaczął cicho się dławić, alarmująco terkotać, po czym całkowicie zgasł. Igła na zegarze, który Graham tak uważnie obserwował - i który, jak właśnie uzmysłowiła sobie Ellie, niestety za późno, był wskaźnikiem paliwa - spadła nieodwracalnie do zera.

Graham obejrzał się na Ellie, układając usta w zdziwione „o”, ona zaś poczuła przez krótki, ulotny moment, jak ściska się jej gardło. Oczy piekły ją od soli, zaczynało boleć oparzenie słoneczne, skórę miała tak rozpaloną, że aż wstrząsały nią dreszcze. Oto dryfowali wzdłuż wybrzeża bez kropli paliwa w skradzionej łodzi. Uciekli przed reporterami, fotografami oraz konsekwencjami swoich czynów. Zostawili za sobą mamę Ellie, menedżera Grahama oraz koszmarnie wspomnienie minionego wieczoru. Z kolei to, co ich czekało, było niewiele lepsze, w dodatku utknęli gdzieś między jednym a drugim, a beznadziejność sytuacji wyciskała z oczu piekące łzy.

Czuła, że Graham oczekuje na jej reakcję, znieruchomiały niczym jeleń zaplątany w sidła.

Kiedy wreszcie zebrała dość sił, by na niego spojrzeć, ze zdumieniem stwierdziła, że Graham próbuje powstrzymać się od śmiechu.

- To nie jest zabawne - rzuciła Ellie.

Chłopak starał się zapanować nad twarzą, ale nie dał rady i parsknął śmiechem. Wyglądał w tym momencie jak prawdziwa gwiazda filmowa: miał oczy tak niebieskie jak otaczająca ich woda, głowę w aureoli słońca, cała jego postać migotała i rozmazywała się jak wszystko dookoła. Ogarnęło ją nieprzeparte pragnienie, by wspiąć się na palce i go pocałować, czuła, jak pod jego spojrzeniem ustępuje panika. Ostatecznie, zdawały się mówić jego oczy, czy można wyobrazić sobie lepszy pretekst do spędzenia tu długich godzin, tylko we dwoje, na łasce kapryśnych fal?

- Trochę zabawne jest - odparł, a Ellie przysunęła się bliżej i wzięła Grahama za rękę.

- Może odrobinę - przyznała, lecz gdy tylko pochylił głowę i zanim zdążyła stanąć na palcach i go pocałować, powietrze rozdarł bliski ryk syreny.

Oboje gwałtownie się odwrócili i ujrzeli łódź straży przybrzeżnej mknącą w ich kierunku.

Graham puścił dłonie Ellie. Zatoczyła się i oparła o burtę, patrząc zdziwiona na motorówkę pędzącą z wysoko uniesionym dziobem ponad wzburzoną wodą, budzącą trwogę swą zawrotną prędkością.

- Jakie jest prawdopodobieństwo - odezwał się chłopak - że zdali sobie sprawę z naszego położenia i zwyczajnie spieszą nam z pomocą?

- Marne - orzekła Ellie z mocno walącym sercem. Do tej pory nie ukradła nawet paczki gum do żucia,

nigdy nie zwędziła papierosa ani nie oszukała na sprawdzianie, a teraz proszę, zaraz przyłapią ją na kradzieży łodzi. Nieistotne, że to nie ona ją buchnęła. Przystąpiła na taki plan. Ponieważ Graham ukradł łódź dla niej.

Niemal miała wypisaną na twarzy winę, obserwując, jak zmniejsza się odległość między dwiema łodziami. Tamta bardziej przypominała statek, była ogromna, biała i kanciasta, z syreną i czerwonymi światłami na szczycie. Gdy podpłynęła wystarczająco blisko, mężczyzna w ciemnych okularach i jaskrawej, pomarańczowej wiatrówce podniósł megafon.

- Proszę pozostać na miejscu - zatrzeszczały słowa w tubie. - Nie ruszać się.

- Nie możemy, nawet gdybyśmy chcieli - mruknął Graham.

- Kiepska historia - szepnęła Ellie. - Prawda?

- Nie jest dobrze - przyznał, kiedy jednak ujrzał jej minę, wykrzesał z siebie pogodny ton. - Ale będzie. To tylko nieporozumienie. Znajdziemy wyjście z tej sytuacji.

Gdy dobiła do nich motorówka straży przybrzeżnej, mężczyzna opuścił megafon.

- Zgłoszono zaginięcie tej jednostki - zawołał w ich kierunku. - Wiecie coś na ten temat?

Graham odkrzyknął:

- To moja wina! Ja ją tylko pożyczyłem!

Strażnik zdjął okulary i popatrzył na Grahama spod przymrużonych powiek.

- To pan jest tym facetem - stwierdził z nieco zakłopotaną miną. - Z filmów.

- Zgadza się - odparł Graham, z entuzjazmem kiwając głową. - Kręcimy tutaj kolejny i używaliśmy tej łodzi do zdjęć. Założę się, że powiadomił was ktoś z ekipy produkcyjnej, prawda? Chyba zapomniałem ich poinformować.

Ellie nie mogła wyjść z podziwu nad łatwością, z jaką Graham udzielił wyjaśnień, nad nonszalancją, z jaką

przypisał całą sprawę nieporozumieniu, oraz nad reakcją oficera, który z namysłem przyjmował tłumaczenia. Gdyby padło na Ellie, jąkałaby się podenerwowana i całkiem zbita z tropu. Nawet mówiąc prawdę, sprawiałaby wrażenie winnej.

- Jedną minutę - powiedział mężczyzna, podnosząc palec. - Muszę to zweryfikować.

Zniknął w kabinie, a Ellie odwróciła się do Grahama. Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, chłopak uspokajająco ścisnął jej ramię.

- Będzie dobrze - zapewnił raz jeszcze. - Popularność czasem do czegoś się przydaje.

Mimo to czekali dłuższą chwilę w pełnym napięcia milczeniu. Obok nich przemknęło kilka osób na skuterach wodnych, żółte kamizelki ratunkowe jaskrawo odcinały się na tle wody, przeleciał nisko samolot. Ellie nie włożyła zegarka, a telefon spoczywał gdzieś na dnie Atlantyku, nie miała więc pojęcia, która jest godzina, ale słońce przecięło już punkt zenitu i pomyślała, że dawno minęło południe.

Gdy strażnik w końcu się pojawił, zdjął okulary i potarł czoło.

-Rozmawiałem z człowiekiem, który zgłosił zaginięcie - oznajmił, a następnie rzucił okiem na trzymaną w ręku kartkę papieru. - Nie wiedział, że to pan zabrał łódź. Potwierdził, że nie ma żadnego problemu, byleby przyprowadził ją pan z powrotem w jednym kawałku.

Graham posłał mu uśmiech i uniósł dłoń w geście wdzięczności.

- Dziękuję panu - rzekł. - Przepraszam za to zamieszanie.

Oficer kiwnął głową i już miał się odwrócić, gdy Ellie zawołała do niego.

- Tak się składa, że skończyło nam się paliwo - rzuciła pośpiesznie. Mężczyzna zrobił zdziwioną minę, znużony perspektywą rozwiązywania kolejnego problemu gwiazdora filmowego na pożyczonej łodzi. Nie podsunął żadnych sugestii, jedynie stał i patrzył na dziewczynę tępym wzrokiem, postanowiła więc podjąć kolejną próbę. - Co mamy zrobić?

Czterdzieści pięć minut później oficer straży przybrzeżnej odholował ich do morskiej stacji tankowania w małym miasteczku Hamilton. Dwaj oficerowie potraktowali zajście z wielką życzliwością - choć Ellie podejrzewała, że pod pozorami grzeczności obydwaj zachodzili w głowę, jakim trzeba być matosem, żeby wypłynąć bez zapasu paliwa - a Graham złożył nawet autograf dla córki jednego z nich.

Elegancko uchylając na pożegnanie służbowych czapek, strażnicy pozostawili podróżników w rękach wąsatego mężczyzny, który przystąpił do tankowania paliwa. Ellie obserwowała, jak po chwili wypływają na morze, przepelniona uczuciem ulgi, że znalazła się na suchym lądzie, choć jej żołądek wciąż podskakiwał jak wyrzucona na brzeg ryba.

- Jak daleko stąd do Kennebunkport? - zapytał Graham, gdy pracownik stacji podszedł sprawdzić wskaźnik paliwa, przybliżając twarz do tarczy.

- Dziesięć minut autobusem - rzucił, nawet się nie odwracając.

- Dlaczego autobusem?

- Ponieważ wskaźnik paliwa jest uszkodzony - wyjaśnił, prostując plecy. - Nalałem do pełna, a on wciąż

pokazuje pusty bak. Muszę naprawić zegar. Nie powinno to potrwać dłużej niż godzinę.

Graham podał mu kartę kredytową i uzgodnili, że wróci po Łódź później. Lokalny autobus kursował co pół godziny, zatrzymując się w każdym nadbrzeżnym miasteczku. Pracownik wskazał im wysadzaną drzewami drogę, przy której znajdą przystanek dokładnie naprzeciwko centrum turystycznego.

Po tylu godzinach na wodzie nogi mieli jak z waty i przechodzili przez ulicę chwiejnym krokiem. Ellie z ulgą zauważyła, że centrum turystyczne jest niedaleko - wąski drewniany budynek, który bardziej przypominał domek na drzewie niż jakiegokolwiek biuro - a przystanek autobusowy znajduje się dokładnie naprzeciwko: właściwie tylko czerwona plastikowa ławka i niemal nieczytelny rozkład jazdy przyczepiony na odwrocie znaku stopu.

Graham zmrużył oczy.

- Za dwanaście minut - oznajmił, a następnie zerknął na biuro informacji turystycznej. - Zajrzyjmy tam.

W środku starsza kobieta w aureoli rzadkich włosów siedziała zgarbiona za biurkiem z głową pochyloną nad książką. Ellie zaczęła rozglądać się po ciasnym pomieszczeniu zastawionym broszurami na temat wszystkich atrakcji turystycznych okolicy, od rejsów jachtem po podglądanie wielorybów i wyprawy na jagody. Natomiast Graham podszedł prosto do informacji.

- Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Niepodległości - rzucił pogodnie, a kobieta podniosła głowę.

Jej twarz nie zdradzała, czy rozpoznała Grahama. Jeśli w tej profesji wymagano miłego, serdecznego zachowania, to ta pani z pewnością do tej pracy się nie nadawała.

Nie wykonała żadnego gestu, nie zapytała, czy potrzebują pomocy, jedynie zasznurowała usta i wlepiała w nich wzrok znad okularów.

Graham pokazał na komputer za biurkiem.

- Mamy za sobą dość trudne przedpołudnie - zaczął lukrowanym głosem - i chciałbym zapytać, czy byłaby możliwość skorzystania z pani komputera i sprawdzenia tylko jednej rzeczy. Na jedną minutkę.

Ellie, stojąca przed stojakiem pełnym broszur poświęconych różnym atrakcjom związanym z homarami, uśmiechnęła się ironicznie. Nie miała pojęcia, po co Grahamowi komputer, było jednak oczywiste, że kobieta - wpatrująca się w niego z tępym wyrazem twarzy - kompletnie nie wie, kim on jest, i nawet Ellie nie wierzyła, że uda mu się coś wskórać samym urokiem osobistym.

On tymczasem błysnął olśniewającym uśmiechem, wykrztusił nieśmiało „proszę” i oto kobieta bez słowa odsuwała się na bok, wetknąwszy książkę pod pachę, i ustępowała Grahamowi miejsca za ladą, jakby to on udzielał turystom wszelkich informacji w miasteczku Hamilton.

Później, kiedy wyszli i czekali na przystanku na autobus, Ellie spojrzała wymownie na chłopaka.

- Co? - zapytał. - Nie wierzyłaś, że mi się uda? Z rozbawieniem potrząsnęła głową.

- A tak w ogóle co chciałeś sprawdzić?

- Chciałem tylko się upewnić, czy nie ma żadnych nowych rewelacji - wyjaśnił. - Przed wizytą u twojego ojca.

Ellie zamrugła powiekami, ponieważ zaimponował jej swoją troskliwością. -No i?

- Bez zmian - odparł. - Graham Larkin to brutal, Graham Larkin to bandzior. Nic, czego byś już nie wiedziała.

Wypowiedział te słowa żartobliwym tonem, lecz w jego głosie Ellie słyszała napięcie. Przypomniała sobie, że nie przejrzał wiadomości przed ich wyjazdem. Fakt, że uczynił to dla niej - by mieć pewność, że jest w pełni przygotowana na spotkanie z ojcem - głęboko ją poruszył i gdy autobus z piskiem wyjechał z za rogu, położyła chłopakowi dłoń na ramieniu.

- Dzięki - szepnęła, on zaś w odpowiedzi skinął tylko głową.

Wsiadli do autobusu, Graham podał kierowcy kilka banknotów, po czym zajęli miejsca z przodu, z dala od nielicznych pasażerów, którzy wyglądali przez okna na tyłach pojazdu.

- A więc gdy kobieta włączy następnym razem komputer - rzekła Ellie, opierając się o okno - w historii wyszukiwania znajdzie na przykład artykuł „Graham Larkin zadaje fotografowi cios pięścią”.

Roześmiał się.

- Raczej „Graham Larkin wali w mordę idiotę, który podszedł zbyt blisko z aparatem”.

W miarę oddalania się krętą drogą od Hamilton i zbliżania do Kennebunkport domy stawały się okazalsze, bardziej imponujące: były to ogromne, położone przy plaży rezydencje z wysuniętymi nad wodę werandami, wszystkie zwieńczone amerykańskimi flagami, które powiewały na tle bezchmurnego nieba.

Rano przed wyjazdem Ellie wyszukała adres domu, w którym zatrzymał się jej ojciec, co okazało się nietrudne. Posiadłość miała długą historię goszczenia ważnych

polityków, a dziennikarze, którzy z czatowania na jej obrzeżach uczynili swój nawyk, pozostawili niemałą dokumentację. Przejrzała takie mnóstwo zdjęć tej rezydencji, że nawet w tej chwili, wiele godzin później, potrafiła z ogromną klarownością przywołać w pamięci obraz podniszczonych szarych desek elewacji oraz otaczającej dom werandy. Jednak nie umiała sobie wyobrazić podejścia brukowaną ścieżką i zapukania do czerwonych dwuskrzydłowych drzwi. Nie umiała sobie wyobrazić spotkania twarzą w twarz z Paulem Whitmanem.

Odwróciła się do Grahama, który akurat ziewnął, zasłaniając dłonią usta.

- Dobra - przemówiła rzeczowym tonem. - Potrzebny mi plan ataku.

- Idziemy na wojnę?

- Nie mogę tak po prostu wparować do jego domu, nie wiedząc, co może z tego wyniknąć - tłumaczyła, patrząc mu w oczy. - A jeśli będzie tam jego żona? I synowie?

- Twoi przyrodni bracia - zauważył Graham, a Ellie wzruszyła ramionami.

- No tak.

- Wymyśliłaś, co chcesz mu powiedzieć?

- Z grubsza - odparła, nie całkiem zgodnie z prawdą. Nie miała przecież pojęcia, co chciałaby powiedzieć.

Bo niby skąd, skoro nie wiedziała nawet, co czuje? Latami studiowała zdjęcia ojca i oglądała wywiady, z daleka obserwowała życie, które od nowa zbudował, zastanawiając się, jak by to było w nim uczestniczyć. Lecz teraz, gdy znajdowała się tak blisko, myśl, że on może wcale nie ucieszyć się na jej widok, była zbyt druzgocąca, by w ogóle ją analizować.

Ostatecznie nigdy nie zaprzeczał ojcostwu - przynajmniej nie zajął w tej kwestii oficjalnego stanowiska - ale i nigdy tego faktu nie potwierdził. To zaś oznaczało, że w oczach świata ona nadal nie miała ojca, a on córki. I absolutnie nie było wiadomo, jak by zareagował, gdyby stanęła na progu jego domu. Czy możliwe, by ją rozpoznał? Czy ona by go rozpoznała? Nie tak, jak na fotografiach w gazetach, lecz czując z nim więź. Zastanawiała się, czy rozbłysłaby jakaś iskierka poufałości, przynależności, czy pojawiłyby się emocje wskazujące na to, że są kimś więcej niż dwojgiem nieznanym stojących po dwóch przeciwnych stronach drzwi. Że tworzą rodzinę.

Ellie miała wątpliwości. Cieszyła ją świadomość, że ojciec nie orientuje się, co zaszło minionej nocy, bo przynajmniej nie zszargała jeszcze jego nazwiska w prasie. Lecz mimo to pozostawało wciąż tak wiele niewiadomych.

- Poćwicz na mnie - zaproponował Graham, prostując się na siedzeniu autobusu, przywierając plecami do oparcia i wypinając pierś. Opuścił jedną brew i wykrzywił usta w grymasie przesadnej powagi. - Witaj, młoda damo - przemówił, tak wiernie naśladowując jej ojca, że Ellie aż szturchnęła go w ramię.

- Przestań - poprosiła. - To dziwaczne.

Graham znów usiadł swobodnie, zupełnie nieprzejęty.

- Okej, więc co zrobisz?

- Myślę, że zwyczajnie zapukam do drzwi i zobaczę, co z tego wyniknie.

- Przynajmniej element zaskoczenia działa na twoją korzyść - stwierdził, krzyżując ramiona. - Będzie całkowicie nieprzygotowany, a ty dzięki temu zyskasz szansę zorientowania się, jak rozegrać sprawę.

- Pewnie tak - przyznała, odwracając się do okna. Gdy dojechali do obrzeży miasteczka, w powietrzu

rozszedł się intensywny zapach owoców morza, który wpadał do autokaru przez otwarte okna. Dostrzegli przed sobą tłumy ludzi na ulicach i Ellie poczuła ukłucie żalu, że omijają ją obchody święta w Henley. Nad długimi stołami piknikowymi rozwieszono rzędy chorągiewek, nad sklepami wiły się tu i ówdzie smugi dymu. Graham wciągnął głęboko powietrze.

- Na pewno urządzą piknik na plaży - powiedział, gdy autobus wjechał na przystanek przed znacznie okazalszym biurem turystycznym niż to w Hamilton i prawdopodobnie z dużo życzliwszą obsługą.

Ellie nie przypadła do gustu myśl o przedzieraniu się przez ludzki gąszcz z Grahamem u boku, który z pewnością będzie zwracał niepożądaną uwagę. Zatem gdy tylko wysiadła, podała towarzyszowi ciemne okulary, które zostawił na siedzeniu.

- Nie tak dobre jak wąsy - skomentował, wkładając je na nos. - Ale oblecą.

Na przystanku wisiała mapa, pozwalająca zorientować się, że dom jest niedaleko, w głębi niewielkiego półwyspu na północ od głównej dzielnicy handlowej. Żeby się tam dostać, będą musieli przejść przez miasto, ale gdy już przedrą się przez ruchliwe ulice, dalsza droga powinna minąć szybko. Idąc za Grahamem w stronę świętujących ludzi, Ellie wyobrażała sobie czerwone drzwi frontowe domu, tak jak rozgrywający wyobraża sobie strefę końcową boiska, starając się skoncentrować na zadaniu pomimo hałasu, muzyki i kulinarnych zapachów.

- Nie miałbym nic przeciwko kanapce z homarem na dobry początek - stwierdził Graham, gdy dotarli do świętujących mieszkańców: morza czerwonych, niebieskich i białych koszulek. Dziesiątki stołów piknikowych ustawiono na całej długości głównej ulicy, od końca do końca, ale impreza rozprzestrzeniła się też na chodniki i sklepy. Dzieci były wszędzie - w wózkach i na rowerach, nosiły balony z wodą albo ciasteczka - pozostawione głównie samym sobie, podczas gdy rodzice zajmowali się jedzeniem albo po prostu wychylali butelki piwa, rozmyślnie nie zwracając na pociechy uwagi.

Ellie próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio oni mieli coś w ustach i gdy zdała sobie sprawę, że była to roztopiona czekolada na łodzi, jej także zaburczało w brzuchu.

Graham zatrzymał się przy pierwszym stole nakrytym kraciastym obrusem.

- To chyba miraż - zażartował. - A właściwie to powiedz mi, jak długo błąkaliśmy się po morzu?

Obrusy w niebieską kratkę niemal całkowicie ginęły pod tacami z jedzeniem: małże, ostrygi i krewetki, ale także hot dogi, hamburgery i frytki, sałatki ziemniaczane i kukurydza w kolbie oraz czekoladowe babeczki. Graham ruszył prosto do ogromnej tacy zastawionej kanapkami z homarem, a mężczyzna za stołem - w fartuchu z wizerunkiem homara, takim samym jak w sklepie mamy Ellie - uniósł szczypcę i spojrzał pytająco na chłopaka.

- Podać? - zagadnął, a wtedy Graham rzucił dziewczynie błagalne spojrzenie.

- Śmiało - zachęciła. - Ale zjesz po drodze.

- Nie martw się, potrafię jednocześnie iść i jeść - odparł i po chwili dodał - jestem szalenie utalentowany.

- Nie wątpię - rzekła, lecz jej uwagę zwróciła fala szeptów, która rozeszła się wśród grupy osób stojących na lewo.

Wspięła się na palce, chcąc zobaczyć, dlaczego tłum się rozstępuje, i wtedy poczuła ból w sercu, jakby ktoś wiercił jej w piersi dziurę. Rzuciła Grahamowi gorączkowe spojrzenie, lecz on wciąż gawędził z mężczyzną w homarowym fartuchu, próbując oddzielić od siebie dwie tekturowe tacki.

Ellie gwałtownie się odwróciła i nagle zaschło jej w ustach. Oto niespełna trzy metry dalej stał jej ojciec. Uśmiechał się i wymieniał uściski dłoni, wyglądał przy tym swobodniej niż zwykle, ubrany w czerwone polo i spodnie khaki, ze zmierzwionymi od wiatru włosami. Był wysoki i szczupły, górował nad tłumem, torując sobie drogę, a tuż za nim dreptał fotograf, pstrykając od czasu do czasu zdjęcie, gdy ojciec przystawał przy jakimś małym dziecku albo ścisnął komuś rękę ze szczerym uśmiechem. Ale poza tym był sam: bez asystentów czy reporterów, bez żony i dzieci.

Zesztywniały jej kolana, gdy zmaląła grupka osób między nimi. Miała przed sobą typowe spotkanie z wyborcami, nieformalne wystąpienie. Ojciec ograniczał rozmowy do szybkiej wymiany uprzejmości, posuwając się powoli wśród tłumu. Gdy znalazł się jeszcze bliżej, w głowie Ellie powstał chaos, myśli starały się znaleźć jakiś punkt oparcia. Nagle stwierdziła, że nie może sobie niczego przypomnieć: po co przyjechała, co ma powiedzieć, jak się zachować.

W tej chwili ojca i córkę dzielił już tylko metr, a ta jego bliskość spłoszyła Ellie. Do tej pory wydawał się raczej wytworem jej wyobraźni, być może z powodu wielokrotnego odtwarzania w myślach przygotowanego scenariusza. Z tą różnicą, że w fantazjach zawsze podchodziła prosto do ojca, patrzyli na siebie dwiema parami takich samych zielonych oczu, a on dokładnie wiedział, kogo ma przed sobą.

Oto, dlaczego tu przyjechała - teraz dotarła do niej właściwa motywacja całej wyprawy.

Nie po pieniądze. Nawet nie po to, żeby go zobaczyć.

Przyjechała po to, żeby to o n zobaczył j ą.

Stała teraz między nimi tylko jedna osoba, mężczyzna w czapeczce z logo drużyny Red Sox, który wydawał się bezgranicznie zdumiony, że przystojny senator klepie go po ramieniu.

On zaś rzucił z autentycznym na pozór entuzjazmem:

- Co za dzień, prawda?

Mężczyzna zaskutował niezgrabnie udkiem kurczaka, mając zbyt pełne usta, by cokolwiek odpowiedzieć.

Senator się roześmiał i przeniósł wzrok na Ellie. Czują, jak tężeje, szykując się - na co? Nie wiedziała. Spojrzenie oczu zielonych jak oszlifowane przez morze szkielek, identycznych jak jej własne, wyrażało łagodne zainteresowanie. Zauważyła wachlarz drobnych zmarszczek w zewnętrznych kącikach, tak subtelnych, że niewidocznych na fotografiach.

- Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Niepodległości - usłyszała Ellie i zobaczyła wyciągniętą rękę, w którą wlepiła wzrok.

Zwlekała odrobinę zbyt długo, nim podała senatorowi swoją, spodziewając się jakiegoś wstrząsu. Nie

poczuła nic z wyjątkiem ciepła jego skóry, odrobinę wilgotnej od potu.

Słowa zamierały w niej tak, jak pękają bańki mydlane, jedno po drugim. Te wszystkie rzeczy, które chciała powiedzieć... Na chwilę zapomniała o mamie i zapomniała o Harvardzie; zapomniała o pięknej żonie stojącego przed nią mężczyzny, o dwóch chłopcach zabieranych na ryby i polowania; zapomniała o polityce, jego profesji, tych wszystkich powodach, które ich dawno temu rozdzieliły.

Czy ty nie widzisz? - ta jedyna myśl kołatała się jej w głowie.

Na twarzy senatora nie było jednak nic prócz uprzejmego uśmiechu, w pełni profesjonalnego i niemal całkowicie pozbawionego wyrazu. Gdy wycofał rękę, żołądek Ellie gwałtownie zjechał w dół. Spojrzała na swoje stopy, lekko zdziwiona, że stoi na twardym gruncie. Graham zjawił się przy niej jakby znikąd, balansując papierowym talerzykiem. Bułka z mięsem homara zakołysała się jak łódeczka na falach, gdy podawał dłoń politykowi.

- Wszystkiego dobrego w Dniu Niepodległości - życzył Grahamowi, który uśmiechnął się niepewnie, zerkając na Ellie.

Ona jednak nie spuszczała wzroku z ojca. Ze spojrzenia, którym senator zaszczyił chłopaka, trudno było wnioskować, że go rozpoznał - raczej patrzył na niego jak na dawnego kolegę z klasy, którego nie widziało się od wielu lat i nie można sobie przypomnieć jego imienia - ale to już coś!

Na pewno więcej niż w wypadku Ellie.

Dziewczyna zamrugła powiekami, czując się jak otumaniona, lecz ojciec uśmiechnął się jedynie (i nie całkiem

naturalnie) i już wybiegał dalej wzrokiem, patrząc na kolejne osoby w niekończącym się ciągu uścisków dłoni i pozdrowień.

- Miłego dnia - pożegnał ich uprzejmie, przechodząc do następnych rozmówców.

Jego fotograf drepczący kilka kroków w tyle podniósł aparat z zamiarem zrobienia im zdjęcia - nie tylko Ellie i Grahamowi, także mężczyźnie w czapce Red Soksów, kucharzowi w fartuchu z homarem oraz kilku innym stojącym w pobliżu osobom - lecz Graham cały zeszywniał i gwałtownie powstrzymał go wyprostowaną ręką. Fotograf wzruszył ramionami - zdezorientowany, lecz niespecjalnie przejęty - a następnie potruchtał za senatorem i następnym potencjalnym wyborcą.

- Przepraszam - usprawiedliwiał się Graham przed Ellie. - Zdaje się, że po wczorajszym wieczorze boję się trzasku migawki.

Nie odpowiedziała. Stała jak wryta i wpatrzona w ojca obserwowała, jak pochłania go tłum wielbicieli. Spojrzała na swoją pustą rękę, która piekła od dotyku jego dłoni, a gdy znów podniosła oczy, senatora już nie było.

- Pomogłoby, gdybym opowiedział jeszcze jeden dowcip?
- Chyba nie.
- Okej.
- Ale... dziękuję.

ROZDZIAŁ 22

Postanowili zostawić łódź w Hamilton.

Bez wątpienia była już gotowa do odebrania, lecz żadne z nich nie czuło się na siłach dopłynąć nią do samego Henley i choć Graham od dawna nie spędził tyle czasu w autobusie, w tym momencie powrót drogą lądową wydawał się znacznie korzystniejszą opcją. Nie cierpiał na chorobę morską - jeśli w ogóle zdarzała się na stałym lądzie - lecz pomimo upływu wielu godzin wciąż towarzyszyło mu uczucie przebywania na morzu, jakaś chwiejność, która sprawiała, że czuł się niepewnie i lekko niestabilnie. Nawet kiedy wracali na przystanek autobusowy, a głośnie dźwięki zabawy zostawały gdzieś w tyle, grunt pod stopami wydawał mu się niegodny zaufania.

- Będzie dobrze - zapewniał Ellie, która smutno i milcząco spoglądała przed siebie. - Koledzy z produkcji odbiorą łajbę jutro rano, poza tym zapowiedzieli, że chcą odzyskać ją w jednym kawałku. Myślę, że są na to większe szanse, jeśli nie będziemy maczać w tym palców.

Skinęła głową z taką samą obojętnością, z jaką kiwała nią przez ostatnie dziesięć minut, patrząc szklistym i wciąż nieobecny wzrokiem w dal.

Nie bardzo wiedząc, co począć, Graham bez przerwy nerwowo trąkotał, co nawet dla jego własnych uszu brzmiało irytująco.

- Zresztą nie mam pojęcia, czy kanapka z homarem chciałaby się znaleźć z powrotem w morzu - ciągnął, poklepując się po brzuchu. - To znaczy była zdecydowanie smaczna. Ale z kołysaniem nigdy nie wiadomo...

- Grahamie - przerwała mu Ellie. Obrzucił ją spojrzeniem. - Tak?

- Czy moglibyśmy dać spokój kanapce z homarem? - poprosiła niezbyt uprzejmie.

Roześmiał się mimo wszystko.

- Jasne.

Na przystanku usiedli na drewnianej ławce naprzeciwko miejsca, gdzie wcześniej wysiadali. Mieli wrażenie, że od tego czasu upłynęło wiele godzin, ale Graham wiedział, że prawdopodobnie minęła niecała godzina> pewnie nawet mniej. Wciąż byli zmęczeni i spaleni słońcem, lecz o ile poprzednio do działania popychała ich nieustępliwa determinacja, o tyle teraz odbywali niechcianą podróż powrotną do Henley, gdzie nie czekało ich nic dobrego.

Graham bał się konfrontacji z Harrym, który wczorajszego wieczoru okazał mu tyle cierpliwości, ale któremu z pewnością doniesiono już o wybryku z łodzią. Miał świadomość, że nie powinien ruszać się tego dnia z Henley. Powinien stawić czoło konsekwencjom incydentu z fotografem i pomóc w rozwiązaniu sytuacji. Zamiast tego zrobił to, co zwykle: wziął nogi za pas.

Na co dzień ta jego specjalność polegała nie tyle na ucieczce, ile na ukrywaniu się. Stała się nawykiem

najgorszym z możliwych. Zaczął unikać wszystkiego: bankietów, konferencji prasowych i po prostu ludzi, chowając się przed nimi w towarzystwie udomowionej świnki. Gdy zmieniło się jego życie, gdy musiał konfrontować się ze światem zewnętrznym, Graham zareagował w jedyny znany sobie sposób: tworząc bufor pomiędzy sobą a innymi, dystans, który obejmował nawet jego rodziców.

Łatwo było obarczyć ich winą. A przecież zawinił także Graham. Wmówił sobie, że nie rozumieją jego nowego życia, i zamiast ich do niego wpuścić, odciął się i zamknął w czterech ścianach. Pomylił samotność z niezależnością i tak doskonale wprawił się w kontestowaniu świata, że dopiero e-mail od Ellie przypomniał mu, na czym polega prawdziwa rozmowa.

Nigdy nie miał tyle odwagi, co ona, która postanowiła pojechać do nieznanego miasteczka, by stanąć twarzą w twarz z ojcem, choć go nie pamiętała i on najwyraźniej też jej nie pamiętał. Rodzice Grahama mieszkali blisko niego, ale dopiero kiedy wyjechał na drugi koniec kraju, kiedy zebrał się wreszcie, by coś w ich relacjach naprawić, okazało się, że jest za późno. Geografia nie miała tu nic do rzeczy; bez względu na to, gdzie się znajdowali, wciąż dzieliła Larkinów zbyt duża odległość.

Obserwacja zachowania Ellie w czasie spotkania z ojcem poruszyła w Grahamie jakąś czułą strunę, jakieś ukryte emocje, których istnienia nawet nie podejrzewał. Na jej twarzy była wyryta tak wielka nieskrywana nadzieja, że zapragnął uczynić coś, co by ją ochroniło, osłonić ją tarczą przed rozwojem wypadków. Spotkanie z ojcem i konfrontacja z jego całkowitą obojętnością były dla

Grahama czymś niewyobrażalnym. Rozumiał, że to nie wina senatora - jak miałyby się domyślić, że ta przypadkowa dziewczyna z tłumu to akurat jego córka? A mimo to Graham zapłonął nagłym gniewem. Bez względu na to, jak wiele upłynęło czasu i jak daleko ludzie się od siebie odsunęli - przynajmniej dwie osoby na świecie miały obowiązek kontaktu, odnalezienia i odzyskania dziecka. Bez względu na wszystko.

Przysunął się na ławce do Ellie. Milczenie między nimi - zwykle tak znaczące - teraz było puste i kruche, a Graham nie bardzo wiedział, jak temu zaradzić. Na ulicy pojawił się autobus, który z długim sykiem podjechał na przystanek i stanął tuż przed nimi. Ellie i Graham byli jedynymi oczekującymi pasażerami, wsiadali powoli, zmęczeni podróżnicy u kresu długiej wyprawy.

- Może tak jest lepiej - powiedział, gdy zajęli miejsca i autobus szarpnął gwałtownie. W drodze powrotnej na południe mieli ocean po swojej lewej stronie. Ellie wsparła czoło o szybę. Graham żałował, że nie siedzi przy oknie, że Ellie nie położyła głowy na jego ramieniu, wiedział jednak, iż w tej chwili potrzeba jej chwili samotności. Rozumiał to lepiej niż ktokolwiek.

- Pewnie masz rację - odparła nagle, choć było jasne, że tych słów nie dyktuje jej serce. - Wiesz, to takie dziwne. Od dziecka wyobrażałam sobie, jakie to uczucie być córką senatora. Ale chyba nigdy nie zastanawiałam się, jak to jest być jego córką. - Przerwała i potrząsnęła głową. - Prawdopodobnie nie ma w tym żadnego sensu.

- Żartujesz? Wiesz, ile dziewczyn o mnie marzy... -Zawahał się, gdy Ellie się skrzywiła. - Mówię serio - dodał z lekkim uśmiechem. - Bo tak naprawdę wcale nie

marzą o mnie, wiesz? Tylko o samym wyobrażeniu mojej osoby. A rzeczywistość zwykle nieco rozczarowuje.

- W wypadku mojego taty, owszem - przyznała. - Ale w twoim...

- Tylko ociupinkę? - wtrącił, uśmiechając się z nadzieją, a twarz Ellie także się rozjaśniła.

- Tylko ociupinkę - potwierdziła. - Ale pewnie masz słuszość. Tak będzie lepiej. Poza tym, gdyby mama kiedykolwiek dowiedziała się, że poprosiłam ojca o pieniądze, nie przychodząc z tym najpierw do niej...

- Wiesz - przerwał jej Graham - z przyjemnością bym...

- Nie - ucięła dość ostro, lecz zaraz się zreflektowała, uzmysławiając sobie, jak to zabrzmiało. - Ale dziękuję - dodała już nieco łagodniejszym tonem i smutno się uśmiechnęła. - Zresztą nie chodziło tak naprawdę o pieniądze.

- Tylko o zobaczenie go - podsunął, a Ellie skinęła głową.

- Wyobrażałam sobie tę chwilę przez całe życie. Niezupełnie tak miała przebiegać.

- No coś ty? Nie myślałaś, że uściśniesz mu rękę podczas obchodów Dnia Niepodległości?

Ellie się roześmiała, a wtedy Graham - ponieważ nie potrafił czekać ani chwili dłużej - objął ją ramieniem i przyciągnął ku sobie, tak że jej głowa spoczęła na jego piersi, i oboje usiedli bokiem do okna, za którym przesuwiał się ocean, migocząca wstęga błękitu na tle bledszego nieba.

- Sądysz, że mimo wszystko powinnam była go poprosić? - zapytała, lecz Graham pokręcił głową, muskając brodą jej włosy. - Albo przynajmniej powiedziec mu, kim jestem?

- To nie był odpowiedni moment. Postąpiłaś tak, jak postąpiłby każdy rozsądny człowiek w tej sytuacji.

- Czyli nie zrobiłam nic.

- Przede wszystkim tam pojechałaś. To już coś.
- Nie odnoszę takiego wrażenia. Prawdę mówiąc, i tym razem wierzyłam.

- Wierzyłaś w co?

- W tę wyprawę - wyjaśniła. - W poszukiwanie taty.

Wzrok Grahama powędrował do okna, za którym słońce błyskało pomiędzy drzewami. Pomyślał znów o spojrzeniu, jakim obdarzył ją ojciec, o zdawkowym pozdrowieniu i nieobecny uśmiechu, a następnie wyobraził sobie własnego tatę, przewracającego hamburgery na grillu w czyimś kalifornijskim ogrodzie. Czy byłoby inaczej, gdyby Graham starał się o przyjęcie na studia, przejmował egzaminami wstępnymi zamiast zapamiętywaniem filmowych dialogów? Czy może to normalna kolej rzeczy, gdy się dorasta? Może dorastanie to w istocie nie jest nic innego jak oddalanie się: od dawnego życia, dawnego ja, wszystkich rzeczy, które wiązały cię z przeszłością.

- Przykro mi - powiedział i poczuł, jak Ellie tężeje w jego ramionach.

- Z powodu?

- Z powodu wszystkiego. I z powodu Harvardu.

- Nic nie szkodzi - odparła z wymuszoną beztróską. - Aż tak bardzo mi nie zależało.

- Jestem pewien, że mama by ci pomogła.

- Na pewno - zgodziła się Ellie - ale nie mogę jej o to prosić.

Za oknem drzewa rozstąpiły się, widzieli teraz tylko wodę wciąż upstrzoną łódkami.

- Szczęściara z ciebie. Masz świetną mamę - pocieszał Ellie Graham.

- Ty na pewno też.

- Skąd wiesz? - spytał.

- Ponieważ ma świetnego syna - wyjaśniła, na co Graham się uśmiechnął. - Oczywiście pominąwszy historię z pobiciem fotografa. I nie wspominając o drobnym incydencie z kradzieżą łodzi.

- Wiesz, zanim odszedłem ze szkoły, koledzy zawsze żartowali, że zostanę uznany za „Najmniej zagrożonego aresztowaniem”, a teraz areszt groził mi dwukrotnie w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Co ty powiesz? - droczyła się Ellie. - Ja przypięłabym ci etykietkę „Najpopularniejszego” albo „Obdarzonego najpiękniejszym uśmiechem” lub coś równie tandetnego.

Popatrzył na nią z rozbawieniem.

- Ciekawe, jaką łatkę można by przypiąć tobie? „Najbardziej skłonnej do buntu przeciwko systemowi, co przejawia się w kradzieży łodzi”?

Zastanawiała się przez chwilę.

- „Najmniej skłonnej do zakochania się w gwiazdce filmowej”.

- O rany - rzucił Graham, przytulając Ellie. - I tu za-szłaby gruba pomyłka.

Jechali przez chwilę w milczeniu, autobus zatrzymywał się raz po raz, by wysadzić pasażerów. Czuli, jak koła wibrują pod stopami i jak kołysze się cały pojazd - łagodnie jak łódź na falach. Grahamowi zaczęły ciążyć powieki. Już prawie zasypiał, gdy do jego uszu dotarł głos Ellie.

- I co teraz? - usłyszał, nie bardzo orientując się, o co chodzi.

Pytanie mogło mieć tysiąc różnych znaczeń. Na przykład: *Co zrobimy po powrocie do Henley?*. Albo: *Czy powinnam jeszcze raz spróbować spotkać się z tatą?*. Mogło też

znaczyć: *Co będzie, gdy za dwa dni wyjedziesz?. Albo: Co z tego wszystkiego wyniknie?. Bądź też: Oto my dwoje, ściśnięci w autobusie gdzieś w środku stanu Maine, ale pomimo przeżycia najgorszego dnia w historii, który nastąpił zaraz po najgorszej nocy, nie chcielibyśmy znaleźć się w żadnym innym miejscu na świecie, więc czy możemy zostać tu na zawsze?*

- Co masz na myśli? - spytał więc niepewnym głosem, a Ellie wyprostowała się i odwróciła do niego z poważną miną. Patrzyła szeroko otwartymi zielonymi oczami. Jej rude włosy potargał wiatr, a mimo to wyglądała pięknie. Był to ten rodzaj piękna, od którego serce rośnie i robi się tak lekkie, że zaczynasz się bać, czy nie porwie cię w przestworza.

- Co z nami będzie - wyjaśniła.

Graham przyswajał te słowa jedno po drugim, każde jak bolesne ukłucie, ponieważ nie znał odpowiedzi; nie wiedział, co się stanie, co więcej, nie wiedział, co może zaoferować Ellie. Za dwa dni wyjedzie z Henley. Za dwa tygodnie zakończy zdjęcia do filmu. A za trzy tygodnie na ekrany kin wejdzie ostatnia część trylogii. Graham będzie kursował po świecie z przyklejonym do twarzy uśmiechem i opowiadał do tysiąca różnych mikrofonów, o co w tym wszystkim chodzi, będzie podróżował od LA przez Tokio, Sydney, do Londynu i z powrotem. Będą zarwane noce i wielkie tłumy, niekończące się programy w telewizji i imprezy dla prasy.

Nie będzie łodzi rybackich ani spacerów po skalistej plaży.

Nie będzie Ellie.

- Nie wiem - wyznał szczerze, ponieważ rzeczywiście nie wiedział.

Pytanie wydawało się zbyt trudne jak na prostą odpowiedź. W tej chwili, gdy siedział tak blisko, nie potrafił wyobrazić sobie życia bez niej. Ale włączenie Ellie do prawdziwego życia, takiego, jakie prowadził, także nie wydawało się logiczne. Jakby istniało dwóch Grahamów Larkinów i nawet jeśli jeden z nich był bardziej prawdziwy, bardziej konkretny - nawet jeśli jeden z nich był *szczęśliwszy* - ten drugi zagarnął większą przestrzeń i nie było na to rady.

Spojrzał na dziewczynę bezradnie.

- Nie wiem - powtórzył, bojąc się spojrzeć jej w oczy. Kiedy jednak w końcu się odważył, zobaczył, że Ellie

kiwa głową. Nie wyglądała na zranioną, obrażoną, ani nawet zaskoczoną. Miała zadumany wyraz twarzy, może wręcz wyczekujący, a owładniętemu wątpliwościami Grahamowi żołądek podszedł do gardła.

- Cóż, mamy jeszcze dwa dni - odezwała się wreszcie i tym razem przytaknęła też Graham. - Co będziemy robić?

Uśmiechnął się.

- Pójdziemy moczyć stopy w wodzie.

- Uwielbiam to.

- Wiem.

- Co poza tym?

- Będziemy jeść lody w upalny dzień - mówił cicho, zamykając oczy.

- Słuchać fal. Chodzić na wieczorne spacer. Pływać. Czytać poezję. Bawić się z Bajgłem.

Ellie przyglądała mu się ze zdumieniem.

- To z mojego e-maila - zdziwiła się, kręcąc głową. - Jak to wszystko zapamiętałeś?

- Jak mógłbym nie zapamiętać? Uśmiechała się, oczy jej pojaśniały.

- Za dużo tego - oceniła. - Nie zdążymy wszystkiego zrobić.

- Coś wymyślimy - obiecał i był przekonany, że tak właśnie się stanie.

Ale gdy zbliżali się do Henley, Grahama zaczął ogarniać głęboki smutek. Za każdym razem, gdy ktoś wysiadał na przystanku, rosło napięcie, widział w tym zapowiedź swojego rychłego wyjazdu. Siedzenia czuć było pleśnią, szyby miały smugi od soli, słońce paliło wściekle, tak że w środku pojazdu było jak w piekarniku, i gdyby ktoś zapytał go, co chciałby robić w Święto Niepodległości, wszystko to znalazłoby się na szarym końcu listy życzeń. Mimo to nie miał ochoty myśleć o opuszczeniu autobusu i powrocie do prawdziwego świata.

Gdy skręcili z głównej drogi, która wiodła wzdłuż wybrzeża, silnik zwolnił obroty, Ellie wyprostowała się i przeciągnęła.

- Zostało jeszcze trochę czasu do fajerwerków. Obiecałam Quinn, że spotkamy się na festynie.

Graham widział, że Ellie waży coś w myślach, bo przygryzała wargę. Posłała mu przeciągłe spojrzenie i najwyraźniej podjęła decyzję.

- Chciałbyś... -Co?

- Chciałbyś pójść ze mną?

- Cudownie, że proponujesz - odparł, wiedząc, jak wiele to znaczy, jak wiele może ją kosztować. Oboje rozumieli, że to coś więcej niż zwykłe zaproszenie. To wybór, którego dokonywała. Wybrała jego.

Pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Ale to chyba nie najlepszy pomysł.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Fotografowie?

- Między innymi - przyznał Graham. - Zabrnęliśmy wystarczająco daleko. Nie ma sensu rujnować ci życia.

Przytaknęła.

- Więc pozostanę „niezidentyfikowaną dziewczyną”.

- Przy odrobinie szczęścia - rzekł i się uśmiechnął. - Ładnie brzmi, nie sądzisz?

Autobus skręcił w drogę przy porcie. Widzieli tłumy na skwerze, które wyległy także na ulice przed sklepami. Graham nie mógł się nadziwić, jak wielu ludzi znajdowało się dokoła; byli wszędzie, kłębili się z hot dogami, hamburgerami i bułkami z mięsem homara, pili piwo i tańczyli do muzyki na żywo, odpalali petardy, które wyskakiwały z trawy, wirowały w powietrzu i gasły ze świstem. Zabawa nie różniła się wiele od festynu, który odbywał się godzinę drogi stąd na północ, tylko że w tutejszych obchodach brała udział mama Ellie zamiast jej ojca. I prawdopodobnie był tu także Harry.

- Szkoda, że nie będziesz mi towarzyszył - powiedziała, gdy autobus podjechał na przystanek z zieloną ławką i małą tablicą z rozkładem jazdy tuż przy porcie.

- Muszę załatwić sprawę z łódką, powinienem też dowiedzieć się, co z fotografem - tłumaczył. - Ale może spotkamy się później?

Ellie się rozpromieniła.

- Pod osłoną mroku.

Wysiedli, ukryci przed tłumem za szeroką tarczą w postaci autobusu, który jednak miał za chwilę odjechać i wystawić ich na widok publiczny.

- Do zobaczenia niebawem - powiedziała Ellie, pochylając się i całując go w policzek, po czym ruszyła ku bawiącym się tłumom, lustrując je z zadartą wysoko brodą.

Graham wiedział, że i on powinien się zbierać, czmychnąć bocznymi uliczkami, by ominąć świąteczny tłok w drodze do hotelu, lecz mobilizacja zajęła mu dłuższą chwilę. Był zbyt zajęty odprowadzaniem Ellie wzrokiem i dopiero kiedy drzwi autobusu zamknęły się z trzaskiem, uważnie rozejrzał się dokoła i zaczął iść przed siebie.

Będąc już blisko hotelu, ujrzał baloniki zdobiące front budynku, wielkie pęki czerwieni, bieli i granatu, które wybuchały barwami niczym fajerwerki. W niewielkiej odległości od wejścia trwała w najlepsze zabawa, Graham naciągnął kaptur bluzy i wśliznął się do cichego holu niezauważony przez nikogo.

Minał puste fotele i zdobiące ściany akwarele, spiesząc prosto do windy. Dobiegło do niego wołanie recepcjonisty, ale udawał, że nic nie usłyszał, nasunął głębiej kaptur i niecierpliwie wciskał guzik. W tej chwili nie miał ochoty na rozmowę, nie chciał żadnej wiadomości ani od Harry'ego, ani od prawnika, ani od kogokolwiek. Jednak głos nie dawał się zbyć.

- Panie Larkin?

W końcu Graham obrócił się na pięcie i spojrzał na intruza z nieskrywaną irytacją. Ujrzał chłopaka mniej więcej w swoim wieku, chudego i nerwowego, który pochylał się nad biurkiem w recepcji i wymachiwał kartką papieru. Graham z westchnieniem ściągnął ciemne okulary i uniósł brwi.

- Przepraszam pana - odezwał się chłopak. - Ale mam dla pana wiadomości. - Zerknął na kartkę i odchrząknął. - Dokładnie czterdzieści trzy.

Graham jęknął.

- Wszystkie od Harry'ego?

- Dwadzieścia siedem, panie Larkin.

- Mów mi Graham - rzekł młody aktor, podchodząc do biurka. - A pozostałe?

- Od osoby imieniem Rachel, która nie chciała podać swojego nazwiska...

- Moja agentka prasowa.

- Od prawnika o nazwisku...

- Brian Ascher.

- Zgadza się, proszę pana.

- Mam na imię Graham.

Recepcjonista skinął głową, podając kartkę z listą nazwisk oraz przypisanym każdemu z nich ciągiem przekreślonych grupami kreseczek. Graham przebiegł spis wzrokiem, zmarszczył czoło i znów podniósł wzrok.

- Żadnych telefonów od moich rodziców? - zapytał, a chłopak potrząsnął głową.

- Przykro mi, proszę pana.

- Nie ma sprawy - odparł Graham, stukając w blat zwiniętą dłonią. - Pewnie próbowali dzwonić na komórkę. Zdaje się, że nawet nie wiedzą, gdzie się zatrzymałem.

- Ja nie mogę się doczekać tej chwili, kiedy będę mógł swobodnie wyjeżdżać i nie informować rodziców, dokąd się wybieram - wyznał chłopak ze smutnym uśmiechem. - To musi być super. - Zakasłał, poczerwieniał na twarzy i dodał: - Proszę pana.

- Tak - potwierdził Graham, wsuwając do kieszeni listę wiadomości i odwracając się w stronę windy. - Jest naprawdę super.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: czwartek, 4 lipca 2013,19:38

Do: EONeill22@hotmail.com Temat: (brak tematu)

Połączyłem się oficjalnie z moim telefonem. Jeszcze raz najmocniej przepraszam, że twój legł na dnie oceanu. Z samego rana dopilnuję, żebyś dostała nowy. Możesz także wziąć mój, a ja z przyjemnością powierzę ci zadanie odpowiadania na telefony od Harry'ego, ponieważ jest to obecnie praca na pełny etat...

ROZDZIAŁ. 23

Quinn, która oczekiwała na skraju zieleńca, nie była tą samą Quinn, którą Ellie spotkała rano w pobliżu portu. I z pewnością nie tą samą, którą omijała na palcach przez ostatnie kilka tygodni. Już z daleka Ellie dostrzegła zmianę w jej postawie: mieszaninę obawy i z troskania. Przyjaciółka stała w lekkim oddaleniu od reszty ludzi, zerkała na telefon, całe jej ciało wręcz drżało z niecierpliwości.

Słońce zaczynało opadać ku koronom drzew po drugiej stronie miasteczka, orkiestra miała przerwę, metaliczny dźwięk instrumentów ustąpił miejsca niejednolitemu gwarowi głosów. Ellie rozglądała się za swoją mamą. Jej myśli wciąż krążyły wokół wydarzeń dnia i w tej chwili najbardziej marzyła o tym, by nałożyły sobie jedzenie na papierowe talerze, runęły na koc i spędziły resztę wieczoru na rozmowach o wszystkim, byle nie o ojcu i byle nie o Grahamie, po prostu pałaszując smakołyki i śmiejąc się, póki nie pociemnieje niebo i fajerwerki nie zastąpią gwiazd.

Jednak zamiast mamy natknęła się na Quinn - tę dziwnie niepokojącą wersję Quinn - kroczącą tam i z powrotem obok bawiących się mieszkańców. Kiedy w końcu wyłowiła Ellie wzrokiem, zamarła w bezruchu.

I Ellie natychmiast zrozumiała.

- Przejdziemy się? - zaproponowała Quinn, na co Ellie kiwnęła głową, dając się prowadzić z dala od gromady ludzi, którzy otaczali kręgami parkowy pawilon, z dala od sklepów, straganów i zgiełku. Czowała dziwne odrętwienie, myśli zwolniły bieg i błędziły po omacku, gdy próbowała oswoić się z prawdą. Nie potrzebowała usłyszeć jej od Quinn, przyjaciółka miała bowiem wypisane wszystko na twarzy, w zaciśniętych ustach, zatroskanym wzroku.

Ku zaskoczeniu Ellie dotarły do Sprinkles, wybrawszy okreśną drogę na tyłach sklepów graniczących z zielonym skwerem. Quinn wygrzebała klucz z kieszeni szortów i bez słowa obie wśliznęły się do środka. Sklep był zamknięty, choć ofiarował na festyn z okazji Dnia Niepodległości ogromne pojemniki lodów, które wyłożono wraz z innymi smakołykami na stołach piknikowych na zewnątrz. W środku było cicho i chłodno, promienie słońca wpadały ukośnie przez okna, stawiając prostokątne pieczętki na kaflach podłogi. Ellie podążyła za Quinn na zaplecze, gdzie w części magazynowej ustawiono mały stolik i kilka składanych krzeseł. Otaczały je kartonowe pudła tworzące jakby zaczątek igloo, wypełnione dodatkami do lodów oraz różnymi rodzajami cukierków.

Usiadły, Ellie oparła się ciężko o stół, czując, jak zalewa ją fala zmęczenia.

- Więc wyszło na jaw? - zapytała. - Moje nazwisko?

- Tak - potwierdziła Quinn skinieniem głowy, Ellie zaś uzmysłowiła sobie, jakąż ulgą jest usłyszeć tę nowinę od przyjaciółki.

Quinn była zawsze niewzruszenie szczera i tę właśnie cechę Ellie lubiła w niej najbardziej. Nawet teraz po kilku tygodniach unikania się, kiedy przyjaciółka miała z pew-

nością na końcu języka tysiąc innych pytań, tysiąc innych spraw, które chciałyby poruszyć, instynktownie wiedziała, czym Ellie będzie się najbardziej trapić, i oceniła sytuację z niemal profesjonalną kompetencją.

- Wymieniają też nazwisko twojego ojca - dodała i w jej oczach pojawiło się zrozumienie, choć przecież nie mogła tego wszystkiego pojmować.

Kiedy były małe, Ellie skłamała Quinn, że jej rodzice są po rozwodzie, brzmiało to bowiem jakoś lepiej niż naga prawda, nawet gdyby wolno jej było zdradzić faktyczny stan rzeczy. „Zniknął z naszego życia”, tłumaczyła, powtarzając słowa zasłyszane od mamy, która powiedziała tak kiedyś w kawiarni, zagadnięta przez jakąś kobietę. I rzeczywiście, zniknął naprawdę, przynajmniej w rozmowach przyjaciółek.

Ellie nigdy się nie dowiedziała, czy mama Quinn zabroniła swojej szalenie dociekliwej córce zadawać zbyt wiele pytań, czy też koleżanka nawet jako dziecko dostrzegła w oczach Ellie ostrzeżenie za każdym razem, gdy wypływał ten temat. Tak czy siak, spędziły ostatnie dwanaście lat na omijaniu kwestii ojca, a teraz - kiedy Quinn miała wszelkie prawo gniewać się albo odczuwać konsternację z powodu tej ziejącej dziury przemilczeń w ich przyjaźni, tego wielkiego sekretu - emanowała jakąś łagodną siłą. Kłóciły się o znacznie większe błahostki i Ellie nie miałyby jej za złe, gdyby ta sytuacja wytrąciła ją z równowagi. Ale na tym polegała przyjaźń: odsuwało się w niepamięć wszystkie drobne żale i mało istotne skargi, gdy tylko pojawiał się istotny problem, i Ellie była za to wdzięczna.

- Nie jest tak źle, jak ci się wydaje - uspokajała Quinn. - Serio.

Mimo to na wzmiankę o ojcu Ellie ścisnęło się serce. Nabrała w płuca powietrza i starała się opanować drżenie rąk. Wiedziała, że to nastąpi, już kiedy zobaczyła rano pierwszy artykuł, już poprzedniego wieczoru, gdy patrzyła, jak Graham cofa pięść, może nawet od momentu, kiedy po raz pierwszy wszedł po stopniach werandy. Jednak nadal nie czuła się na to wszystko w pełni przygotowana.

Rozmyślała o ojcu w kolorowym polo i z promiennym uśmiechem na twarzy, o dotyku jego dłoni przy powitaniu i nagle doznała ulgi, że tak szybko opuściła ją pewność siebie. Tak było lepiej. Nie mógł się na nią złościć, skoro jej nie rozpoznał. Gdyby rano wszystko poszło zgodnie z planem - gdyby zapukała do jego drzwi, on by ją wpuścił, zaprowadził do stołu, gdyby usiedli i porozmawiali, a lata niewidzenia gdzieś by się rozplynęły, gdyby wyszła stamtąd nie tylko z czekiem, ale i z numerem telefonu i wspomnieniem oraz obietnicą czegoś więcej - teraz i tak wszystko by się rozpadło, kruche, nietrwałe jak bańka mydlana. Tylko tyle byłoby trzeba, żeby znów wszystko legło w gruzach: tej jednej chwili, w której niezidentyfikowana dotychczas dziewczyna została rozpoznana.

Może później - dziś, jutro, nazajutrz - ojciec przyjrzy się uważnie jednemu z wielu zdjęć, którymi bez wątpienia będą zilustrowane artykuły w prasie, i coś w jego głowie zaskoczy, nastąpi jakiś przebłysk świadomości. Będzie łamał sobie głowę, patrząc na jej twarz, twarz córki, do której nigdy wcześniej nie wyciągnął ręki, zastanawiając się, czy wydaje mu się znajoma dlatego, że jest częścią jego samego, czy też z jakiegoś innego powodu. Będzie próbował skatalogować wszystkie uśmiechy, które wi-

dział, i wszystkie uściski dłoni, które wymienił, przesiewając w myślach wizerunki rozmaitych osób, by umiejscowić gdzieś dziewczynę o rudych włosach i piegowatej cerze. Tę, która tamtego dnia na festynie odwzajemniła jego spojrzenie z niewypowiedzianą natarczywością, skłaniając go do skojarzenia faktów, zrozumienia, przejrzenia na oczy. Lecz pewnie nawet wtedy nie będzie do tego zdolny.

- Przez cały dzień próbowałam się z tobą skontaktować - powiedziała Quinn, schylając się, by otworzyć jedno z poniewierających się dookoła pudeł. Zmarszczyła nos na widok zawartości i przystąpiła do otwierania następnego, wyjmując z niego paczkę ciągutek. - Jak tylko zobaczyłam wiadomości, od razu chciałam się upewnić, czy wiesz. A tak w ogóle, gdzie byłaś?

- Telefon... mi się zepsuł - wymamrotała Ellie, częstując się zieloną mordoklejką i rozciągając ją w palcach. - A mama. Czy ona...? - Chciała powiedzieć *jest wściekła* albo *gniewa się* czy też *denerwuje*, ale wiedziała doskonale, że wszystkie te określenia są trafne i nie potrafiła zmusić się do dokończenia zdania.

Żołądek podjechał jej do gardła, gdy próbowała wyobrazić sobie sytuację: mama bierze do ręki gazetę albo otwiera pocztę elektroniczną, albo zaczepia ją ktoś w miasteczku. I na przykład pyta o córkę bądź też o tego mężczyznę, z którym córka ma romans, albo zwyczajnie pyta o Grahama i incydent z fotografem, największy skandal, jaki kiedykolwiek oglądało to senne miasteczko. Może być wściekła z tak wielu powodów, że wręcz trudno skupić się na jednym.

- Myślę, że po prostu się o ciebie martwi - wyraziła opinię Quinn. - Ja też.

Ellie miała zamknięte oczy, ale teraz ponownie je otworzyła.

- Dzięki - rzekła, przygryzając wargę.

Poczuła, jak rozluźniają się jej ramiona, tylko odrobinę; spośród tych wielu obrazów, które ciągle w sobie nosiła

- najświeższych rewelacji prasowych oraz ich wpływu na mamę, uprzejmego uścisku dłoni ojca, rozczarowania z powodu opuszczenia kursu na Harvardzie, zbliżającego się wielkimi krokami nieuchronnego pożegnania z Grahamem (na tę perspektywę ścisnęło się jej serce, a gdy rozmyślała o niej zbyt intensywnie, zaczynało brakować jej tchu) - odpadł jeden, przynosząc ulgę. To, co zaszło tego lata między nią a Quinn, zranione uczucia, zazdrość, nieporozumienia, odeszło w niepamięć. Ich przyjaźń przypominała nieco cukierka ciągutka - można było naciągać ją do granic, szarpać i wykręcać na wszystkie strony, lecz zerwać całkowicie było naprawdę trudno.

- Przepraszam, że nigdy nie powiedziałam ci o ojcu

- rzekła Ellie. - Chciałam. Nie masz pojęcia, jak bardzo. Ale mama zawsze się tego bała.

Quinn przechyliła głowę.

- Czego?

- Że historia wyjdzie na jaw i wszyscy dowiedzą się prawdy - tłumaczyła. - O tym, kim jesteśmy. I kim jest on. I skąd się tu wzięliśmy.

- Ellie, daj spokój - powiedziała Quinn z lekkim uśmiechem. - Nikogo tutaj to nie obchodzi. Mieszkacie w Henley od jak dawna? Myślisz, że ktoś, kto was zna, przejmowałby się jakimś skandalem sprzed miliona lat?

- Teraz już obchodzi - zauważyła Ellie. - Mówiłaś, że wieść się rozeszła. Wszystkie te artykuły...

Quinn parsknęła śmiechem.

- To ledwie notatka prasowa. Naprawdę. Wszyscy interesują się wyłącznie Grahamem.

Ellie utkwiała w niej spojrzenie.

- Co takiego?

- Sądzisz, że ludzie wolą czytać o córce Paula Whitmana czy dziewczynie Grahama Larkina?

-Nie jestem jego...

- Uwierz mi - przerwała Quinn, wtykając do ust kawałek cukierka. - Jesteś.

Ellie poprawiła się na krześle i z niedowierzaniem pokręciła głową. Postać ojca zawsze rysowała się wyraźnie na horyzoncie jej życia, jego nieobecność była tak wielka, że niemal przeradzała się w obecność. Myśl, że teraz Graham - którego dopiero poznała - mógłby zepchnąć ojca w cień, wydała się zdumiewająca. Przez cały czas sądziła, że sława Grahama będzie burzyła jej równowagę. On jednak zdołał uratować sytuację, będąc po prostu sobą. W oczach tak wielu ludzi liczył się dużo bardziej niż ojciec. Szybko do nich dołączyła, zdała sobie bowiem sprawę - doznawszy lekkiego szoku - że dla niej także jest ważniejszy.

Quinn puściła do niej po drewnianym blacie kolejny cukierek, Ellie wyciągnęła rękę, by go złapać.

- Mama i tak mnie zabije.

- Być może - przyznała wesoło Quinn, na powrót stając się w pełni sobą. - Ale gdy już się z tobą rozprawi, może zgarnełybyśmy trochę zimnych ogniów i wybrały się na plażę? Możesz nawet przyprowadzić swojego chłopaka, skoro i tak wyszło szydło z worka.

- Pod warunkiem że i ty przyjdiesz ze swoim - zaznaczyła, Quinn zaś jeszcze szerzej się uśmiechnęła.

Zebrały resztę ciągutek do tekturowego pudła, odsunęły krzesła i razem wyszły z zaplecza lodziarni. Niebo zaczynało się złościć, gasnące światło odbijało się od instrumentów orkiestry. Ellie widziała, jak Meg z delikatesów przygotowuje rożki z kolorową granitą, a dalej Joe z Lobster Pot stoi przy ogromnym grillu z łopatką w ręku, we wciśniętej na bakier kucharskiej czapie.

Wydawało się, że tego wieczoru na ulice wyległo całe miasto, niewidzialne granice parkietu do tańca wytyczono dość swobodnie, pierwsze odważne pary już wirowały. W tle migotał ciemny ocean. Ellie powróciła myślami do łodzi do połowu homarów, zacumowanej nadal w Hamilton, oraz do tych kilku spokojnych chwil na pokładzie, z Grahamem u boku, zanim wszystko się popsuło.

Gdy ponownie przeniosła wzrok na rozbawiony tłum, dostrzegła mamę przemykającą obok kolejki dzieci czekających na lody. Na jej widok poczuła szarpnięcie w piersi i odwróciła się do Quinn, która - co było nietypowe

- milczała.

- Powinnam pójść z nią porozmawiać - rzekła Ellie.

- Ale spotkamy się później.

Quinn kiwnęła głową.

- Jak zawsze.

Po wyjściu z lodziarni Ellie szybko przeszła przez ulicę, by nie zdążyła opuścić jej odwaga. Idąc, przygotowywała się na spojrzenia, które z pewnością powędrują w jej stronę. Zdawała sobie sprawę, jaką medialną burzę wywołała historia starcia Grahama z fotografem, a skoro ujawniono także i nazwisko Ellie - nie wspominając już o ojcu - nie mogła się łudzić, że mieszkańców Henley to nie interesuje.

Wiedzieli, to oczywiste - śledzili ją wzrokiem, gdy szła przez trawnik. Miała jednak wrażenie, że obserwowali nie tyle ją, co rozglądali się dookoła, ślizgali się wzrokiem po konturach jej postaci, uważnie i z nadzieją. Pojęła, że szukają kogoś innego. Szukali Grahama.

Ellie zachciało się śmiać. Quinn miała rację. Nikogo nie obchodziło, kim jest jej ojciec ani dlaczego tu przyjechały z mamą. Intrygował ich wyłącznie fakt, że gwiazdor filmowy wybrał kogoś stąd. I chcieli to zobaczyć na własne oczy.

Mama stała przy jednym ze stołów odwrócona do Ellie plecami i nalewała do szklanki lemoniadę. Gdy się odwróciła, ręka dzierżąca dzbanek lekko zadrżała i choć Ellie spodziewała się matczynego gniewu - i to całkowicie uzasadnionego - dostrzegła jedynie ulgę tak wyraźnie wypisaną na jej twarzy.

- Gdzie się podziewałaś? - zapytała pani O'Neill, odstawiając dzbanek. - Wszędzie cię szukałam. - W jej oczach czaiło się jeszcze jedno pytanie, ale je przemilczała. I z piętrzącego się na stole stosu zdjęła papierowy talerzyk z nadrukiem amerykańskiej flagi. - Zjedz coś - poleciła, podając go Ellie. - Musimy nadrobić zaległości.

Ellie burczało w brzuchu, gdy nakładała na talerz kopiaste łyżki sałatki ziemniaczanej i makaronu, dodając hot doga i babeczkę, zgiętym ramieniem ostrożnie przycisnęła do tułowia szklankę z lemoniadą i ruszyła za mamą na trawnik, gdzie był rozłożony kraciasty pled, ten sam co zawsze.

- Gdzie Bajgiel? - spytała Ellie, siadając po turecku i rozstawiając przed sobą jedzenie.

- Zaprowadziłam go do domu, bo zwędził dwa hamburgery.

Ellie parsknęła śmiechem, sięgając po babeczkę z malutką flagą zatknietą na czubku białego lukru.

- Jesteś tu od samego rana?

Mama nie odpowiedziała. Usadowiła się naprzeciwko Ellie, trzymając oburącz niebieski kubek z lemoniadą.

- Sprawdzając w ogóle swój telefon? - spytała z poważną miną.

Ellie pokręciła głową. -Zgubiłam.

Wiedziała, co za chwilę nastąpi, wiedziała, co powinna powiedzieć, ale zwykle „przepraszam” zupełnie nie wystarczało. Zdradziła sekret, który ciągnął się jak nić przez całe ich życie. Teraz zaś wszystko rozwinęło się zgodnie z przewidywaniami mamy, a Ellie nie potrafiła niczego zmienić. Może fakt, że cała uwaga skupiała się na Grahamie, złagodzi sytuację, może nie. Rozumiała, że nie to jest najistotniejsze, i z babeczką w ręku w napięciu czekała na to, co powie mama.

- Co do wydarzeń wczorajszego wieczoru - zaczęła, starannie dobierając słowa. - Z Grahamem i fotografem. Wiesz, że trafiły do prasy, prawda?

Ellie nie miała odwagi spojrzeć na mamę, ale skinęła głową, utkwivszy wzrok w babeczce z rozmazanym lukrem na chorągiewce. Nie wiedziała, jak odpowiedzieć, lecz wzbierał w niej potok słów i poczuła się zbyt zmęczona, by go powstrzymywać.

- Przepraszam, mamó - wyszeptała. W gardle wyrosła jej nagle gęsia skórka, mówiła ochryłym, zdławionym głosem. - To moja wina. Uprzedzałaś mnie, że tak będzie, lecz ja po prostu nie mogłam... nie umiałam się oprzeć. Nie spotykałam się z nim przez cały ten czas. Przestałam. Ale to

było okropne, że nie mogłam się z nim widywać. Czułam się strasznie nieszczęśliwa. A później znów się spotkaliśmy, tak wyszło. Ale ta afera z fotografem to zupełnie nie jego wina. Starał się mnie przed nimi chronić, byli potworni. Tak jak mówiłaś.

Prawie płakała, powodowały nią tyleż emocje, co zmęczenie. Mama siedziała naprzeciwko, obserwując z napięciem na twarzy, jak córka wyrzuca z siebie potok słów. Ellie nie wiedziała, czy to gniew, troska, czy może coś zupełnie innego. Zaczerpnęła tchu i mówiła dalej.

- To było straszne. Nie miał wyboru. Do rana nie zdążyli się połapać, że to ja mu wtedy towarzyszyłam, pomyślałam więc, że będzie w porządku, ale okazuje się oczywiście, że nie jest, no i przepraszam. Wiem, że potwornie nabroiłam i pewnie wszystko zepsułam, ale nie chciałam i najmocniej, najmocniej przepraszam.

Przez chwilę nie było żadnej reakcji. Mama siedziała i patrzyła na Ellie, na kocu stały nietknięte talerze z jedzeniem. A potem się pochyliła.

- Niczego nie zepsułaś - zapewniła spokojnie. Ellie otworzyła usta, chcąc zaprotestować, lecz mama potrząsnęła głową. - Czy wolałabym, żeby sprawa nie ujrzała światła dziennego? Oczywiście. To rozdział mojego życia, z którego nie jestem szczególnie dumna, a po wyjeździe z Waszyngtonu, kiedy zostawiłam twojego ojca, czułam się tak, jakbym uciekała, a to nigdy nie jest dobre.

Przerwała z zadumaną miną. Niebo pociemniało o kilka tonów, za jej plecami zamrugały pomarańczowe lampy rozmieszczone na obrzeżach trawnika.

- Ale spójrz, co przyniosła przeszłość - ciągnęła, wykonując zamaszty gest. - Trafiłyśmy tutaj. A co

znacznie ważniejsze, mam dzięki temu ciebie. Jak mogłabym żałować?

Ellie przygryzła wargę. Spędziła cały dzień na poszukiwaniu ojca niczym Ahab ścigający wieloryba. Teraz zdała sobie sprawę, że wyruszyła na całkowicie niewłaściwą wyprawę. W końcu znacznie bardziej przypominała Dorotkę. W końcu tym, czego szukała, okazał się dom.

Spuściła wzrok, zastanawiając się, czy powinna przyznać się mamie, gdzie była; o tyleż łatwiej byłoby udawać, że nic się nie zdarzyło, całkowicie wyprzeć ojca z pamięci. Wspomnienie bolało nawet teraz, a poruszenie tego tematu, aby mu się przyjrzeć, aby go przeanalizować i przedyskutować, było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła.

Ale przecież kłamstw nagromadziło się już tak wiele - Graham, Harvard, łódź - wszystkie zdecydowanie zbyt poważne, by je ukrywać, zbyt istotne, by można je przemilczeć. Zwiesiła głowę, przyglądając się porzuconemu talerzowi z jedzeniem.

- Widziałam go dzisiaj - wyznała cicho.

Chciała mówić dalej, wyjaśnić, kogo ma na myśli, lecz z wyrazu twarzy mamy jasno wynikało, że nie jest to konieczne. Siedziała na wprost Ellie ze skrzyżowanymi nogami, trzymając na kolanach papierowy talerz z kolbą kukurydzy, która poturlała się na koc, gdy pani O'Neill nerwowo się wyprostowała. Ponieważ nie ruszyła się, by ją podnieść, Ellie wyręczyła mamę, otrzepała pled z drobinek ziaren i odłożyła kukurydżę na talerz, przepraszająco wzruszając ramionami.

- Widziałas go? - powtórzyła kobieta, patrząc szklistym wzrokiem na córkę.

- Dlatego mnie nie było.

- Pojechałaś do Kennebunkport?

Ellie odsunęła się zdziwiona. Nawet nie przyszło jej do głowy, że i mama ma Paula Whitmana na oku, śledzi jego karierę tak samo, jak czyniła to Ellie od niepamiętnych czasów. Przyjęła, że nigdy o nim nie rozmawiają, ponieważ mama sobie tego nie życzy. Teraz po raz pierwszy do niej dotarło, że chyba jest w błędzie. Może właśnie mama chciała o nim rozmawiać, milczenie zaś było jedynie sposobem zatamowania strumienia wspomnień, bandażem na ranę.

Może zostawiła go wiele lat temu wcale nie z nienawiści, lecz z miłości.

Po chwili milczenia Ellie pokiwała głową.

- Towarzyszył mi Graham - dodała, pomijając na razie epizod z łodzią. - Nie wiem, na co liczyłam. Po prostu chciałam go zobaczyć.

Twarz mamy nadal była dziwnie obojętna.

-1 zobaczyłaś?

Ellie znów przytaknęła.

- Był w miasteczku, rozmawiał z wyborcami - wyjaśniła i nagle załamał się jej głos. - Nie wiedział, że to ja. Nie poznał mnie.

- Och, El - szepnęła mama i przysunęła się bliżej, tak że siedziały obok siebie. - Nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, że chcesz się z nim spotkać.

-Ja też nie - odparła Ellie i nagle zmarkotniała. - W gruncie rzeczy. Pewnie głupio z mojej strony, ale myślałam, że może mnie rozpozna...

Orkiestra po drugiej stronie trawnika zakończyła piosenkę wibrującym crescendo i umilkła. Ludzie wracali na koce w atmosferze niecierpliwego wyczekiwania. Prawie każdy przychodził na festyn od tak wielu lat, by wiedzieć,

że gdy niebo przybierze odcień delikatnego dżinsowego granatu, zespół zagra ostatni kawałek i ucichną brawa w ciepłym wieczornym powietrzu, rozpocznie się pokaz sztucznych ogni.

- Wiesz, jak nawiązaliśmy ze sobą rozmowę wtedy, wiele lat temu? - zapytała mama, a Ellie kiwnęła głową.

- Byłaś jego kelnerką.

- Zgadza się, i zawsze tylko przyjmowałam od niego zamówienie, nic ponadto - ciągnęła. - Ale nadszedł taki tydzień, kiedy padało dzień w dzień. Twój ojciec przychodził co rano w ociekającym płaszczu, z przemoczonymi włosami i wślizgiwał się do boksu, który wydawał się zawsze za ciasny, by pomieścić jego długie nogi. I wreszcie któregoś ranka przestało.

- Padać. Przytaknęła.

- Gdy przyjmowałam od niego zamówienie, wyjrzałam przez okno i napomknęłam coś o cudzie. Wiesz, co odpowiedział?

Ellie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Powiedział: „Tutaj cudów nie będzie”. Pamiętam, że rozejrzeliśmy się oboje po pomieszczeniu i pomyślałam, że ma rację. Znajdowaliśmy się w tanim barze, wtedy dość obskurnym. Wśród przesmażonych jaj, plam na stole, podartych siedzeń z ceraty i kawałków ciasta, które leżały o wiele za długo. Kiedy jednak zapytałam, co ma na myśli, opowiedział mi siedemnastowieczną historię pewnego miasta we Francji, które rzekomo było świadkiem licznych cudów. Gdy zaczęło przybywać tam zbyt wielu pielgrzymów, a wszyscy pełni nadziei, władze wystawiły szyld: TUTAJ CUDÓW NIE BĘDZIE.

Nad ich głowami pierwsze fajerwerki, maleńkie kropelki światła, przeleciały ze świstem obok dachu hotelu i wystrzeliły w nocne niebo; im wyżej się wzbijały, tym bardziej cichły, wkrótce Ellie całkiem straciła je z oczu. Za to chwilę później rozprysły się z trzaskiem w powietrzu, ich złociste, pajęczne nogi zakreśliły łuk i z powrotem sunęły ku ziemi.

- I proszę - rzekła mama, której głos zabrzmiał cicho wśród zgiełku. - Zdarzył się cud. Tylko jeszcze wtedy o tym nie wiedzieliśmy. - Uśmiechnęła się. - Tym cudem byłeś ty.

- Mamo - zaczęła Ellie, lecz nie dokończyła.

- Może dzisiaj cię nie rozpoznał - ciągnęła, kręcąc głową. - Ale cię kocha. Widziałam, jak na ciebie patrzył, gdy byłeś mała. Zawsze pragnął córki. - Ścisnęła rękę Ellie. - A że trzyma się z dala od naszego życia? Dla niego także nie było to łatwe. Musisz o tym wiedzieć. To była moja decyzja. To ja się odcięłam. On był gotów upublicznić twoje istnienie, choć mogłoby to zrujnować jego karierę. Nie chciałam do tego dopuścić.

- Dlaczego?

- Nie tego dla nas pragnęłam. Nie chciałam, by on, mieszkający z żoną i dziećmi w Delaware, wysyłał nam czeki, a my tkwiłybyśmy w Waszyngtonie, opędzając się od prasy. Chciałam, byś miała prawdziwe życie. Takie jak tu. - Zatoczyła koło ramieniem, pokazując przyjaciół i sąsiadów wznoszących radosne okrzyki, a wtedy Ellie poczuła, jak rośnie jej serce na widok tego miasteczka, które kochała i którego za nic by nie zamieniła, zwłaszcza na życie córki senatora.

Przez cały ten czas zastanawiała się, czy żyłoby się jej lepiej, gdyby należała do rodziny ojca, teraz jednak zro-

zumiała, że wprost przeciwnie. To nie ona poniosła stratę. Jej dorastaniu nie towarzyszyły co prawda pieniądze na letnie obozy albo podróże do Europy, czy też kupno co roku nowego samochodu. Za to on nigdy nie oglądał zachodu słońca z ich zatoczki w pobliżu domu. Nigdy nie spędził zimowego poranka w „Radosnych Myślach”, grzejąc skarpety na kaloryferze. Nigdy nie jadł w Lobster Pot ani nie kosztował sorbetu pomarańczowego w Sprinkles. Nigdy nie widział, jak drużyna Ellie wygrywa mecz piłki nożnej, ani jak córka zdobywa pierwsze miejsce w konkursie ortograficznym i nigdy nie poznał Bajgla. Nigdy nie jadł kolacji *Chez O'Neill*.

- On nas nie opuścił - mówiła mama. - Dał nam podarunek.
- Pozwolił nam odejść - rzekła cicho Ellie. Mama pokiwała głową.
- I sobie radzimy. Ale uwierz mi: on nadal cię kocha. Nie muszę utrzymywać z nim kontaktu, żeby o tym wiedzieć.

Widoczność słabła, ale sylwetki ludzi, którzy rozglądali się za miejscami do siedzenia, wciąż rysowały się w świetle ulicznych latarni. Kilkoro dzieciaków ze śmiechem przebiegło obok w świecących naszyjnikach, a Ellie zmrużyła oczy, by dostrzec samotną postać, sadowiącą się na trawie nieopodal ich koca. Serce zabiło jej mocniej, gdy ją rozpoznała.

To był Graham.

Usiadł na trawie i podkurczył nogi, podnosząc wysoko głowę, by patrzeć w niebo. Zauważyła, że przyciska do ucha telefon. Miała nadzieję, że nie rozmawia ze swoim menedżerem ani adwokatem czy agentem prasowym. Coś w jego posturze, rozluźnionym wyrazie twa-

rzy wskazywało, że może faktycznie tak jest. Był sam, jak zwykle. Potrafił znajdować się wśród ludzi, a jednocześnie być daleko. Ten wieczór niczym się nie różnił.

Po wybuchu i zgaśnięciu każdego wystrzelonego fajerwerku Ellie zamykała oczy, zachowując wspomnienie świetlistych smug, rozmyślając o dniu, który właśnie mijał, dotyku ręki ojca, krzepiącej obecności mamy, a przede wszystkim - przede wszystkim - o chłopcu siedzącym niespełna trzy metry dalej, wpatrzonym w to samo niebo.

Przypomniały się jej słowa, które wypowiedział ojciec wiele lat temu: *Tutaj cudów nie będzie.*

Pomylił się, nie miała wątpliwości. Myśli napływały z natarczywością, która ją zdumiała. Nawet wtedy, w tamtym barze, musiały istnieć jakieś możliwości. Trzeba tylko umieć szukać. Nawet brudne okno albo nieświeża szarlotka może być swego rodzaju cudem.

- No i co teraz będzie? - zapytała Ellie. - Skoro wszyscy o tym trąbią, to musi wiedzieć, że tu mieszkamy. Sądysz, że będzie próbował nas odnaleźć?

- A chciałybyś?

- Nie wiem - odparła szczerze. - Może kiedyś. A może nie. Nie wiem.

- Nie szkodzi - rzekła mama. - Mamy czas na zastanowienie.

- Naprawdę bardzo przepraszam - kajała się kolejny raz Ellie.

Tym razem nie do końca rozumiała, za co przeprasza; mogła wybierać spośród tylu powodów.

- Hej - mama delikatnie chwyciła ją za brodę. - Będzie dobrze.

- Bo? - odezwała się cicho Ellie.

- Mamy szczęście - tłumaczyła mama. - Wygląda na to, że wszystkich bardziej interesuje ta druga część historii. Graham Larkin fascynuje ludzi znacznie bardziej niż Paul Whitman. - Z uśmiechem potrząsnęła głową. - Zdecydowanie tego nie przewidziałam.

Wzrok Ellie ponownie przeniósł się na odwróconego plecami Grahama. Odłożył właśnie telefon i skierował twarz ku niebu.

- To dobrze - zauważyła Ellie. - Odciąga od nas uwagę.

- Nie, dopóki jest w miasteczku - zaprzeczyła mama, odchylając się w tył. - Ale za parę dni wyjedzie i wtedy będzie po wszystkim.

Kolejny fajerwerk rozprysł się nad ich głowami, obręcz zieleni i purpury, lecz Ellie tego nie widziała. Była zbyt pochłonięta obserwowaniem Grahama, a kiedy się odwrócił, natychmiast spotkały się ich spojrzenia. Długo nie odrywali od siebie wzroku w deszczu iskier, który opadał na ziemię. Kolejny wybuch rozświetlił barwami nocne niebo. Poczła tę eksplozję całą sobą aż po czubki palców, żar i płomień, jak płonąca świeca, jak gorączka, jak ogień.

I wtedy będzie po wszystkim, dumiała, nie spuszczając Grahama z oczu.

„Cześć”, powiedział bezgłośnie przez dzielącą ich łąc trawnika.
„Cześć”, odparła natychmiast.

ROZDZIAŁ 24

Rano nie było śladu po wydarzeniach minionego wieczoru, po orkiestrze i sztucznych ogniach, po jedzeniu i zabawach. Gdy Graham szedł na plan pod oranżowym niebem, zielony teren miasteczka wyglądał tak jak zawsze: połać trawy, cicha i opustoszała, przykryta rosą. Żadnych poniewierających się plastikowych kubków, które wiatr roznosiłby po okolicy, żadnych osmalonych śladów po fajerwerkach ani zimnych ogni porozrzucanych po chodnikach, nie było nawet prostokątów przygniecionej trawy w miejscach, gdzie leżały wcześniej koce, tworzące gigantyczną patchworkową narzutę.

Graham wypił łyk kawy, którą wyniósł z hotelowego holu, uważając, by jej nie rozlać, albowiem chodnik obniżał się ku morzu. Przed sobą widział Micka przechodzącego przez ulicę, zmęczonego, nieogolonego, trzymającego kubek kawy przynajmniej dwukrotnie większy niż ten Grahama.

- No, no, kogo ja widzę? Nasz zawodowy bokser - rzucił z daleka, zatrzymując się i czekając na Grahama, który już szykował się do zdjęć. Ale ku jego zaskoczeniu Mick nie wydawał się zły. Raczej starał się hamować śmiech. - Cicha woda brzegi rwie - stwierdził,

kręcąc głową. - Ale z tego, co przeczytałem, upolowałeś za jednym zamachem i czarny charakter, i dziewczynę, co?

- Naprawdę bardzo mi przykro, Mick. Nie chciałem wszystkiego schrzanić...

Mick zbył go machnięciem ręki, idąc w dół ulicy.

- Nie ma o czym gadać - zapewnił. - Rozmawiałem dziś rano z Harrym. Ten facet to czarodziej. Sprawa dzięki niemu całkowicie ucichła.

Graham wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy.

- Jak to? Nie rozumiem.

- Tak jak mówiłem - rzekł Mick i wzruszył ramionami. - Wykręcił kota ogonem. Chyba nawet nie potrzebował do tego prawników.

Po raz pierwszy od dwóch dni Graham poczuł, jak schodzi z niego napięcie i rozluźniają się mięśnie twarzy. Wydał długie westchnienie i z ulgą pokręcił głową.

- A co z tym medialnym szumem? Z pewnością nie przysłuży się...

- Zawsze czemuś się przysłuży - przerwał Mick. - Pierwsza zasada w naszym biznesie. Poza tym nigdy nie zawadzi, jeśli w aktorze obsadzonym w głównej roli publika dostrzeże twardziela.

Graham spojrział na swoją pięść, która wciąż jeszcze była obolała.

- Pewnie nie zawadzi - powtórzył. - W każdym razie przepraszam.

Naprawdę.

Mick jęknął przeciągle.

- Dwie minuty, Larkin. -Co?

- Tyle było potrzeba, żeby naprawić twój wizerunek.

- Przepraszam - powtórzył kolejny raz chłopak, a Mick przewrócił oczami.

- Słuchaj, jeśli wykrzeszesz z siebie dzisiaj na planie tyle energii co wtedy, to mucha nie siada - rzucił, poklepując Grahama po ramieniu, a następnie oddalił się w stronę ciężarówki z cateringiem.

Na planie zdjęciowym asystent produkcji pomachał do aktora, od razu zaganiając go do przyczepy charakteryzatorów. Tego dnia wyczuwało się pośpiech, każdy starał się zakończyć swoją pracę zgodnie z harmonogramem, panowała gorączkowa atmosfera jak w ostatnim dniu letniego obozu. W poniedziałek znów mieli spotkać się wszyscy w LA na kolejne dwa tygodnie zdjęć, co jednak niczego teraz nie zmieniało, bo czuło się nastrój końca. I jak w wypadku każdego końca smutek łączył się z euforią.

Graham siedział już na płóciennym krzeselku, pochylała się nad nim charakteryzatorka z puszką do pudru, z niezadowoleniem patrząc na jego opalony nos. W tym momencie Larkin zauważył Harry'ego idącego przez ogrodzony teren zdjęć. Rozmawiał przez telefon, gestykulował wolną ręką, zmęczenie przygniatało go jak ciężkie palto, ramiona zaokrągliły się, gdy powoli docierał do przyczepy. Kiedy jednak się obejrzał i zauważył Grahama, twarz rozciągnęła mu się w uśmiechu. Przystanął, wyrzucił w górę kciuk, a widząc, że aktor zaczyna wstawać, Harry odprawił go machnięciem ręki i wskazał palcem na telefon. Stał jeszcze przez chwilę, uśmiechając się szeroko i po raz kolejny dając znak, że wszystko w porządku, zanim ruszył w dalszą drogę.

Olivia usadowiła się na krześle obok Grahama, który kichnął, kiedy charakteryzatorka omiatała mu twarz pu-

drem. Kobieta odsunęła się, marszcząc czoło, ale zaraz powróciła do pracy, kręcąc z dezaprobatą głową.

- Słyszałam, że wyciągnął cię z tarapatów - zaczęła Olivia, machając w kierunku Harry'ego, który zniknął właśnie za przyczepą. - Nawet ja muszę przyznać, że imponująco wszystko odkręcił. Udało mu się zrobić z ciebie niemal bohatera, broniącego miłości swojego życia przed wielkimi, złymi paparazzi. - Popatrzyła z zazdrością. - Nieźle.

- Dlatego płacę mu kupę forsy - skomentował Graham z uśmiechem.

- Sądysz, że ma jakieś wolne miejsce w grafiku?

- Nikt nie ma go aż tyle, żeby wystarczyło dla ciebie - przekomarzał się.

- Cóż, to ty bez wątpienia zdominowałaś ostatnio prasę - rzekła, robiąc gwiazdorską minę, choć słyszał w jej głosie nutę podziwu. - I twoja dziewczyna. Odnoszę wrażenie, że to miejsce jest jakąś alternatywną rzeczywistością, w której to ty ściągasz na siebie całą uwagę.

- Nie przejmuj się - odparł ze śmiechem. - Jeszcze kilka dni i wrócisz do swoich klubów, gdzie poczujesz się jak ryba w wodzie.

- A ty do domu i swojej świnki.

- Tak. Gdybyś potrzebowała jednak wskazówek, jak skupić na sobie zainteresowanie dziennikarzy... - dodał, podnosząc ręce - chętnie służę pomocą.

- Twoja technika pozostawia nieco do życzenia - zauważyła, ale widział, że ją rozbawił.

Gdy charakteryzatorka odsunęła się, chcąc ocenić efekt swojej pracy, Graham głęboko odetchnął. Ekipa przygotowywała się do filmowania sceny, ruch i ożywienie zapowiadały obiecujący dzień. W tych chwilach, z dala od

fanów, zanim wycelowano w niego kamery, czuł zawsze, jak przepływa przez niego jakaś dziwna energia, i wtedy z niezachwianą pewnością wiedział, że dzień będzie udany.

Idąc z przyczepy charakteryzatorskiej na plan, gdzie czekał na niego Mick, spojrzał w górę na niebo, blade, z punkcikami krążących ptaków, jak negatyw wczorajszego pokazu sztucznych ogni. Omiótł wzrokiem hotel, powrócił myślami do minionego wieczoru, gdy stał w tym samym miejscu co teraz, obserwując, jak zgraja dzieciaków przemyka pośród tłumu, dzierżąc w ręku zimne ognie jak czarodziejskie różdżki.

Właśnie tak wyobrażał sobie tutejsze obchody Dnia Niepodległości, właśnie tak wyglądały, kiedy był dzieckiem, lecz mimo to miał ochotę ominąć to wszystko, pójść przed siebie i zobaczyć, dokąd dojdzie. Dzień obfitował w podróże, rejsy i przejażdżki autobusem, a wyruszenie dokądś bez określonego kierunku i celu, na północ albo na południe, naprzód lub wstecz, póki nie zgubi się na dobre, wydawało się idealnym zwieńczeniem pobytu w Henley.

Gdy orkiestra odłożyła instrumenty i zapadła względna cisza, przez tłum przeszedł szmer oczekiwania. Graham spojrzał w niebo, choć nie było na nim jeszcze niczego poza nikłym blaskiem zapalających się powoli gwiazd. Kiedy nagle zadzwonił jego telefon, zerknął na wyświetlacz. Zabrał aparat, wychodząc z hotelowego pokoju, ale nie potrafił zmusić się do oddzwonienia na nieodebrane połączenia. Nie miał nastroju do rozmów z prawnikami czy agentami. Te sprawy przynależały do świata Los Angeles. W tej chwili był jeszcze w Henley.

Miał już całkowicie wyłączyć telefon, gdy uprzytomnił sobie, że dzwoniła mama.

- Cześć - przywitał ją, przyciskając aparat do ucha. Przyszło mu do głowy, że być może mama dzwoni

dlatego, że widziała go w wiadomościach. Wcześniej nawet o tym nie pomyślał; mama i jego kariera aktorska znajdowały się na dwóch przeciwnych biegunach jego życia i łączenie ich było jak próba wyostrenia zamazanego obrazu.

- Cześć - odpowiedziała, a tuż potem usłyszał w słuchawce jakieś szepty. - Poczekaj - poprosiła po chwili. Graham zaczął iść w stronę morza koców tworzących na trawie szachownicę. Było za ciemno, by ktoś mógł go rozpoznać, choć kilka osób wodziło za nim wzrokiem, przymrużywszy oczy. Z telefonu dobiegły śmiech i postukiwanie, a nagle wszystkie odgłosy się nasiliły, ponieważ mama przełączyła aparat na głośnik. - Tato też jest tu ze mną.

Graham zatkał dłonią drugie ucho, żeby lepiej słyszeć, i usiadł na chłodnej trawie na skraju parku.

- Wszystko w porządku? - zapytał, nie będąc pewien, czy chce usłyszeć odpowiedź.

Ku jego zaskoczeniu mama tylko się roześmiała.

- Są fajerwerki? - pytała, przekrzykując hałas w tle, gwar rozmów przy grillu u sąsiada.

Wyobraził ich sobie, tatę w tradycyjnym niebieskim polo oraz mamę w koszulce w czerwono-białe paski, tłoczących się przy telefonie.

- Gdzie? - powiedział zdezorientowany. - U was?

- Nie - odezwał się tato. - U ciebie. Sprawdziliśmy rano, o której zachodzi słońce w Maine. Są już fajerwerki?

- Jeszcze nie - odparł, lecz w tej samej chwili pierwszy z nich przeciął niebo jak spadająca gwiazda. - A właściwie tak. Właśnie się zaczęły.

- U nas będą dopiero za kilka godzin - wtrąciła mama.

- Ale chcieliśmy oglądać je z tobą.

Graham się uśmiechnął, był w kropce. Myśl o tym, że rodzice sprawdzili godzinę zachodu słońca w Maine, czekali, aż na drugim wybrzeżu się ściemni, i wymknęli się z przyjęcia, by do niego zadzwonić, była tak zaskakująca, że nie bardzo wiedział, jak zareagować.

- Pamiętasz tamten rok, kiedy oglądaliśmy razem fajerwerki w parku?

- zapytał tato. - A ty oparzyłeś się w palec świecą odstraszącą owady?

Graham się roześmiał.

- A pamiętasz, jak podziwialiśmy je na plaży?

- I twój tato zrzucił ze skał naszego arbuza? - dodała mama rozbawionym głosem.

- Hej! - zaprotestował pan Larkin, lecz i on się śmiał.

- Wtedy zaatakowała mnie mewa.

Dwa kolejne sztuczne ognie wybuchły z trzaskiem, sypiąc różnokolorowymi iskrami.

- Szkoda, że was tutaj nie ma - powiedział cicho Graham, ale już sama rozmowa, ich stłumione oddechy w słuchawce były dla niego pocieszeniem. Przyglądał się wystrzeliwanym pojedynczo sztucznym ogniom, każdy następny różnił się od poprzedniego, lecz jednocześnie powracały do niego jak echo wspomnienia wszystkich innych, tyle razy oglądanych wspólnie w rodzinnym gronie. W końcu wydusił. - Kilka ostatnich dni było...

- Wiemy - przerwała mu mama. - Próbowaliśmy dzwonić wcześniej, kiedy zobaczyliśmy informacje w gazetach.

- Przepraszam. Ja tylko...

- Ci faceci to hieny - oświadczył tato takim samym tonem, jakim mówił o republikanach albo rywalizujących drużynach bejsbolowych.
- Sami się prosili.

- Dzięki. Mimo wszystko czuję się naprawdę okropnie.
- Przepracowujesz się - wtrąciła się mama. - W kółko te zdjęcia, a gdy tylko wrócisz, to znowu sceny w studiu, później podróże, kampania reklamowa...

Graham się roześmiał.

- Skąd ty to wszystko wiesz?
- Prenumerujemy „Variety” - zakomunikowała z nutą dumy w głosie.
-1 „Hollywood Reporter”.

- Serio? - zapytał, bez powodzenia usiłując wyobrazić sobie mamę czytającą codzienne doniesienia ze świata rozrywki.

- Oczywiście - potwierdziła, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. - Lubimy wiedzieć, co u ciebie.

- Ciekawie jest śledzić świat kolorowych ruchomych obrazków - żartował tato, a Graham parsknął śmiechem.

- Zwykle nazywa się je filmami.

- Niech będzie, kolorowych filmów. Ostatnimi czasy często wymieniają twoje nazwisko. Mnóstwo interesujących ról...

- Nie wierz ani jednemu słowu - żartował Graham. - Jeszcze nie podjąłem decyzji co do następnego projektu.

- Cóż, myślę, że byłbyś dobry we wszystkim - zauważyła mama. - Pamiętasz, jak świetnie zagrał w *Facetach i laleczkach*? - Te słowa były skierowane do ojca, który mruknął twierdząco. - Jesteśmy z ciebie tacy dumni.

Wyznanie mamy poruszyło Grahama.

- Dzięki, mamó.

- Kiedy dokładnie wracasz?

- Pojutrze - odparł syn ze wzrokiem utkwionym w niebo. - Szybko zleciało.

- A ogólnie dobrze?

Pokiwał głową, choć wiedział, że nie mogą tego zobaczyć. Z zaskoczeniem poczuł, jak na myśl o wyjeździe z Henley ścisną go za gardło.

- Tak - przyznał. - Bardzo dobrze.

- Upiękniam dzisiaj ciasto cytrynowe z kremem - powiedziała mama. - Zostawię dla ciebie kawałek, więc musisz szybko nas odwiedzić po powrocie.

- Okej. Odwiedzę.

- Zdaje się, że przydałaby ci się przerwa w pracy

- stwierdził tato. - Powinniśmy wybrać się gdzieś razem w weekend. Kręcicie w niedzielę? Może kręgle albo bejsbol...

Wybuchł gwiazdzisty fajerwerk, jego kształt długo utrzymywał się w powietrzu, niczym pieczęć na niebie.

- Albo na ryby - dodał Graham, a tato cicho się zaśmiał.

- Dawnośmy tego nie robili. Ostatnim razem nie dopisało nam szczęście.

- Ależ dopisało - zaproponował Graham, czując nagle dziwny dreszcz. Odwrócił lekko głowę, a kiedy wyostrzyły się niewyraźne sylwetki na najbliższym kocu, ze zdumieniem rozpoznał w jednej z nich Ellie. Poprawił telefon w rękę i choć rozkojarzony, dokończył jednak myśl.

- Złowiliśmy jakąś tonę, nie pamiętasz?

Siedząca obok Ellie mama coś mówiła, gestykulując zamasyście, ojciec Grahama sęczył mu prosto do ucha

wspomnienia z dawnej wyprawy na ryby, nad głową strzelały sztuczne ognie.

Wciąż jednak nie odrywał wzroku od Ellie. Ogarnął ich głęboki spokój, jakby wokół nie było nikogo i nic się nie działo.

- Chcieliśmy już rezygnować - mówił tato. - Nie złowiliśmy kompletnie nic aż do ostatniego dnia. Graham się uśmiechnął.

-1 tylko tamten dzień się liczył - powiedział ze spojrzeniem ciągle utkwionym w dziewczynie.

Od: GDL824@yahoo.com

Wysłane: piątek, 5 lipca 2013, 08:18

Do: EONeill22@hotmail.com

Temat: powtórka

Spróbujmy jeszcze raz...

Czy zechciałabyś zjeść dzisiaj ze mną kolację
w Lobster Pot?

ROZDZIAŁ 25

Był już na miejscu, gdy się zjawiała, czekał na nią przy drewnianym sztyldzie. Jak na początek lipca wieczorem nieoczekiwanie się ochłodziło, Graham miał na sobie koszulę z długim rękawem i spodnie khaki, włosy nadal wilgotne po kąpiel. Jeszcze nie zauważył Ellie, zatem nie spieszyła się, szła wolno, starając się ze wszystkich sił go zapamiętać, jakby sama pamięć była gwarancją trwania.

Ekipa rozmontowywała sprzęt po całym dniu zdjęć. Łodzie rybackie zawijały na wieczór do portu, pobrzękiwanie pułapek na homary mieszało się z metalicznymi zgrzytami towarzyszącymi ładowaniu przyczep. Pozostał jeszcze jeden dzień zdjęciowy, lecz Graham kończył swoje sceny rano, a zaraz potem opuszczał Henley. Nazajutrz o tej samej porze ulica opustoszeje, barierki znikną, ciężarówki odjadą i będzie tak, jakby nigdy nic się nie wydarzyło.

Ellie przeszła się tego dnia nad morze, aby popatrzeć, jak filmują na molo. Widok był znacznie mniej ekscytujący, niż mogłaby się spodziewać, głównie mnóstwo początków i końców, grali w kółko te same ujęcia, każde następne z pozoru takie samo jak poprzednie. Graham mówił coś do Olivii, podniósłszy ręce w pojednawczym geście, ona pochylała głowę, odwracała się

i odchodziła, zostawiając go samego na skraju nabrzeża - i tak na okrągło.

Ellie stała zbyt daleko, by dosłyszeć, co mówią, lecz widok Grahama tak skupionego i zaangażowanego, nawet z dużej odległości robił wrażenie. Przypomnił się jej tamten dzień na plaży, kiedy wyłoniła się z zagajnika i ujrzała go w zupełnie nowym świetle, kiedy opadła maska Grahama Larkina gwiazdora filmowego, a pozostał chłopak z uśmiechem przeznaczonym tylko dla niej.

Teraz było podobnie; zrzucił coś z siebie, stał się kimś zupełnie innym, choćby tylko na tę jedną chwilę. Ellie po raz pierwszy zrozumiała, co to znaczy być aktorem, że to coś więcej niż czerwone dywany i paparazzi, że to rodzaj sztuki. I że Graham jest w tym dobry.

Długo zwlekała z odejściem. Asystent produkcji rozpoznał ją ze zdjęć w prasie i zaprosił gestem ręki za metalowe barierki, lecz Ellie tylko się uśmiechnęła i pokręciła głową. Nie przeszkadzało jej oglądanie Grahama z daleka, w gruncie rzeczy do tego właśnie się przygotowywała. Jutro on wyjedzie i nie będzie miała innego wyboru, jak widywać go jak wszyscy inni tylko w filmach i kolorowych magazynach, w Internecie i prasie.

Stojąc pośród innych jego fanów, poczuła, jak coś w niej wzbiera, i zdała sobie sprawę, że w ten sposób się z nim żegna. Będą oczywiście i inne okazje, wieczorem przy kolacji i może nawet następnego dnia przed jego wyjazdem: właściwe pożegnanie, podczas którego wygłoszą wszystkie okolicznościowe formułki: *Będziemy w kontakcie, Będę za Tobą tęsknić, Dzięki za wszystko.*

To pożegnanie odbywało się teraz wedle zasad Ellie. Zabawiła na molo długo, już dawno powinna zameldo-

wać się w Sprinkles, ale wiedziała, że Quinn ją zastąpi. Poprzedniego wieczoru po pokazie fajerwerków poszły razem na plażę, wysypały na piasek paczkę petard, a później odpalały jedną po drugiej i obserwowały, jak kręcą młynki nad czarną taflą wody.

Było tak samo jak co roku. A nawet lepiej.

Gdy Ellie zbliżała się teraz do Lobster Pot, Graham odwrócił się ku niej, a jej zabiło szybciej serce, uświadomiła sobie, że nie jest gotowa na rozłąkę. Ani trochę. Przypomniała sobie słowa, jakie napisała do niego podczas ich pierwszej wymiany e-maili: *Nie jestem pewna, czy już skończyłam się żegnać*. W tej chwili czuła się podobnie, choć nigdy nie wyobrażała sobie, że to możliwe.

- Ładnie wyglądasz - skomplementował Ellie, rzucając okiem na jej zieloną letnią sukienkę.

- To ta sama, którą miałam na sobie...

- Wiem - przerwał, całując ją w policzek. Był świeżo ogolony, czuła miękkość jego skóry. - Tym razem prezentuje się jeszcze ładniej.

- Dzięki - powiedziała i wskazała na jego koszulę. - Ty też wyglądasz ładnie.

Nastąpił niezręczny moment, gdy przyglądali się sobie nawzajem. Pomimo wielu spędzonych wspólnie godzin po raz pierwszy znaleźli się w sytuacji zbliżonej do prawdziwej randki i nagle przytłoczyły ich konwenanse, słowa, które wypowiada się, gdy umawiasz się z kimś na kolację. Słowa inne niż te, które mówi się, gdy ratujesz tę drugą osobę przed fotografami albo kradniesz łódź do połowu homarów, czy też zwyczajnie spacerujesz plażą.

Drzwi do Lobster Pot otworzyły się z rozmachem i w progu stanął Joe.

- Wszystko dla was przygotowane - zameldował Grahamowi, następnie rozejrzał się po ulicy, po ludziach przechadzających się w zapadającym zmierzchu. - Nie trzeba się nikogo pozbyć?

Graham wzruszył ramionami.

- Chyba nie.

- Musiałeś napędzić wszystkim stracha - skwitował Joe ze słabo skrywanym zachwytem, po czym zagarnął oboje do środka ramieniem.

Graham wszedł pierwszy, za nim Ellie, lecz zatrzymali się obok wieszaka w kształcie gigantycznego haczyka na ryby. Wszystkie pary oczu w restauracji skwapliwie skorzystały z okazji i zwróciły się w stronę wejścia; odkładano widelce i zapominano o homarach, gapiąc się gremialnie na parę przy drzwiach. W pierwszym odruchu Ellie chciała dać nura za pulpit kelnerski albo wykonać zwrot w tył i wyjść. Spędziwszy tak wiele czasu na zamartwianiu się dokładnie takim scenariuszem, dziwnie było stanąć nagle przed tłumem twarzy - niektórych znajomych, innych nie - i pozwolić, by zobaczyli ją z Grahamem. Choć przecież to, co ich łączy, nie było już tajemnicą, zatem nie mieli powodu się ukrywać.

Joe wskazał im stolik w głębi sali, w miejscu, które pozostawił puste, by zapewnić im swobodną przestrzeń do rozmowy. Ellie odblokowała się dopiero wtedy, gdy Graham złapał ją za rękę, i ruszyła za chłopakiem ze wzrokiem wbitym w podłogę. Przy stoliku odsunął dla niej krzesło, sam usiadł naprzeciwko. Joe wyjął z kieszeni zapalniczki, zapalił świece i puścił do Ellie oko, po czym zostawił ich samych.

- A więc - powiedział Graham, pochylając się do przodu. Ellie nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- A więc.

- Trzymasz fason?

Poprzedniego wieczoru tuż po pokazie sztucznych ogni Ellie podeszła do Grahama. Wszędzie wokół rodziny zwijały koce i zgarniały senne dzieci do domu. Zajęła obok niego miejsce na trawie. Długo siedzieli w milczeniu.

- Słyszałeś, prawda? - spytała w końcu, a on pokiwał głową. - Chyba już wszyscy o nas wiedzą.

Uśmiech powoli rozkwitał na twarzy Grahama, który kiwał w ciemności palcem.

- Ten facet? - pytał, wskazując przypadkowego mężczyznę taszczącego przez trawnik lodówkę turystyczną. Lustrował tłum w poszukiwaniu kolejnych osób. -1 ona? - ruchem głowy pokazał kobietę w ciąży, po czym przeniósł wzrok na starszego mężczyznę z laską. - On też?

Ellie wybuchnęła śmiechem.

- Tak - przyznała z udawanym znużeniem. - On pewnie też.

Graham pochylił się bliżej, ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

- Znaczy, teraz nam wolno? - zapytał i pocałował Ellie. Pocałunek zdawał się trwać wiecznie. Uśmiechnęła się szeroko, gdy wreszcie oderwali się od siebie.

- Chyba tak.

- W takim razie nie jest to zła wiadomość - zażartował.

- Pewnie nie, jeśli ująć to w ten sposób.

- Pod warunkiem że tobie nie dzieje się krzywda - dodał, a Ellie pokręciła głową.

- Nie dzieje. A tobie?

- Absolutnie nie. Dziwne, prawda? Spojrzała mu w oczy, mówiąc:

- Ani trochę.

Teraz pochylał się nad stołem, a wisząca za nim na ścianie morska mapa ujmowała jego twarz w ramy. Patrzył na Ellie z troską.

- Miewam się dobrze - zapewniła. - Naprawdę. Choć nadal nie przeczytałam żadnego z tych artykułów. Wychodzę z założenia, że każda nastolatka w kraju ma prawdopodobnie ochotę mnie zamordować. Ale mogłoby być

o wiele gorzej.

- Jak to?

- Twoje skandaliczne zachowanie zdołało przyćmić historię z moim ojcem - wyjaśniła, biorąc do ręki menu

1 uśmiechając się do Grahama znad karty. - Wyobraź sobie.

- Czy to oznacza, że twoja mama się nie przejmuje?

- Nie będzie się przejmować - zapewniła. - Ja też nie. Graham pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Cieszę się.

- Przyjęła to lepiej, niż można by się spodziewać. Gdybyś zapytał mnie wczoraj, przypuszczałabym, że będę dziś wieczorem mieć tak zwany szlaban.

Machnął ręką.

- Przybyłbym ci na ratunek. Co prawda nie mam białego rumaka, mam za to bardzo korpulentną świnkę.

- Jakież to romantyczne - zauważyła Ellie, gdy Graham przeglądał kartę dań.

- No, co tu mają dobrego? - zapytał. - W końcu nie zostałem tu ostatnim razem na kolacji. Musiałem pójść poszukać pewnej dziewczyny...

- Więc to coś w rodzaju dubla?

- Nie - zaprzeczył, nagle poważniejąc. - To zdecydowanie pierwsze ujęcie.

Ellie spojrzała na trzymane w rękach menu, lecz od razu ścisnęło ją w dołku. Znali się zaledwie od kilku tygodni, a przecież rozstawali się już wiele razy. Nie była pewna, czy ma dość sił, by uczynić to ponownie.

Odłożyła na bok kartę.

- Wiem, że to z mojej strony okropne - powiedziała

- ale prawdę mówiąc, nie jestem za bardzo głodna.

Ku jej zaskoczeniu Graham pokiwał tylko głową.

- Właściwie miałem nadzieję, że tak powiesz.

- Poważnie? Znów przytaknął.

- Myślę, że powinniśmy od razu przejść do deseru

- stwierdził z szerokim uśmiechem, takim, który zaczynał się w oczach i rozpromieniał całą twarz. - Ja chyba zamówię czarny księżyc.

Ellie rzuciła mu kpiące spojrzenie.

- Bardzo zabawne.

- Mówię serio.

- Przychodzę tu od dzieciństwa - powiedziała dziewczyna, sięgając po menu. - Uwierz mi, tu czegoś takiego nie podają.

Graham rozparł się na krześle z bardzo zadowoloną miną.

- Wydaje ci się, że znasz to miejsce lepiej ode mnie?

- Ja to wiem - odparła, podejrzliwie mierzając go wzrokiem. - Chyba że...

Już dawno nie zaglądała do karty przed zamówieniem, teraz jednak otworzyła ją, drobny druk tańczył jej

przed oczami w dyskretnym oświetleniu sali. Przysunęła świecę, kałuża wosku rozlała się w szklanym świeczniku.

- Chyba że co?

- Chyba że coś zmałstrowałeś - rzekła. - Co by wyjaśniało, dlaczego tak dziwnie się zachowujesz. - Oparła się o stół i spojrzała pytająco na Grahama. - Myślę sobie, czy nie wykombinowałeś czegoś z Joem...

- Ja? - spytał tonem niewiniątka. - Naprawdę sądzisz, że między kręceniem filmu a włóczęństwem się z tobą po stanie Maine miałbym czas przeprowadzić rekonesans, gdzie sprzedają czarne księżycy, następnie dopilnować, by znalazły się tutaj akurat tego wieczoru, na wypadek gdybyś nadal chciała ze mną rozmawiać, pomimo wszystkiego, co się narobiło, i w dodatku zgodziła się zjeść tu ze mną kolację?

Ellie spojrzała na niego ze spokojem. - Tak.

- Chcesz się założyć?

- Jasne. Ale stawiam na ciebie. Uniósł wysoko brwi.

- To znaczy?

- Myślę, że to t w o j a sprawa - powiedziała. - I dzięki tobie zjem pierwszy w życiu czarny księżyc.

- Choć nie ma go w menu?

Przytaknęła, ale już z nieco mniejszą pewnością.

- Chociaż nie ma go w menu.

- Dobrze - rzekł chłopak uradowany, oparł łokcie na stole i obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem. - Stawiam tysiąc dolarów.

Ellie na moment zamarła. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Zakład?

- Nie - odparła ściszym głosem. Odłożyła menu na stół> potrzęsając głową. - Grahamie...

Uśmiech nie schodził mu z twarzy.

- To tylko zakład.

- Nie mogę.

- Owszem, możesz - zapewnił spokojnie, twarz rozświetlał mu migotliwy blask świecy.

Wiedziała, do czego Graham zmierza. Aż za dobrze. I naraz zrozumiała, że on rzeczywiście to zrobił, wszystko, czemu zaprzeczał: znalazł sklep, gdzie można kupić czarne księżycy, i zamówił je do Lobster Pot. Musiał zawczasu umówić się z Joem, tak zorganizować całą sprawę, żeby Ellie poszła z nim o zakład. I uczynił to wszystko dla niej.

Serce głośno dudniło jej w piersi, gdy patrzyła na siedzącego naprzeciwko Grahama. Nawet nie zauważyła, że obok stoi Joe, póki mężczyzna nie chrząknął znacząco.

- No to co zamawiacie? - zapytał z długopisem i bloczkiem w ręku.

Ale żadne z nich nie odpowiedziało. Graham nadal skupiał całą uwagę na Ellie.

- Zakład? - powtórzył. Czują, jak słowo *nie* więźnie jej w gardle, jedyne, do czego była zdolna, to zamrużyć w odpowiedzi powiekami. Biorąc to za potwierdzenie, rozpromieniony Graham odwrócił się do Joego. - Myślę, że przejdziemy od razu do deseru.

- Oczywiście - zgodził się Joe, a Ellie zauważyła, jak drgają mu wąsy.

- Coś konkretnego?

Graham ledwo mógł pohamować swój entuzjazm.

- Poprosimy o dwa czarne księżycy - powiedział odrobinę za głośno i jedyne, co mogła uczynić Ellie, to patrzeć

szeroko otwartymi oczami, jak Joe kiwa głową, zamyka bloczek i błyskawicznie zabiera karty.

Kiedy właściciel restauracji odszedł, Graham zwrócił się ponownie do Ellie.

- No i klops - powiedział z udawaną rozpaczą - zdaje się, że przegrałem.

Potrząsnęła głową.

- Kiepski z ciebie aktor.

- Hej! - zaprotestował, ale uśmiechał się od ucha do ucha. - Staram się po prostu być dobrym kumplem.

- Grahamie - powiedziała Ellie, spuściwszy wzrok na talerz. - Ja nie mogę.

- Nie możesz jeść czarnych księżyców?

- Wiesz, o co chodzi.

- Prawdę mówiąc, nie. Ja mam pieniądze. Ty ich potrzebujesz. Proste jak drut.

- Nie mogę się na to zgodzić - oponowała, kręcąc głową.

- Coś ci powiem. Dorzucisz wiersz i będziemy kwita. Spojrzała na niego w osłupieniu.

- Na koniec kursu. Chcę dostać jeden twój wiersz - dodał.

- Ja nie piszę poezji. Zwyczajnie lubię ją czytać.

- Okej - rzucił wesoło. - W takim razie wezmę wiersz jakiegoś umarlaka. W którejś z ramek. Co ty na to?

- Grahamie - powiedziała łamiącym się głosem. - To nie jest twój problem.

- Dotyczy ciebie - rzekł z lekkim uśmiechem, jakby to był wystarczający powód, który wszystko wyjaśnia.

Ellie poczuła wtedy przyływ wdzięczności, powolne ustępowanie najbardziej zatwardziałego uporu. Bez względu na to, jak bardzo starała się skierować myśli na inne

tory, wciąż krążyły wokół zdjęć Harvardu, które oglądała, budynków z czerwonej cegły i zasypanych liśćmi chodników, sal wykładowych, gdzie mogłaby pogłębiać wiedzę o swoich ulubionych poetach. W pewnym sensie w naturalny sposób wyobrażała sobie tam swoją obecność, czuła, jak poddaje się magnetycznej sile tego miejsca.

- Zakład to zakład - mówił Graham. - To jest jak najbardziej fair.

Joe ponownie zjawił się przy ich stoliku, ale tym razem niósł dwa talerze. Na każdym leżały trzy czarne księżycy, ułożone artystycznie jeden na drugim. Ellie wyprostowała się, by mieć lepszy widok. Przypominały wielgachne markizy, dwa ogromne ciasteczka czekoladowe przełożone grubą warstwą białego lukru. Gdy Joe stawiał przed nimi deser, usiłowała wyobrazić sobie, ile Graham musiał zadać sobie trudu, żeby je tu sprowadzić. Złożył obietnicę i jej dotrzymał. Tak jak zapowiedział.

- A więc - powiedział Joe - kto wygrał zakład?

- Ona - odparł Graham, a Joe delikatnie ścisnął ramię Ellie, po czym odmaszerował z powrotem do kuchni.

Po jego odejściu po raz kolejny podniosła wzrok.

- Grahamie - zaczęła, on zaś spojrzął na nią z taką intensywnością, że zaparło jej dech.

- Klamka zapadła. Załatwiłem wszystko dziś rano.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Jedziesz na Harvard. Uśmiechnęła się.

- W każdym razie na kilka tygodni.

- Na dobry początek.

- Dziękuję - rzekła, czując, że słowa nie wyrażą tego wszystkiego, co naprawdę chciała Grahamowi powie-

dzieć. Lecz zaraz potem wydało się jej, że zrozumiał i to jakimś cudem wystarczy.

- A teraz zjadaj - zachęcał, biorąc ciastko. - Nie możesz zwać się prawowitą mieszkanką stanu Maine, dopóki nie skosztujesz tego stanowego specjału.

Później wyszli razem z restauracji na pogrążoną w mroku ulicę. Nie było jeszcze dziewiątej, ale chodniki prawie całkiem opustoszały, wszystkich wymęczyła wczorajsza świąteczna zabawa. Pomimo pustek w miasteczku wspólne przebywanie w publicznym miejscu wywoływało nieoczekiwany dreszczyk emocji, kiedy więc Graham podał Ellie rękę, złapała ją i ruszyli przed siebie.

- Pewnie cieszysz się z powrotu do Kalifornii, Pępka Świata - zauważyła, gdy wędrowali zakosami przez skwer.

- Może odrobinę - przyznał. - Ale będę tęsknił za Fi* pidówką w stanie Maine.

- Może kiedyś tu wrócisz - powiedziała, rzucając mu z boku spojrzenie.

Spodziewała się po nim jakiegoś żartu, tymczasem Graham rozważał ten pomysł przez chwilę, po czym z poważną miną pokiwał głową.

- Może. - Przechodzili obok miejsca, w którym siedzieli poprzedniego wieczoru, wpatrzeni w siebie nawzajem, jakby świat wokół nich nie istniał, jakby nie wybuchały sztuczne ognie ani nie dudniła muzyka. - Albo spotkamy się gdzie indziej.

- Są jakieś szanse, że twoje światowe tournée zawiedzie cię do Bostonu?

- Nie zawadziłoby sprawdzić w kalendarzu. Ale to niewykluczone.

- Z pewnością udałoby się nam wpaść w mnóstwo tarapatów.

Graham się rozpromienił.

- Zawsze chciałem ukraść łódkę w kształcie łabędzia. -1 będziemy do siebie pisać - ciągnęła Ellie, nie oglądając się na niego.

-1 będziemy do siebie pisać - powtórzył.

- Tylko nie pokręć adresu mailowego.

- To zupełnie nie w moim stylu - zapewnił Graham z uśmiechem.

Mijali znajome miejsca jedno po drugim, jak gdyby odtwarzali wstecz minione tygodnie: trawnik obok parkowego pawilonu, gdzie stali, kiedy chłopak pobiegł za nią w samych kąpielówkach; witryna delikatesów z zamkniętymi w tej chwili na głucho okiennicami, gdzie rozsypała cukierki; miejsce, gdzie ujrzała go po raz pierwszy, kiedy wydawał się taki odległy i zaskakująco smutny, a ów smutek był tak głęboki, że zmusił ją do zatrzymania się i patrzenia.

Teraz z jego oczu znikło tamto przygnębienie.

Zastąpiło je coś lżejszego, spokojniejszego.

Nie ustalali, dokąd pójdą, lecz mimo to istniało między nimi nieme porozumienie, wcale nie mniej pewne przez to, że niewypowiedziane. Gdy dotarli do zagajnika, z którego wychodziło się na plażę - nie byle jaką plażę, bo i c h plażę - skręcili tam oboje bez słów. Przy wejściu Graham się zawahał. Ale tylko na moment. Ellie delikatnie pociągnęła go za rękę, przeprowadzając przez granicę dzielącą drogę od drzew, później drzewa od kamieni, a wreszcie kamienie od wody, w której znikały.

Ellie czuła, jak na widok oceanu jej serce przepęlnia radość. Odbicie księżyca kładło się na tafli oceanu smugą,

jaką pozostawia po sobie pływająca łódź. Wiatr niósł morski zapach, słony, gęsty, gwiazdy rozświetlały niebo. Zrzucili sandały i zeszli na brzeg, zatrzymując się na skraju wody, równie czarnej jak niebo.

- Uwielbiam to - powiedziała Ellie, poruszając palcami stóp.

Graham się uśmiechnął.

- Wiem. Figurowało na twojej liście.

W mroku trudno było odszukać skałę, na której siedzieli tamtego dnia, tę, która wystawała z wody, płaska, równa i szeroka, jakby przeznaczona wyłącznie do tego celu. Zwiesili nogi i nimi machali, rozbijające się fale opryskiwały stopy wodną mgiełką. Patrzyli na księżyc oraz granatowy bezmiar oceanu, wysyp gwiazd na poplamionym atramentem niebie.

- I co teraz? - zapytała, a Graham na nią spojrzał.

Wstrzymała oddech, czekając, aż powie prawdę, którą znali oboje: że nazajutrz wyjeżdża. I będą musieli się pożegnać.

- Teraz - rzekł, biorąc ją za rękę - teraz czekamy.

- Na co?

- Na jutro.

Zerknęła na niego z ukosa, on zaś uśmiechnął się szeroko.

- Wszystko przestaje być straszne, kiedy widzisz, jak nadchodzi.

- To prawda - przyznała szczerze. I znów umilkli, a po chwili Ellie zwróciła ku niemu twarz. - Naprawdę będziemy czekać tu do jutra?

Graham nie odrywał wzroku od wody. Sprawiał wrażenie beztroskiego, siedząc tam z włosami rozwianymi od morskiej bryzy.

- Mówiłaś, że zawsze przesypiasz wschody słońca - przypomniał. - W ten sposób nie przegapisz kolejnego.

Ellie roześmiała się na ten pomysł.

- Mówisz poważnie? Kiwnął głową.

- Przecież rano pracujesz.

- Ty także - zauważył.

- Tak, ale ja nie muszę ładnie wyglądać.

- I tak będziesz - rzekł, przyciągając ją ku sobie.

W powietrzu wyczuwało się chłód. Ellie z wdzięcznością wtuliła się w jego ramiona i wsłuchiwała w równy oddech.

- Jeszcze dużo czasu do wschodu słońca.

- Około ośmiu godzin.

- Kiedy mówisz o tym w ten sposób, wcale nie wydaje się długo.

- Myślisz, że uda ci się nie zasnąć? Pokiwała głową przy piersi Grahama.

- A tobie?

- Uda się - obiecał chłopak. - Na pewno.

Lecz powieki Ellie już zaczynały ciążyć, szum fal kołysał do snu. Zamrugała kilkakrotnie, myśląc o godzinach, które spędzą na tej skale, małej wyspie, gdzie wystarczało miejsca tylko dla nich dwojga, lecz na tyle dużej, by trzymać resztę świata na dystans.

Gdy ziewnęła, Graham delikatnie ją szturchnął, zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy.

- Nie śpię - mruknęła, choć w zasadzie było inaczej. Czekali razem, aż niebo zmieni się jak kolejna strona

przerzucona w książce, kościany księżyc ustąpi miejsca jaskrawemu słońcu, zapowiedzi nowego dnia. Ellie ze

zdumieniem przyłapała się na rozmyślaniach o miasteczku we Francji, w którym zdarzyło się wiele cudów. Mogła mieć jedynie nadzieję, że w miejscu obfitującym w tak liczne niezwykłości wciąż będzie można doceniać coś tak szczególnego i zwyczajnego zarazem, jak wszystko, co stało się ich udziałem.

Witaj - powiedział, na co ona się uśmiechnęła. Dzień dobry.
Tak - przyznał. - Jest naprawdę dobry.